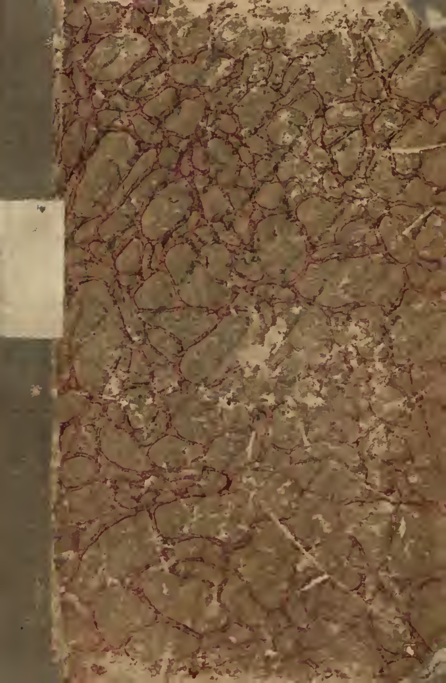
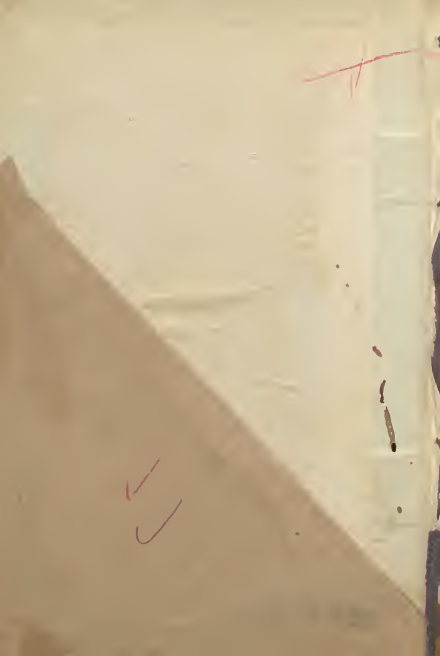




A. NOWACZYŃSKI

TYLKO DLA KOBIET



WARSZAWA — *1934*

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"



ODBITO 2250 NUMEROWANYCH
EGZEMPLARZY



DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

ANGIELKI.

I.

> To nie sztuka dzielić się z mężem jego sławą, szczęściem i dostatkami i iść z nim w słodkiem upojeniu po drodze, na której niema cierni: prawdziwem powołaniem kobiety jest łamać z nim chleb, który ubóstwo swą goryczą zaprawia, dodawać mu odwagi w chwilach zawodów i zwątpienia, podtrzymywać go, kiedy się chwieje, i dzielić się nawet wszystkiem złem, którego odwrócić nie może, chociażby miała cierpieć na tem jej duma i miłość własna. Powinna poświęcić wszystko dla uratowania tego, któremu wierność zaprzysięgła — i zwyciężyć, albo upaść z nim razem.
>
> *Adam Asnyk*
> (Przyjaciele Hioba)

W gazetach z dnia 1-go sierpnia r. 1930 pojawiła się lakoniczna depesza:

„Londyn (A. T. E.) Donoszą z Karachiwe że przybyła tu księżna Bedford, która w ciągu czterech dni drogą powietrzną zrobila 4.350 mil.

Księżna wyruszyła w drogę powrotną do Anglji. Księżna Bedford, która liczy lat 63 jest znaną sportlady i doświadczoną lotniczką, odbyła ona już szereg dłuższych lotów"...

Księżna Bedford!... Lat 63. Stary ród, znany ksią-

żęcy ród z czasów Joanny d'Arc! 4.350 mil a lat 63! No... no...

A niedawno temu też w gazetach znów się czytało, że lady Bailey poleciała na awionetce z Londynu do Afryki do męża swego, żeby go zabrać zpowrotem do Londynu...

A takich notatek o Angielkach, o sportladies angielskich czyta się dużo co czas jakiś. We wszystkich sportach osiągają rekordy damy i panny ze wszystkich sfer.

Równocześnie zaś czyta się: „Miss Bondfield. minister pracy w gabinecie Mac Donalda (również 63 lata licząca), wyjechała na kontynent dla zbadania rozwoju związków zawodowych w różnych państwach". I równocześnie czyta się, że w Izbie Gmin (matce parlamentów) rozwinęła się dłuższa dyskusja. w której zabierały głos miss Wilkins (Labour Party) i countess Iveagh (Lib.). Równocześnie też, że lady Cynthia Curzon, zamężna lady Mosley, posłanka i żona posła z partji socjalistycznej w tem a tem mieście wygłosiła na meetingu świetną mowę...

A przy ostatnich wyborach ze znanych... flappers (podlotków) przeszły do parlamentu córka Lloyda Georg'a i córka Mac Donalda.

A jeszcze... równocześnie, jeżeli ma się zamiar przeczytać teraz jakąś dobrą, mądrą. świetnie napisaną, świeżą ideowo, ale zdrową ideowo powieść, to znaczy angielską powieść. to znów bierze się tom Katty Mansfield, Clemence Dane, May Sinclair no a już najlepszej świetnej satyryczki politycznej, skroś męskiej w koncepcji świata i ludzi, wyrafinowanej. subtelnej pani Rose Macaulay.

Tak, tak, bowiem Angielki są first, we wszystkiem first, na pierwszem miejscu przodujące, niedościgle, rekordowe. I tylko u nas niestety mało się o nich mówi, mało pisze, mało za wzór, za modele stawia. — Czem się bowiem stało, że Anglicy, więc bądź co bądź panowie pól świata i oceanów włodarze najpierw jedni z pierwszych oddali prawo wyboru i wybieralności kobietom, a ostatnio jeszcze cenzus wieku tak obniżyli, że w ostatnich wyborach właściwie decydowała płeć piękna? Przecież to ma być pono rasa najmądrzejsza, najroztropniejsza, najbardziej przewidująca, a w kunszcie rządzenia i administrowania niedościgła? Widocznie uznali bezwzględną równorzędność, równowartość intelektu i charakteru kobiecego? Przypomnijmyż sobie, że jeszcze za naszej pamięci kobiety staczały tam homeryckie boje o prawa wyborcze! Cóż to za kłopoty miał rząd J. K. Mości z drapieżnemi i nieprzebierającemi w środkach agitacji sufrażystkami, amazonkami miss Pankhurst. Ileż to powieści emancypacyjnych musiały napisać siostry Emily i Charlotte Bronte! ileż to tysięcy artykułów, ile tysięcy meetingów! Ale wreszcie Angielki dopięły swego, dokazały, zwyciężyły. Teraz są już zrównane na całej linji. A dlaczego? bo zasłużyły na to, bo charakterem i intelektem i wszystkiemi walorami ciała i duszy są naprawdę, na serjo: first.

Niesposób nie zastanowić się czasem nad tem, czemu to Francja, wielki naród, przodujący we wszelkim postępie, we wszelkich przemianach i odnowach dotychczas jeszcze nie użyczyła swojej płci nadobnej najnormalniejszych w świecie praw wyboru i wybieralności? Niech na to odpowie obyczajowość francuska. lite-

ratura, powieść francuska, Paryż, „Paryżanka" przeciętna, typ z życia i jego odbicie, transpozycja w literaturze. Widocznie Francuzki na tak pełne zrównanie w prawach z mężczyznami nie zasłużyły. Widocznie Francuzi nie ufają, nie wierzą w pełnowartościowość kobiety francuskiej.

Anglicy natomiast wierzą i mają rację. Bowiem i w życiu i w literaturze wyedukowali sobie, wypielęgnowali, wyhodowali najpiękniejsze kwiaty kobiecości od historycznej Lady Godiva do literackiej Candidy B. Shawa, od cudnych wizyj kobiecych Szekspirowskich aż do dzisiejszych, dzielnością imponujących lotniczek i pływaczek, od królowej Elżbiety do królowej Wiktorji, od krwawej Anny... aż do Annie Besant, rewolucjonizującej Indje lub do wzruszająco bohaterskiej miss Edith Cavell.

Gdy się w „National Gallery" w Londynie w „Wallace-Collection", w „Tate Gallery" no i w prywatnych, a dostępnych zbiorach ogląda jeden po drugim cudowne kobiece portrety Gainsboroughów i Reynoldsów, dopiero wtedy odgaduje się tajemnicę potęgi i władztwa kobiecości angielskiej. Nie można więcej uroków i powabów zebrać w jednem stworzeniu Boskiem jak w tem, które przyszło na świat Angielką. To są naprawdę wcielenia piękna i dobra. A rozciekawiony tych portretów oglądacz i podziwiacz zaczyna wtedy poszukiwać i badać kto to były te przepiękne panie z XIX wieku, których matki i babki malowali Reynolds, Gainsborough i legjon innych. I wtedy bardzo często trafia na żony i towarzyszki życia ludzi wielkich, wielkich, ważnych, wybitnych Anglików. Oczywiście najbardziej będą intrygowały i interesowały małżonki wiel-

kich pisarzy, myślicieli, polityków, artystów. I wtedy łaik i profan z kontynentu dowiaduje się może po raz pierwszy, że Angiełka jako żona wielkości jest też arcydziełem, idealem towarzyszki życia, małżonki, żony, że w tym charakterze wznosi się ona... podobnie jak księżna Bedford... wysoko nad poziomy niewiast z narodów kontynentu i też szybuje odważnie i śmialo w regjonach takiej miłości, takiego poświęcenia, ofiarności, wyrozumiałości, ustępliwości, samozrzeczenia i wprost świętości na codzień, świętości powszedniej, do jakicj małżonki towarzyszki t. z. wielkości z innych narodów ledwie się zbliżają. Zagadkę tej, tak łatwo i szybko powziętej przez Anglików (to jest prawdziwych „panów stworzenia") decyzji obdarzenia pełnią praw obywatelskich swoich żon, matek, sióstr, córek należy sobie tem glównie wytlumaczyć, że przeciętny typ Angielki nietylko zbliża się do idealu w jednostkach i osobowościach bohaterek i bojowniczek emancypacji, sportu, literatury i działalności humanitarnej, ale zbliża się też i osiąga ideal w jednostkach i osobowościach, podporządkowujących się jeszcze mężczyźnie, w pięknych typach towarzyszek życia, li tylko Westałek domowego ogniska. Da się to najplastyczniej stwierdzić i udowodnić na przykladach żon wielkich prominents, pisarzy, polityków, artystów.

Zawód żony wielkiego człowieka nie jest łatwym zawodem. Przeważnie też przynosi w rezultacie... zawody. Czemże bowiem jest wielkość jak nie anomalją, wyjątkiem z reguły, unikatem, monotypem, wybrykiem przyrody? Nietylko genjusze, ale zbliżający się do genjalności to przeważnie dziwadla, skłębienia dziwactw, „potwory mające czlowieczeństwa pozory" jak

to jeden z nich sam przyznaje. Inaczej ten medal z dukatowego złota przedstawia się od strony społeczeństwa, narodu, gromady, od strony historji rozwoju ludzkości, cywilizacji, kultury, a inaczej od wnętrza, na codzień, na dzień powszechny przy bezprzerwnem stykaniu. Te lumina de coelo, ta sól ziemi, jej krasa i uroda to po większej części natury władcze, bezwzględne, nietolerancyjne, impulsywne, eksplozywne, dyktatorskie, nawet satrapie, a w walce o wydobycie się z szeregów mrowia, w walce o byt o rozwój indywidualności, w egoizmie i egotyzmie twardniejące, a czasem i zatwardziałe. Być tedy wielkości towarzyszką dozgonną to nietylko ciężar wzniosłego poświęcenia to jeszcze i kunszt wielki. No a już towarzyszyć w życiowej wędrówce wielkim artystom, poetom, pisarzom czyli być.. „podporami potworów", na to trzeba całkiem wyjątkowej kongenjalności coprawda nie tyle mózgu ile... serca.

Przygodnie i przelotnie prześwietlimy sobie nieco tę Walhallę od strony domowego ogniska, od strony normalnego bytowania, niejako z perspektywy nie tyle może żabiej ile... domowej, aby zdać sobie sprawę, ile kłopotów taka wielkość sprawia swojej wybranej i ze wszystkich, czasem... zbyt wielu drogich najdroższej. Wszystkie te ułomności, przywary, przymioty, zalety, wady, mankamenta, uroki, cudowności ale i „nieprzyjemne strony", które u normalnych ludzisków w normalnym istnieją procencie, u tych panów i suwerenów występują w nadmiarze w profuzji, w przesadzie, w napuchliznie. To są ultrasy. maksymaliści i w tem co dodatnie i w tem co ujemne, to też przez to dla normalnych jestestw tak zresztą niezawinienie

trudni, omal tak uciążliwi. Albo zbyt skromni, niewierzący w siebie albo zbyt dufni, w pyszałkostwie nie do zniesienia. Utracjusze lub harpagoni. Gaduły lub milczki. Za weseli lub za smutni. Za towarzyscy lub odludki. Chciwi grosza lub tylko chciwi sławy. Za pracowici lub rozpróżniaczeni. Albo podejrzliwi albo zbyt rozlewni. Albo kłótliwi albo zbyt ugodni... Albo żarloki... albo... pijaki. Albo żyją zbyt krótko i jako „ulubieńcy bogów" umierają zbyt młodo, albo żyją zbyt długo gniotąc swą wielkością otoczenie i środowisko. Albo jeszcze jedno „albo", to znaczy, że wszystkie te alternatywne wady i przymioty, cnoty i występności, rysy i zarysy... wszystkie te wzajem wykluczające się sprzeczności i przeciwieństwa koncentrują się w jednym, dały sobie rendez-vous w jednym i tym samym, czasem w różnych fazach i metamorfozach a bywa że i... równocześnie! No i teraz przeżyj z takim egzemplarzem, popisowym egzemplarzem fauny: homo sapiens nietylko miesiące miodowe ale i.. srebrne gody... i złote wesele!

Zdecydowanymi alkoholikami, pijaczyskami byli Rabelais, Torquato Tasso, Rey, E. T. Hoffman, Poe, Byron, Rodin (absynt), Verlaine (absynt), Jack London, no i... naszych kilku. Żarloctwem odznaczali się Dumas ojciec, Balzac, Renan, Flaubert, Stendhal (makaronem). Lamartine (lodami), Rostand (ciastkami). Zola miał epoki obżarstwa (kiedy pisał L'Assomoir i Nanę) i epoki, gdy się głodził (kiedy pisał „Lourdes" i „Paryż"). Potwornym obżartuchem był V. Hugo. który żył przeszło 80 lat i po obiedzie zjadał jeszcze to wszystko, co wnuki na talerzach zostawiały. Zdecydowanymi utracjuszami byli Rembrandt, van Dyck, Di-

derot, Sheridan, Thackeray, Lamartine, Balzac, Dumas syn. W karciochy zgrywali się bez opamiętania Puszkin, Dostojewski, Maupassant. Nie doceniali siebie i swego talentu Zola, Balzac, Dostojewski, Gogol, przeceniali się Byron, Tolstoj, d'Annunzio lub Thackeray, zdejmujący kapelusz przed tym domem, gdzie pisal „Targowisko próżności".

Zbyt chciwi na honorarja i zyski byli tacy poeci jak: Chateaubriand, V. Hugo, podczas kiedy Stendhal minimalnie domagal się za swe arcydzieła, ale natomiast stale... klamal, czasami dopuszczal się... plagjatów, a nadto do mieszczańskiego nazwiska Beyle dodal sztuczne szlacheckie de Stendhal jak zresztą Arouet dodal sobie Wolter, a Villiers wmawial w ludzi, że jest wnukiem... marszalka Francji. Pasjonatami byli Tolstoj lub Schopenhauer, który rzucal się na ludzi z laską. Nieschludnością i brudactwem odznaczał się cały szereg myślicieli, między którymi Rousseau, stale poplamiony tabaką. Milton nigdy nie myjący się, Fenimoore Cooper stale żujący gumę, dalej Hebbel, który zresztą podobnie jak Dickens (w postaci Micawbera) niepochlebnie odmalowal w dramacie swego ojca („Majster Anton"). Niemożliwie niewiernymi mężami i kobieciarzami byli Pascal, Goethe, Wagner, Krasiński, Heine. Strojnisiami i elegantami bywali jedni: Macchiavelli (stale w dlugach), Lamartine, Disraeli, Dickens (obwieszony zawsze przesadnie biżuterjami), Thackeray, Beaumarchais, Heredia, bracia Goncourt, podczas gdy do absurdu w zaniedbaniu i niemodnej odzieży dochodzili Swift, Kant, Rousseau, Zola, Dostojewski, Mickiewicz... Wśród zdecydowanych manjactw najpopularniejsze bywało u poetów zamilowanie do...

kotów; ostatnio Hardy powieściopisarz hodował ich stale do czternastu w mieszkaniu. Schiller do pisania musiał trzymać nogi w zimnej wodzie, Schopenhauer nie golił brody tylko stale ją opalal nad świecą, Ibsen całe życie „przechodził"... w cylindrze, Björnson pod wpływem idei prześladowczej, że ludzkość niszczy lasy, nosił pełne kieszenie nasion i rozsypywał je po spacerach... Conan Doyle (wychowanek OO. Jezuitów) nigdy w życiu nie włożyl na siebie plaszcza, R. L. Stevenson stale grywał kilka godzin na flecie nie uczenie ale zato fałszywie, Darwin wycinał nożycami stale cale strony z książek pożyczonych w bibljotekach lub u znajomych, G. B. Shaw wydziera wszystkie dedykacje, które otrzymuje z książkami. I t. p. i t. d.

O takich dziwactwach, manjactwach, ideach prześladowczych, grymasach i fiksacjach możnaby gruby tom napisać, gdyby nie bylo coś lepszego do roboty. Oczywiście w Anglji, gdzie indywidualizacja i u normałnych zjadaczy mięsa jest większa i gdzie wszelka ekscentryczność cieszy się mirem i sympatją w społeczeństwie, procent nienormalnych znamion u ludzi, co są eminent i prominent jest oczywiście znacznie większy. Tu, gdzie każdy wybitny człowiek starał się być inny, odrębny, nie tuzinkowy, staral się być... „wyspą", oryginalność indywidualności genjuszów czy tylko genjalnych jednostek przechodzila już często tam, gdzie się zaczyna obłąkańczość lub wyrodniała w systematyczne jakby prowokowanie środowisk normalnych. Stąd też częstsze wypadki definitywnego konfliktu artysty ze społeczeństwem, ba nawet wielkości z narodem (Bacon, Swift, Shelley, Byron, Quincey... za propagandę opium i haszyszu...) O. Wilde. To też i mal-

żeństwo z wielkościami Sztuki i Literatury przedstawiało tu zawsze większe ryzyko, a nawet maximum hazardu, tem bardziej znowu, że przeciw nadmiernym ekscentrycznościom geenjuszów stał t. z. cant purytańskiego, mocno skonsolidowanego społeczeństwa. Angielka decydująca się na marjaż z wielkim artystą wybierała sobie męża nietylko z dobrodziejstwem inwentarza jego dziwactw i niepoczytalności ale także z wszelkiemi szansami zadarcia i walki ze środowiskiem i ze społecznością, z correctnes i z cantem.

Zapewne. że piękne też wzory bohaterskiego, heroicznego pożycia z małżonkami-wielkościami dają żony wielkich pisarzy, myślicieli, polityków, artystów z kontynentów. Cóż za poematem ofiarności i poświęcenia jest żywot Dostojewskiej! Co za gehennę wspaniałe znosiła żona A. Tołstoja! Jak tragicznie układało się życie trzech z kolei żon tragedjopisarza i nieuleczalnego don Jouana Strindberga! Jak ciężko znosić było pani Hańskiej, affektacje, manjactwa, podejrzliwości i niezgrabności tytana Balzaca! Jak wzniosłą była cierpliwość pani Zola, wychowującej po śmierci męża dwoje jego nielegalnych dzieci. Jak wzruszające są: wdowa po katolickim pisarzu L. Bloy'a, wydająca przez dziesięć lat jego potwornie nieczytelne rękopisy, lub wdowa po J. Londonie, dokończająca jego niedopisane powieści. A co to przyjdzie wycierpieć dziś w życiowej wędrówce i udręce żonom takich bojowców — pisarzy jak... od strony prawej biednej pani Leonowej Daudet. której mąż był na wygnaniu w Brukseli... a od lewej strony żony prof. Unamuno, znakomitego pisarza hiszpańskiego. też żyjącego długie lata zdala od rodziny na banicji... też dobrowolnej.

A jednak najbardziej wzruszające, wprost rozrzewniające dowody archanielskich cnót, tkliwej miłości, przywiązania ofiarnego i samopoświęcenia bez granic dały Angielki i to dowody tak szczytne w swem cichem cierpiętnictwie, że jeden z renomowanych dziś londyńskich pisarzy, essayista Sidney Lee po długich badaniach „blasków i... cierni" żywota żon angielskich wielkości wydał niedawno książkę p. t.: Czy wielcy ludzie powinni się żenić? Oparłszy się na postępowaniu dowodowem z materjałów angielskich odpowiedział sam: nie. Do tego wniosku doszedł prezentując dole i niedole żon Miltona (3 razy żonatego), Szekspira, Swifta, Byrona, Drydena, Burnsa, Coleridge'a, Shelleya (Harriet Westbroocke samobójstwo, Mary Woolstonecraft melancholja).

Sidney Lee pod zasięg swoich badań wziął tylko wielkich poetów i ich aniołów opiekuńczych. Tymczasem szczyt ofiarnej miłości małżeńskiej, najwyższe cis, do którego kobiecość poświęcająca się doeiągnąć się mogła, prawdziwe perły bezkresnej uczuciowości dały światu dwie Angielki, które były żonami dwóch sławnych pisarzy ale i polityków równocześnie. Poeci bądź co bądź to są wielkie dzieci, dla których żony muszą żywić uczucia jakby matczyne dla cudownych, aureolą nieziemskości otoczonych infantów. Tkliwość i czułość, przebaczalność są względem nich bardziej „na właściwem miejscu", łatwiej zrozumiałe.

Weźmy tu atoli jako przykłady dwie Angielki z ery Wiktorjańskiej, Angielki dawnej daty, trzeba to przyznać z dzisiejszemi, „nowomodnemi, powojennemi Angielkami, heroinami nowej beletrystyki p. p. Hugh Walpole'a, J. D. Beresforda, D. H. Lawrence'a, May

Sinclair, Swinnertona, mało mające już wspólnego... chyba tylko jedno: heroizm ryzyka, hazardu, odwagi z zuchwałością graniczącej.

Mamy tu na myśli: żonę Disraelego lorda Beaconsfielda i żonę Carlyle'a.

Aby poznać klimat psychiczny Angielek Wiktorjańskiej epoki, trzeba przypomnieć pewną anegdotę, w której streszcza się i symbolizuje tej kobiecości dominanta psychiczna. Otóż o żonie znakomitego liberała i premjera Gladstone'a i jej wzruszającym kulcie dla swego męża opowiadają taką przypowiastkę: Był raz five o clock tea, ściśle damski z żonami parlamentarzystów i ministrów w apartamentach pani Gladstone na parterze. Podczas jouru panie wpadły w gorącą dysputę polityczną, która zaczęła się zapowiadać coraz groźniej. Wtedy jedna z nich dla pacyfikacji umysłów odczwała się: nie traćmy równowagi drogie panie i nie kłóćmy się. Wszak Ten co jest nad nami wie o tem najlepiej i On to rozstrzygnie". I popatrzyła zbożnie w górę, ku niebiosom. Ponieważ atoli Gladstone wtedy właśnie pracował w swoim gabinecie na pierwszem piętrze, więc pani Gladstone pochwyciła to zdanie i rozpromieniona: „Alcż tak! na pewno! Poproszę Williama, żeby tu zszedł a on nam na pewno wszystko wyjaśni i rozstrzygnie".

Na taki kamerton kultu i adoracji swych mężów nastrojone były też dwie Angielki ery Wiktorjańskiej, niedościgłe wzory wielkich mężów.

Pierwsza z nich to lady Beaconsfield. Próbowano znów w ostatnich latach wybielić tego demonicznie genjalnego szczęściarza; w dyplomatyczno-politycznych kabałach bardzo zdolny Semita Maurois podjął się te-

go, co w poprzedniej generacji nie zbyt się udało Brandesowi i wielu, wielu innym... nawet L. Daudetowi! W pewnych sferach Londynu kult dla niego trwa dalej i manifestuje się na wiosnę w t. z. Primrose-Day, w którym pierwiosnkami obsypuje pewna część arystokracji pomnik Disraelego. Genjalny to bądź co bądź był człowiek, skoro z nieznanego nikomu syna pokątnego literata zostawszy posłem po swem maidenspeechu przez całą Izbę wyśmianym, po trzydziestu latach bajecznej karjery dwukrotnie mianowany premjerem i to tym, który na głowę Wiktorji włożył diadem cesarzowej Indji. Charakter atoli i problematyczny i antypatyczny. Nieprzebierający w środkach przebiegły karjerowicz w każdym calu, w masce romantycznego marzyciela i idealisty, wirtuoz kabał politycznych, sypiący nadto powieściami modnemi jak z rękawa, przytem jeszcze elegancji i szyku wzór, pierwszy dandys, zawsze w czerwonej kamizoli, z kwiatami w klapie, wysoki, smukły, urodziwy z nieco haczykowatym nosem, kędzierzawą wiecznie młodzieńczą czupryną. I w tym to, również pierwszorzędnym oratorze, polemiście i bataliście parlamentarnym zakochała się śmiertelnie wdowa po konserwatywnem członku Izby Lordów ze starego rodu szkockiego, wytworna, melancholijna, piękna Mary Ann, uwierzywszy święcie w jego misję historyczną regeneratora i zbawcy Torysów a więc i... W. Brytanji. I została jego żoną, powiernicą, pomocnicą, sekretarzem, obrońcą, orędowniczką. I ona wprowadziła go w londyńskie society i ona właściwie zorganizowała całą błyszczącą, lśniącą karjerę światową temu archisnobowi i kameleonowi, aktorowi w każdym calu i wirtuozowi życia. Pewne światło na ten nabożny



omal kult rasowej Szkotki dla wmieszkałego exwłoskiego Semity rzuca chyba tylko to, że była od niego o 15 łat starsza i pochodziła ze starego, przemęczonego nieco zdekadenciałego klanu.

I oto z tego pożycia tak skomplikowanej pary ludzkiej jest opowieść czarująca swem pięknem uczuciowem. Mary Ann lady Beaconsfield miała zwyczaj zawsze odwozić męża do parlamentu, aby mu jeszcze w powozie dodawać otuchy i śmiałości. I kiedy raz nadszedł bardzo gorący dzień, w którym szefowi opozycji... Gladstonowi miał odpowiadać Disraeli od czego zależała nadal jego prezesura gabinetu Mary Ann jak zwykle odprowadzała swego wybrańca, swego bohatera, swoje bożyszcze do Izby Gmin. Przy samem wsiadaniu lokaj tak zatrzasnął nieszczęśliwie drzwiezki karety, że przeciął jej wpół palec prawej ręki w rękawiczce. Mary Ann ani drgnęła. By nie zakłócić mężowi spokoju i równowagi ducha, cały czas gwarzyła wesoło i śmiała się... blada jak ściana. Disraeli nic nie spostrzegł przez całą drogę. Przed parlamentem wysiadł, pożegnał się i kiedy już odwrócił się tyłem, odszedł w tym momencie lady Marja z... bólu zemdlała.

To jedna Angielka. Tej kult, ofiarność, samozaparcie można sobie jeszcze różnie komentować. Disraeli był olśniewającym causeurem, lekkim. dowcipnym światowcem, otoczonym uwielbieniem wszystkich dam najwyższego highlifu jak tenor, nadto uchodził za głębokiego myśliciela, reformatora, socjologa, psychologa, nadto odbywał wielkie zamorskie podróże, nadto miał w sobie coś niepokojącego egzotycznego jako półkrwi Semita, pełen ekscentrycznych pomysłów, nadto ciągle w ogniu walki raz pogromiony, raz pogromca. Taki

mógł jak Svengali Trilby zahypnotyzować na całe życie starszą od siebie arystokratkę, pannę ze szkockiego zameczku. Nie widziała w nim arriwisty, nie widziała pochlebcy i bawidamka królowej, nie widziała samoluba, megalomana i w głębi zaciekłego sjonistę, pierwszego przed Herclem sjonistę... a widziała tylko wszechstronny genjusz, poetę, czarnoksiężnika, przed którym w pewnych latach padała plackiem cała europejska elita. Blask bengalski tej gwiazdy i ją bądź co bądź opromieniał. Zazdroszczono jej, że jest Hestją takiego... Orfeusza, który jeżeli nie miał w duszy cośkolwiek i z... Tersytesa to w każdym razie dużo z... Ulissesa...

Ale jest jeszcze inna Angielka z tych samych czasów. Jest cudna, jest dziwnie cudna, a jakże nieszczęśliwa Jane Welsch! żona Carlyla!...

I tu już tylko trzeba się ukorzyć i w samotnej ciszy opustoszałej galerji londyńskiej całować złote ramy portretu arcykobiety.

Bo tej życie w skrócie przeszło tak: Była sobie bogata panna ze szlacheckiego rodu, wykształcona fundamentalnie, i rozmiłowana w intelektualiźmie i jego kapłanach. Bywa tam takich dużo. Towarzystwa nie wysoce i wyrafinowanie inteligentnego nie znosiła. A kiedy wchodziła w świat, wtedy właśnie pierwsze, szersze kręgi zaczęła zataczać sława genjalnego historjozofa, moralisty, myśliciela głębokiego ale i olśniewającego Tomasza Carlyla. Kultowi triumfującej szarlatanerji i salonowego wirtuozostwa... Disraelego przeciwstawił ten nowy cywilny kaznodzieja: „heroworship“, kult bohaterów, mocnych indogermańskich, moralnie twardych indywidualności. Już pierwsze jego prace oczarowały pannę Welsch z pałacu w Huddington. Los czy

nieszczęsna gwiazda jej życia chciały. że Jane Welsch poznała autora, który był rodem z zupełnych społecznych nizin, synem murarza, po chłopsku surowym, kanciastym, niezgrabnym, nieco gburnym nawet posępnym ale miał w sobie stal moralnej siły i mózg porażająco świeży, bogaty, radjoaktywny. Wytworna. piękna, słodka, smukła, rozpieszczona jedynaczka, otoczona rojem tępych i samczych earlów i landlordów, zaczęła faworyzować towarzysko ciężkiego człeka o ziemistej cerze i chudych kościstych dłoniach. faworyzować li tylko dla jego walorów intelektualnych. Ponury uczeniec atoli wytłumaczył to sobie inaczej i najniespodziewanie zuchwale (takie są genjalne anomalje) oświadczył się o rękę zaskoczonej tem Jany Welsch. Sugestja jego słów była tak zniewalającą, że bogata Jane, znając jego ubóstwo, nie namyślając się dłużej postanowiła pomóc Anglji obdarzeniem jej wielkim myślicielem, to jest, jemu uścielić życie bez troski, a wygodnie. By narodowi swemu dać wielkiego reformatora-wychowawcę, by temu wychowawcy usunąć z przed oczu wszystkie przeszkody w pracy, wszystkie utrudnienia, kłopoty, zgryzoty, marnostki, zdecydowała się ta godna Reynoldsów i Gainsboroughów beauty, jakby zeszła z obrazów Madoxa Browna czy Waltera Crane, oddać rękę synowi murarza o brwiach dziko krzaczastych i z siebie poprostu złożyć ofiarę na ołtarzu wzniosłego celu.

Od tego dnia zaczęła się przeszło dziesięcioletnia Gehenna tej allaroundwoman. gentlewoman, w każdym włóknie rasowej panny, a potem wielkiej damy. Przykuł ją los do... biorąc prywatnie w drugiem pokoleniu chłopa, chłopa chorego na żołądek, hipochon-

dryka, odludka, do zakopanego we foljalach przekory i zrzędy, mężczyzny, któremu stale ręce się pociły jak... Zoli, który miał stale katar jak... Sardou..., który co jakiś czas musiał kłaść się do łóżka jak... Heine, ale który odtąd dopiero zaczął pisać dzieła, wstrząsające mózgami elity europejskiej i to męskiej, dojrzałej elity. To była antypoda Disraelego. Gdy tamten uwodził jako kokiet nietylko salonowy ale... i myślowy, ten odstręczał, odstraszał i szedł wbrew wszystkim. przeciw ciepłym prądom uznania. I to właśnie jeszcze bardziej podbijało i jednało dlań tę czarująco delikatną, świetlaną, promieniejącą dobrotliwością siostrę miłosierdzia, szarytkę, Samarytankę. Światowa panna, która mogła zrobić najlepszą „partję" londyńską i być najwonniejszym kwiatem garden-party królewskiego pałacu Buckingham... stawszy się pielęgniarką dożywotnią, aby tylko usunąć mu zgiełk i hałas świata, zgodziła się na to, aby sześć lat przemieszkać w jej majątku pod Edynburgiem. w samotności, odludziu i w ciszy, tak kompletnej, że przedtem wystrzelano wszystkie psy i wygubiono wszystkie koty i koguty w okolicy! To śliczne zjawisko o słodyczy świętej Genowefy czytało mu całemi miesiącami księgi i listy, przepisywało rękopisy całemi latami i własnoręcznie piekło pieczywo, bo Carlyle nie znosił pieczywa nie jej ręką pieczonego. Jane Welsch gospodarowała majątkiem i Jane Welsch musiała współpracować z nim umysłowo. Jako kobieta zaś nie miała w tym marjażu nic, nic i mniej niż nic, bo genjusz nadto był mruk, śledziennik, milczek, wiecznie w myślach pogrążony, opryskliwy, nieobecny przy niej, nieprzytomny, obojętny, ledwie raczący się skrzywić, mruknąć, ale bądź co bądź pracujący, piszący, wy-

dający tom po tomie, coraz sławniejszy, dzięki niej coraz większy. Edynburskiego uniwersytetu rektor. a Anglji chwała.

I stało się potem, że Carlylowie przenieśli się do Londynu. Finansowo nie stali zbyt świetnie i to właśnie wtedy, kiedy i ten chory cyklop wchodził... bo chciał wejść w świat, kiedy przed nim zaczęły się otwierać naoścież wszystkich pałaców podwoje. Ongiś tak piękna Jane Welsch już była nieco przemęczona tem pożyciem niby — małżeńskiem z genjalnym samolubem, arsysamolubem, myślowo o sto mil od domowego ogniska przebywającym, zawsze samolubem. I wtedy przyszła przedziwaczna faza jego życia. Carlylowie zaczęli bywać i przyjmować. Wszystko co ważne składało im czołobitność, a Jane Welsch musiała przyjmować w skromnym mieszkanku sławy świata i elitę Albionu. I może kiedyś w tym samym salonie siedziały na bordo-adamaszkowych wówczas modnych fotelach lady Gladstone... lady Beaconsfield i... Jane Welsch. I wtedy to „zauważył“ kwaśny genjalny chłop, że Jane... źle się czesze... nie dobrze... z parafiańska rusza, że ma złą krawcową... i niegustowne kapelusze... I robił jej gorzkie za to zaniedbanie się wymówki... A potem raczył zauważyć, że Jane pozwala sobie na wygląd chorowity, że ma nieświeżą cerę. że nie uważa na swoją dawną urodę... i że to jego towarzysko deprecjonuje... jego! syna mularza! No a potem stało się. że, jak piękny Olimpijczyk Goethe u... pani Stein... jak wspaniały Wagner... u pani Wesendonck tak ten ciężkonogi, długoręki, kościsty, chudy, cherlawy. kataralny jegomość zaczął stale przesiadywać u... uroczej lady Ashburton.

londyńskiej pani Récamier w dziesięcioleciu 1860 do 1870.

Kłócą się o te obniżające splendor Carlyle'a epizody jedni biografowie i monografowie z drugimi, ale pewnik to jednak niezbity, że ten okres tragedji życia Jane Welsch doprowadził do kryzysu. Potworne dziwadło widywało się z żoną, z tym cudem dobroci tylko przy stole, gdzie się pani Carlyle starała uśmiechać, być rozgadaną, wesołą, światową, londyńską, ale z miesiąca na miesiąc więdnącą, niknącą, opadającą...

Raz i ta niekanonizowana Święta próbowała zerwać łańcuchy zardzewiałe, któremi spętana była z tym genjuszem, tak nienawidzącym Francuzów i Polaków, a tak uwielbiającym wszystko co z pruska niemieckie, z tym etykiem tak surowym, twardym, ortodoksalnym, ale jakże krótkowzrocznym na najbliższą metę. Te krzywdzone anioły opiekuńcze potrafią znosić na długie terminy po 14 kotów w mieszkaniu lub ciszę bez zwierząt, bez ptasząt, zniosą fajki, tytunie, tabakę, biedę, długi, chimery, kaprysy, balanse od ubóstwień do lodowatości, zdobędą się na tolerowanie zwycięskiej rywalki cielesnej!... Ale kłuli je w samo osierdzie szpilkami ci, co zdradzali je intelektualnie w romansach choćby arcyplatonicznych. Jane Welsch zerwała się pewnego dnia jak ptak raniony. Próbowała jeszcze swoje ja etyczne o tyle wyższe uratować. I uciekła z domu! Pogodził ich znowu Mazzini. Wróciła. I dźwigała nadal jarzmo zaniedbania, izolacji, opuszczenia, upokorzenia. Ale nie mogła tego znosić zbyt długo. Zachorowała na raka i w r. 1865 cicho usunęła mu się z widoku, umarła. I dopiero zgon jej odkrył Carlylowi

najwyższe piękno tego zmarnowanego skarbu. Po jej odejściu w zaświaty nie napisał już nic ważnego. Od tego momentu zaczął się spadek jego mózgowych mocy. Potęga jego słowa już się skończyła. Chory dąb zaczął butwieć. Tylko dziejom wewnętrznym piśmiennictwa angielskiego przybyla jedna przepiękna karta, której nagłówek brzmi: Jane Welsch.

I ten wzór żony i towarzyszki życia jednego z największych Brytanów unosi się jak konterfekt patronki wszystkich żon ofiarnych nad literaturą, nad sztuką, nad polityką angielską. Do tego wzoru starają się dociągnąć psychicznie, dorównywać mu, zbliżyć się doń żony wielkich mężów stanu, mężów nauki, parlamentarzystów, dzialaczy, trybunów, zdobywców, statemakerów angielskich. Dedykacja Galsworthyego cyklu „Forsyte-Saga" żonie swej pani Andrie Galsworthy świadczy, że pod tym względem malo się zmienilo w erze Jerzego od ery Wiktorji i ery Edwarda. Cudowna postać „Candidy" w sztuce G. B. Shawa stwierdza też, że Charlotte Francis Payne Townsend, jego towarzyszka życia, odnosi się doń stale jak pani Gladstone... „poproszę... Bernarda, żeby tu zeszedl a on nam na pewno wszystko wyjaśni i rozstrzygnie"...

Potęga Wszechmocnej Wielkiej Brytanji zapewne że fundowana jest także na dreadnoughtach i pancernikach. Niemniej jednak i na sercach tych kobiet, które wielkim i twórczym Anglikom pierwszej klasy intelektualnej towarzyszyly w ich doczesnych pielgrzymstwach i zmaganiach.

To też jak i w innych! jak w tylu tylu innych dziedzinach, tak i w tej, nie z francuskiej obyczajowości i paryskiej literatury niech ku nam idą modne „modele",

ale stamtąd, gdzie przez mgliste powietrze promieniowały jasne dusze pani Gladstone... Mary Ann... Jane Welsch stamtąd, skąd na lot 4.350 milowy wylatuje swobodnie 63-letnia lady Bedford z tych Bedfordów, którzy to już za... Joanny d'Arc byli książętami...

O FALEŃSKIM FELICJANIE.

Autor-dramatysta, który ma to szczęście wyjątkowe, że jego dzieła sceniczne jedno po drugiem inkorporowane są w teatrach i realizowane pomimo zawierania w sobie immanentnych wartości i walorów literackich, literacko-społecznych, literacko-historyczno-politycznych, autor słowem taki, który scenę uważa także i za trybunę na agorze czynu i za kazalnicę w świątnicy Słowa, — poczuł w sobie imperatywny mus przypomnienia spółczesnym takiego dramatysty, który nigdy za życia długiego, bo osiemdziesiąt pięć lat trwającego życia, nigdy ani jednej ze swoich „rzeczy" na scenie ucieleśnionej nie zobaczył. Dziewięć utworów scenicznych kolejno dawał i dziewięć razy doznawał rekuzy i zawodów. Od czasu napisania pierwszej pracy scenicznej przez omal pięćdziesiąt lat do teatru w mieście swojego bytowana uczęszczając, kolejno wszystkich swojskich i cudzoziemskich scenicznych autorów, „kolegów" czy „konkurentów" mógł widzieć, słyszeć, podziwiać i oklaskiwać a późną nocą coraz starszy do domu powoli wracał z wzrastającem poczuciem krzywdy i żalu. Ale to bywa i bywało. Wszędzie bywało. Zwyciężali i wygrywali laury olimpijskie playwrights (cieśle sztuk), przystosowani do podaży i pokupu twórcy nawet niekiedy wielkiego kalibru, a w cieniu

zignorowania pisał i tworzył dla siebie urodzony, rasowy dramatysta. Przypadek poprostu, nieszczęśliwy skład okoliczności mógł go dożywotnio skazać na przemilczenie i zignorowanie. Taki już był los, niedola tych, co uprawiali un autre théâtre, inny, wyższy, nie rekreacyjny ale ideowy gatunek dramatopisarstwa. Iluż to takich godnych i wiecznotrwałych nie widziało siebie za życia na scenie, iluż we Francji, w Anglji, a nawet w Niemczech. Jeżeli już nie udało im się zdobyć przemocą tego terenu w samych początkach i zwyciężyć w pierwszej kampanji, to już pierwsze klęski przeważnie predestynowały ich na pisarzy chamber-plays czyli Buchdramów, na coraz większy rozbrat i rozłąkę z możliwościami, warunkami i triumfami doczesnemi, jakie daje scena.

Na Zachodzie atoli tak się dzieje, że bądź co bądź krzywdę wyrządzoną za życia przez jedną generację ekspijuje i wynagradza generacja następna. Twórca nieznany czy też przez zmowę play-wrightsów (cieśle sztuk), za kulisami teatrów ZAD-omowionych, zatłamszony, doznaje rezurekcji i rehabilitacji pogrobowo w erze następnej. W Niemczech w przeciągu ostatniego półwiecza w ten sposób przywróceni zostali do swych praw i przywilejów kolejno Kleist, Hebbel, poczem Grabbe a nawet Büchner, ba nawet Gobineau! Jednego po drugim wyciągano z mauzoleów, twórczość ich odpylano, czyszczono, przykrawano, skracano, adaptowano i par force inscenizowano z wielkiem larum i gaudium, tu i ówdzie osiągając nawet nadspodziewane nietylko estymowe i respektowe sukcesy.

W Polsce odkopano narazie przedewszystkiem Norwida, dzięki wyłącznie indywidualnej inicjatywie Mi-

riama; tu i ówdzie próbowano go nawet zagrać a raczej laurowe i ciemne palimpsesty recytować.

*
* *

Mając na uwadze i rozważając tu dramatyczny tylko dorobek Felicjana, nie możemy utaić zdumienia, że poloniści i przyczynkarze jeszcze nie raczyli odkryć takiej całkiem osobnej i odrębnej formacji paleontologiczno-literackiej, jaką jest bogaty i nieodsłonięty dorobek twórczy Falcńskiego. Byłaby już chyba stosowna pora. Cokolwiek zbyt pedantycznie i „do białej kości" obgryza się drogocenną zresztą schedę po Wyspiańskim. Sceniczna galwanizacja bezdennie bezmyślnych, drobnomieszczańskich, foire'owych krotochwil Bałuckiego, tak trafiających do przekonania i gustu dzisiaj dominującego mobu, sprawiła, że są już prace „doktorskie" o twórczości Bałuckiego, jak zresztą i o Zapolskiej. Maluczko a przyjdą monografje dwutomowe o Przybylskim... bo mundus vult decipi, ergo: śmiać się! śmiać się i jeszcze raz śmiać się! byle zapomnieć o „nowej rzeczowości" czy „rzeczywistej rzeczywistości"... Natomiast Felicjan wysoko gdzieś na regałach bibljotecznych czeka swego Miriama i nie może się od szeregu już lat doczekać pogrobowej premjery choćby jednego ze swych dramatów.

Kiedy się dzisiejszym powojennym ludziom pióra zamierza sprezentować takiego antenata jak Felicjan, to się samemu odnosi wrażenie jakiegoś poczynania naukowo-archeologicznego. Choć ten człowiek bowiem żył jeszcze za naszych czasów, choć niektórzy znali go i nietylko z widzenia, to jednakże w roku śmierci (1910) powstało bon mot, że „kiedy umarł, wszyscy

byli zdumieni, że jeszcze żyje", t. zn. że wogóle żył jeszcze. Takim to samotnikiem, odludkiem i poetą, i równocześnie takiem wykopaliskiem, fossilem, był już lat temu dwadzieścia. Zdawał się być starszy od romantycznej trójcy już zresztą choćby z tej racji, że był antyromantykiem (pozornie), klasykiem (powrotnie), racjonalistą.

Dzisiaj więc w erze panującego fotomontażu, reportażu, bio-mechanizacji i surrealizmu, w erze poetów piszących dla kabaretów (i to prawdziwych, urodzonych poetów), w erze Pitojewa, Piscatora... Picassa i Picabii, wyciągnąć z lamusa czy ze strychu starą, zapajęczoną skrzynię i z niej zacząć wydobywać i rozkładać przeróżne niezbyt znów drogie drogocenności, drobne klejnociki, stare szkła, fajki, spłowiałe makatki, zeschnięte „bukiety makartowskie", wachlarze à la Eugénie, a wśród nich także mumję niedocenionej indywidualności literackiej... w tem wszystkiem ktoś mógłby się dopatrzeć perwersji, ktoś, t. zn. freudysta. Nie, to nie jest perwersja, to jest tylko przekora. Nie można sobie bowiem wyobrazić kogoś drastyczniej antypodalnego, na innej urodzonego planecie, bardziej przedpotopowego, dyluwjalnego w zestawieniu z dzisiejszymi bolszewizującymi smokingowcami, liryzującymi sleepingigantami, teurbanistami, autoreklamerami, skeczokletami, archikombinatorami, lirykerlami, skorpionkami, dyktatorżnikami, jazzbandosami, niewierzącymi jezuitami, wierzącymi bezbożnikami, egzaltantami zakłamania się i z tem całem wogóle ludzi piszących rozmnożeniem tuż przed nadchodzącą bezapelacyjnie likwidacją zapadającej się zwolna ale wspa-

niale cywilizacji nowoczesnej (Untergang des Morganlandes).

Z przekory tedy należy wreszcie takiemu tłumowi jarmarcznemu przeciwstawić kogoś co jest, co był „z całkiem nieprawdziwego zdarzenia". A będzie to taki pisarz, który pisał całe tomy, całe cykle pisał i nic na tem nie zarabiał, nic nigdy nie zarobił. złamanego grosza za to nie dostał, bezpłatnie, bezinteresownie pisał!

Czy można sobie coś bardziej paradoksalnego dziś wyimaginować?

Pisał, za własne pieniądze biedackie wydawał, drukował, potem wracał do domu uszczęśliwiony, egzemplarze pannom i damom wręczał, a potem brał się do następnego utworu. Dzisiaj, im młodsi i nowsi, tem więcej się o swoje należytości targują; tak samo jędzęnędzę przeważnie klepią po plecyskach. ale się targują. Merkantylizm. Prosper-i-ty. Podaż i pokup. Nuda. Kilkudziesięciu wcale a wcale zdolnych, genjalnych, nikomu nieznanych, może ginie z głodu. Nuda. Kilkudziesięciu chce wleźć do akademji (na... Kercelaku) i są „sławni". Nuda. Kilku starców kompromituje się każdym rozdziałem i każdym zewem i odzewem. Nuda. Raz na rok trafi się jedna książka, którą można strawić, a potem znowu? Nuda. Ani jednego talentu, talenciku wśród tych, którzy są awangardą, w r. 1910 urodzoną, tylko wyłącznie zera, zera. Nuda. Tylko jeden tam w Berlinie „interesujący" nadchodzący Adolf .... Nuda. A potem drugi w Warszawie. Ale który? Nuda...

* * *

Otóż w takim, jak obecnie przeżywamy, momencie ogólnego (i szczególnego) rozkładu, koszmarnej dysypacji i dysolucji, gdy się już dokoła ostrym wzrokiem widzi same upiorne larwy, widma, przedrzeźnione twarze, maski z konturami rozpływającemi się jedna w drugą, w takim otóż momencie bezkresnej i nieuleczalnej odrazy do tego głównie, że jest ich (tych literatów) przedewszystkiem za dużo i że są jacyś wzrostem za mali (czy też może zamarli?), w takim momencie akurat godzi się temu wszystkiemu przeciwstawić kogoś co był wielki i to ani formatem, ani rolą odgrywaną, ani puścizną pozostawioną, ale wielki sam w sobie, w swem najgłębszem sumieniu i przekonaniu, wielki w swej bezinteresownej służbie Pięknu, wielki z małej parafji, — warszawskiej, tragicznej parafji.

Miał charakter. ostry, kanciasty, kolczasty, iglicowy, wysmukły charakter. Żył w dobrej atmo-sferze, bo pochodził z dobrej sfery. Ale dziwnej. Lepiej się z nią zapoznać z memuarów słynnej pani Kalergis-Muchanowej lub „baronowej" X. Oczywiście z całego żywota, który trwał przydługo, bo lat 85, trzeba wybrać jakiś okres najważniejszy, tym razem „wiek klęski". Podczas powstania z 31-go miał lat sześć, podczas drugiego powstania — lat 38. Podczas pierwszego powstania zabili młodzi z podchorążówki ojca jego późniejszej ukochanej nad wszystko żony i towarzyszki Zofji, gen. Trębickiego. Zastrzelili najniesłuszniej, zbrodniczo i przypadkowo w nocnym rewolucyjnym zamęcie. A dodać tu trzeba, że sam Faleński był synem już nie ziemianina ale urzędnika... członka osławionej komisji... Nowosilcowa! To są przesłanki biograficzne ważne i poważne. Semper aliquid haeret. Coś z tego na całe

życie zostać musi. Jakieś „niedokwasy" (matka Juljusza żona doktora Béen...) Pani Zofja Faleńska odznaczała się i urodą i rozumem i „muzycznością". Kochało się w niej wielu ale przedewszystkiem Cyprjan Kamil Norwid. Kochał się w niej (t. j. w tej, której ojca zabili powstańcy) rodzony mąż, t. j. ten, którego ojciec był jedną z najniepopularniejszych wśród rodaków postaci, a raczej figur (ojcem Krasińskiego znienawidzony rusofil general Wincenty). Stąd u tych wyjątkowych ludzi w psychice jakiś rys od góry do dołu, coś co ich musiało odosabniać, izolować. Ale i pogłębiać...

Uprzytomnijmy sobie Warszawę tych lat ponurych i posępnych. Warszawę Paskiewicza, Berga, Lamberta, sympatycznego skądinąd wielkiego księcia Konstantego Mikołajewicza, Warszawę Wielopolskiego i „pana Andrzeja" przed „insurekcją" i po „insurekcji"... hermetycznie zamkniętą od Europy, Warszawę skroś jeszcze szlachecką, której tonu i stylu nadawali wyłącznie „jaśnie państwo". „Koterja" Faleńskich z tych lat, w których sir Felicjan najwięcej pisał, składała się z tych familij, które jednak do Rosjan, „opolaczonych" Rosjan inklinowały. Z żadną cyganerją literacką Felicjan nigdy się nie zadawał i tego typu artystów organicznie nienawidził (jak i oni jego). W żadnej „Honoratce" ani w żadnym „traktyjerze" nigdy nie bywał sir Felicjan. Z literatami profesjonalnymi w obcowanie wszedł dopiero w „trzeciej połowie" swego żywota. Można nawet podejrzewać, że nigdy nie pil, podczas gdy ci co pisali jak wszędzie tak i w Warszawie, mocno pijali. Nigdy nie pił i nigdy, zdaje się, nie był pijany ten co napisał pierwsze polskie studjum o Edgarze Poem a że już w r. 1861 napisał, więc może i jedno

z pierwszych wogóle w Europic. Może wogóle pierwsze? Emocje i sensacje alkoholowe zastępowała mu całkowicie muzyka i... konwersacja... salonowa konwersacja z ślicznemi paniami, z Polkami, które w tych latach bywały „aniołami na ziemi“ (Heine). Dobre towarzystwo, dobra muzyka, piękne Polki i dobra literatura. Zdaje się, że przeważnie „konwersowano“ w tej „koterji“ w języku Gauthicra, Musseta, Victora Hugo, którego romantyczne dramaty klasycystyczny sir Felicjan namiętnie tłumaczył, wiarę w jego genjusz apostołując. I teraz nasuwa się pytanie, jak mogło się stać, że cudna pani Kalergis, córka Nesselrodych, wnuczka Polki Trzcińskicj, bratanica wielkiego kanclerza, zamężna za Muchanowem, tak Warszawą jak i teatrem trzęsąca, do r. 1863, „Oberpolka“ i z tego powodu enfant terribile rodziny, nie starała się jednak wprowadzić swego wonczas przyjaciela i wielbiciela na scenę, na scenę ówczesnych „Rozmaitości“?

A tymczasem jakby to była inaczej rozwinęła się twórczość Felicjana, gdyby był na ten przykład zetknął się, ale dosłownie zetknął wonczas z młodziutką, czarnintką, fertyczną, chudziutką Bendówną-Modrzejewską, gdyby był „złamał wiarę małżeńską“, dał się oczarować Helence i w to genjalne stworzonko wpatrzony, wchłonięty, zaczął pisać ale z tą myślą i z tym celem, że dla niej pisze! Ileby rozmachu, ognia, plastyki, bryłowatości nabrały takie kobiece postacie z jego dramatów jak Sofonisbe, Franczeska z Rawenny, Atalanta, Florynda, Miriam? Tak, tak, co tu obwijać prawdę w bawełnę i bawić się w hipokryzję. Wielcy twórcy sceniczni nie mogą życia przeżywać jak wielcy kaznodzieje lub pastorzy. W ich żywocie coś się ustawicznie dziać

musi (Szekspir, Goethe, Sheridan, Moljer, Hebbel, Strindberg, d'Annunzio). Nie można mocne dramatyczne konflikty statuować na scenie, żyjąc całkiem bezdramatycznie, poprawnie, patrjarchalnie, przykładnie, wzorzyście, modelowo. Dramatysta Słowacki kochał się jednak w różnych przewcieleniach Piękna. Sir Felicjan przeżył 85 lat w absolutnej firstclass monogamji, ale to się też cokolwiek... zemściło w bezkrwistości, w bezcielesności postaci jego dramatów. Ma cnota wierności swoje szczyty i wirchy, ale ma też i niziny i doliny monotonne. A dodać tu trzeba, że do jakby profesorskiego, nieco filisterskiego, monotonnego w kolorze egzystowania, powiedzmy sobie, salonowo- zaściankowego przewegetowanego sir Felicjana przyczyniło się jeszcze walnie i to, że Faleński był całe życie „więźniem Warszawy", t. zn., że właściwie z kraju, z Polski, nigdy nie wyjeżdżał i Europy nie zaznał. No, to się też musiało ciężko odbić na rozroście i dynamice poetyckiej imaginacji. Inni wielcy... „stratę ojczyzny opłakali w rymach po Florencjach, Paryżach i Dreznach i Rzymach". Innych „tęsknota za ojczyzną wypędzała z kraju" nawet dość łatwo. Okropnie i bezbrzeżnie można było kochać i wielbić Sarmację i Sarmatów ale zdaleka, na „banicji", na emigracji, pod Mont Blanc, nad Tybrem, pod kopułą Inwalidów. Nawet biedni jak myszy kościelne, bracia Norwidowie, dość stosunkowo wcześnie i bez szczególnych powodów strzepnęli kurz ojczysty z sandałów, unosząc w woreczku jedwabnym po „grudce ziemi ojczystej". Sir Felicjan tkwił w Warszawie jednym ciągiem długich, długich lat zasiedziały i aż do roku powstaniowego w tej, jak powiedzieliśmy „dziwnej", nieco może nawet ko-

smopolityzującej „koterji“, w środowisku nieco odciętem od ludzi, narodowo odczuwających niedolę niewoli warstw społecznie niższych. Do powstania zapowiadał się jako poeta. „jeden z wielu“, Heinista, doskonale władający orężem języka polskiego, wyrażający swe kostyczne, sardoniczne, sarkastyczne myśli w utartych, ale precyzyjnych kombinacjach wersyfikacyjnych, odrazu mistrz-snycerz gazell, ód, elegij, sonetów, pełen humoru i dezynwoltury („Kwiaty i kolce“, 1854). Typowy owych czasów „lutnista“ sztambuchowy, już Benvenuto, ale jeszcze tylko „nasz Heine“, oraz tłumacz kongenjalny Hezjoda, Juvenala, Petrarki, Dantego, Ariosta, Musseta.

Przyszło powstanie Styczniowe.

Do „insurekcji“ odnosił się Faleński, podobnie zresztą jak jego najbliżsi i cała „koterja“ (no, i podobnie jak Norwid), bezwzględnie krytycznie, nieprzyjaźnie i jakby to dzisiejsza „elita“ określiła, po „targowicku“; takimi zresztą targowiczanami w stosunku do listopadowego byli Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Chopin. Tak Norwid jak Faleński w r. 1862 byli po stronie Margrabiego. Dopiero terror powstaniowy, wścieklizna „pacyfikacji“ i orgje represyj przerzuciły i Cyprjana i Felicjana na stronę „czerwonych“ i rozniecily w duszach tych do niedawna tylko „trubadurów“ i „lubowników“ poezji pełny żar patrjotyczny i najgłębsze dla umęczonych rodaków współczucie. Anakreonci przemienili się w Tyrteuszów. Na Zamek przyszedł generał-gubernator Berg von Zagwitz. „Koterja“ rozbiła się i rozsypała. Piękna pani Kalergis-Muchanow (babka Coudenhovego-pacyfisty), zgorzkniała, rozbolała wyjechała zagranicę, aby się powoli zniemczyć

i z entuzjastki Wielopolskiego stać się wielbicielką i przyjaciółką... Bismarcka. Z Moskalami pozrywano wszystkie stosunki towarzyskie i nawet rodzinne. W sir Felicjanie obiit Gustavus natus est Conradus. Era serenad balkonowych przy dźwięku gitary bezpowrotnie się skończyła. Przywrócony pełnej, żarliwej. patrjotycznej religji, ongiś indyferent, ujmuje w ręce harfę Derwidową. Zaczem już z ostatnich miesięcy dogorywającej rebelji datuje się ten wówczas pono wstrząsający wiersz p. t. „Morituri"...

Z najgłębszego też bólu, cierpienia i współczucia rodziły się wszystkie utwory zawarte w tomie z r. 1863 p. t. „Z ponad mogił". Od tego też tomu począwszy Faleński przyswaja sobie już na stałe pewną swoistą taktykę i strategję w wojnie ideowej z moskiewskim najazdem, polegającą na szeroko i głęboko przeprowadzonym alegoryzmie i aluzjonizmie. Zmuszony czy skazany przeznaczeniem na wieczysty pobyt w łańcuchami skrępowanej Warszawie, opuszcza jakby raz na zawsze w swych dziełach teren, krajobraz, ludzi i bohaterów polskich, a przenosi się lub cofa w odległe czasy. w zamierzchłe cywilizacje, w dalekie, mityczne, legendarne środowiska i światy. Nie jest to wyłącznie jego fortelny pomysł i jego strategja, ale on tę umiejętność zamaskowania tematu i wątku doprowadza do skali wirtuozowskiej. Czy to będzie Rzym z r. 509 przed Chrystusem („Brutus"), czy Hiszpanja w r. 710 („Florynda"), czy Rawenna w r. 1275 („Franczeska"), czy Judea za Hadrjana („Syn gwiazdy"), za akcją oficjalną i za maską rzymską czy żydowską zawsze dojrzeć można już gołem okiem bez szkieł drugą, wtórną, wieczystą sprawę polską. A zaczęła się ta Faleńskiego (ugodowca

przed r. 1862) wojna duchowa z Moskwą od dwóch retorycznych, patetycznych wierszy (tom p. t. „Z ponad mogił"), t. j. od „Termopil" i „Pod Kannami", godnych tego, aby wreszcie stały się równie popularne jak Ujejskiego „Pod Maratonem".



Wytworną i symetryczną sylwetę twórcy i odkrywcy „Meandrów", sylwetę distinguished scribnera angielskiego można sobie najprawdziwiej ewokować tylko na tle bibljoteki, przenigdy... nigdy na Judahu czy Czatyrdahu skale... Do przyrody rodzimej czy obcej nie miał właściwie żadnego stosunku bezpośredniego. Był miejski, bibljoteczny przedewszystkiem homo literatus. Jego emocje i podniety szły wyłącznie z lektury, z głębokiego książkowego studjum, nie z życia wprost, bynajmniej z jakiejś obserwacji czy autopsji. Jego faculté-maîtresse — to tylko wyłącznie te dramaty al fresco, koturnowe i akademickie z wielkich legend i mitów z wielkiej areny dziejowej, z wielkiemi konfliktami i dylematami tragicznemi, z heroinami i bohaterami wielkiego jeżeli już nie formatu to fasonu. Zagadnienia i kwestje zawsze nietyle psychologiczne ile kulturalno-historyczne, polityczno-ideowe, przeważnie t. zw. „Staatsaction". Dramatysta Faleński nie miał pretensyj i nie chciał być żadnym créateur d'âmes a natomiast dawał jednostkę w walce z collectivum, jednostkę w walce z fatum, z przeznaczeniem, z mojrą, i to zawsze jednostkę mocną, bezwzględną, twardą, dorycką lub gotycką. W jego parafrazach mitów i afer historycznych nie dusze i nie serca ścierają się ze sobą śmier

telnie, ale idee, koncepcje polityczne, kierunki. Z tego też powodu jego postacie nie są z normalnej gliny, nie mają miąższu, ani skrzydeł, ani pięści, choć trzeba przyznać, że gromko i sierdziście perorują, dialogizują i... deklamują. Tego nie należy bynajmniej zatajać, że to są posągi; jeżeli bardzo udale, to z alabastru, jeżeli mniej, to nawet z... gipsu.

Do normalnego dzisiejszego czytelnika żaden z tych utworów przemówić nie zdoła ani go nie przekona, nawet „melomana". Nie zaimponuje mu ani skoncentrowana akcja, ani zwarty, skondensowany dialog, ani dialektyczne delikatesy i finessy, ani czystość linearna w kompozycji, ani znowuż klarowność i nieskazitelna swada językowa, ani nawet bezsprzeczna obfitość okwiecenia, amplifikacyj, metafor, hiperbol, porównań, przenośni. To jest jak zresztą i swego czasu zawsze była literatura dla literatów, sztuka dla sztuki, sam Parnas, Helikon. Te kwiaty papierowe dla profana-czytelnika nie miałyby żadnego, nawet sztucznego zapachu. Na nowoczesnego dzisiejszego „konsumenta literatury" to całe wirtuozostwo kontrapunktu wersyfikacyjnego, i te enjambements, i ta dyscyplina w poprawnem rymowaniu, i ta pedantyczna „średniówka", i te znów nierymowane pięciostopowe jamby, i ten „biały" wiersz (śladem stopy antycznej") i ten trzynastozgłoskowiec i ta cała staromodna kantylena rymiarska, muszą działać przez swą monotonję wprost nasennie, usypiająco. Czy to w strofach czy w skandowanej prozie (même quand l'oiseau marche on sent qu'il a des ailes), zawsze to jest tylko retoryka, koturnowość (ale nie nowość!) i antyk, nie antyk helleński, nowy, inny antyk jak np. u Wyspiańskiego, tylko antyk konwen-

cjonalny, patentowany, klasycystyczny. Miłośnika znowuż słowa, słownictwa, piękno-słowia, krasy werbalnej, dość szybko u tego istotnego „władacza" (wirtuoza) zrazić mogą niedomogi ekspresji malarskiej, szarość kolorystyczna i taki już brak wszelkiej polichromji językowej, że np. Rzymianie, Żydzi, Maurowie, Italczycy, Polacy przedjagiellońscy (w „Jadwidze") mówią taką samą, zawsze dostojną wyszukaną gwarą parnasowską... Jest ten defekt tem więcej irytujący, że przecież najmodniejszym tych czasów romansopisarzem był Walter Scott, już w swoim „Ivanhoem" język historyczny patynujący, że już przecież Morris, Thackeray, Chatterton (z dawniejszych) stary, omszały język merry England wydobywali, w Polsce zaś Rzewuski, Kaczkowski, Kraszewski, ba, nawet dramatysta Magnuszewski... Więc nawet takiej satysfakcji i emocji artystycznej nie miałby tutaj przy ekshumacji dzieł Faleńskiego czytelnik wyższej gildji, języka starego amator.

*
* *

Po powstaniu styczniowem, kiedy rosyjska soldateska zaczęła szaleć rozwścieklona, kiedy zapełniły się więzienia, konfiskowano majątki i cenzura gniotła wszystkie objawy i odzewy myśli wolnej, niepodległej i narodowej, obolały, przybity cierpieniami (i szmerami w sumieniu) Faleński wpadł w ostateczną pono depresję i rozpacz. Człowiek był silny, pozornie suchy i sztywny. W zimie z 63-go na 64-ty atoli tak go zgięły przeciwności, że rodzina, bojąc się o stan nerwowy i umysłowy poety, postanowiła go gdzieś wyprawić, byle najdalej od „ziemi mogił i krzyżów". I wtedy Felicjan wybrał sobie i zdecydował pewne miejsce „zagra-

nicą", dalekie a bliskie, — całkiem dotychczas nigdy nikomu nieznane. I pojechał nad... polskie morze, na Pomorze, do Kaszub. Jeden z pierwszych, jeżeli z Warszawy nie pierwszy. I zamieszkał sobie w miasteczku „Putzig" czyli w Pucku.

I w tem to kaszubskim ale raczej niemieckim małym, maleńkim Krähwinklu wynalazł dla siebie tę formę poetycką swego wypowiadania się, która pozostała już na zawsze związana, zespolona z jego tylko nazwiskiem t. j. meander — linearny zygzak na skraju chitonu greckiego i równocześnie mała wijąca się dziwnymi skrętami rzeczułka w Helladzie. Jak Japończycy w utach, tak Felicjan w udoskonaleniu tego kształtu wersyfikacyjnego doszedł do perfekcji, precyzyjności i arcymajsterstwa.

I oto co muszę raz powiedzieć ze stuprocentową pewnością i wiarą.

Gdyby Faleński był Francuzem i gdyby nic innego nigdy już nie napisał jak tylko tę jedną i drugą girlandę meandrów, to już tylko za to miałby sławę światową, zaliczałby się do klasyków, jego hermy stałyby w Panteonie i pod kopułą u Nieśmiertelnych, w szkołach uczyłyby się tego dzieci. Ani o jedną uncję więcej genjalności niema w Chamforcie, w Larochefoucauldzie, w Vauvenargues'u, a może i w Pascalu, a może i w Montaigne'u. Tkwi w tych meandrach cały system praktycznej filozofji życiowej, jeszcze nie odnaleziony w Polsce i nie odkryty dla ogółu. Miód mądrości. Kryształki promieniującego radjum. Klejnoty doświadczeń i doznań. Maksymy i morały przewodnie. W epigramatyczną oprawę ujęte essaye Montaigne'a. Traktaty moralne w pigułkach. Przypowieści na każdą nie-

dzielę i święta. Ostrzeżenie dla wodzów, zwycięzców i zwyciężonych. Porady dla zwątpiałych i zrezygnowanych. Pociechy i podniety dla przemęczonych. Drogowskazy dla zbłąkanych. Pożywka dla upadających. Światełka dla ślepców...

Gdyby Faleński urodził się był Francuzem, cała inteligencja polska umiałaby na pamięć po kilka meandrów.

Gdyby Polacy nie byli, jak to orzekła Marja Czyszczoniowa w Chabówce, „naród jezd zdolny telo niecokolwiek głupi", toby „Meandry" ryte w śpiżu i marmurze, drukowane, malowane, kaligrafowane, wisiały na tablicach, w parlamentach, departamentach, wszechnicach, gimnazjach, radach miejskich, na giełdzie, w klubach, resursach, kolegjach, kancelarjach.

Polak z narodu Polaków, który w tak epigramatycznej, łapidarnej, lakonicznej, zwięzłej, spiętej, oszlifowanej formie, w minimalnej ilości a w maksymalnej ważkości słów potrafi zawrzeć tyle myśli, tyle idej, refleksyj, zasłużył sobie nietylko na wdzięczność, ale i na nieśmiertelność. Z zemsty naród Gadulów uczcił go monumentem przemilczenia.

*

* *

W tym to Pucku, gdzie samotny i chorowity, wówczas dobrowolny *wygnaniec* szlifował wieczorami swoje „świstki Sylena", swoje sonety a najbardziej swoje meandry, pewnego dnia rozszalała się nad zatoką wściekła nawałnica, taka jak to bywa niekiedy w tej pozornie spokojnej bajorze. Faleński miał głowę przepeł-

nioną wiadomościami z kraju. I wtedy burza dziejowa, która przeszła nad ojczyzną, zidentyfikowała się w jego umyśle z burzą nad tem morzem, o którem nikt wtedy i zamarzyć nie mógł, że będzie kiedyś... morzem polskiem.

I wtedy dla pokrzepienia „serc rodaczych" napisał sobie poeta meandrów wiersz zatytułowany „W zatoce Puckiej".

Dzisiejszym wirtuozom, których jest legjon i jeszcze dwa tuziny, ten wiersz musi się wydać staromodny, naiwny, poczciwy... paczulą czy werbeną zalatujący...

Ale może znajdą się tacy, których wzruszy ten nieznany skromny hymn do Światła nieznanego poety... w 1864 r., a więc 70 lat temu napisany z egzaltacji na widok tego z helskiej strażnicy światła, które i teraz przyświeca naszej marynarce, naszym okrętom...

*

*   *

Teraz jeszcze ostatnie akordy i *coda: finale*.

Tak jest, istotnie: był złośliwy, bardzo złośliwy i kąśliwy i cierpki i niepardonujący. Zawsze szczelnie zapięty i niedostępny, niedopuszczający do siebie zbyt blisko i owoczesnej literackiej czy gazeciarskiej gawiedzi. Sam wśród ludzi. W gromadzie nawet samotny. Pogardzana „śmietanka" odpłacała mu głuchą nienawiścią nie deptanych ale omijanych ropuch. Każda generacja. Warszawa każdego ćwierćwiecza ma swojskich rękodzielników literackich, szewskich beletrystów i krotochwilistów, ma wszędobylskie, zachrypnięte z reklamowania swego towaru małomieszczuchowstwo du-

chowe, zabiegane, zapocone, dużo zarobkujące i dobrze się sprzedające na *vanity fair*.

Można sobie teraz wyobrazić, jak te owoczesne mszyce, obgryzające gałęzie wszystkich dobrze płacących dzienników i tygodników, irytował samem swojem istnieniem taki pisarz, który nietylko nie zarabiał dużo ale wogóle nie zarobkował, nie profitował, nie prosperował z tego co tworzył. Najpierw nań więc hurmą psioczyli a potem hurmą: *conspiration du silence*. Sir Felicjan miał tyle, zdobył się na tyle pańskości w swej *splendid isolation*, że tej zawziętej i rozpanoszonej *ultra crepidam* szewszczyzny nawet nie widział, nie „dostrzegał". I stąd zmowa wszystkich szewskich rękodzielników, *play-wrightsów* (cieśle sztuki) i wygryzanie go i jego „niepopularność" w „Warszawce". Wzamian za to o każdej takiej skrybie („nadwiślańskim Scribem") puszczal sir Felicjan jakieś lotne słóweczko, już dozgonnie odlepić się nie dające. Oni byli fetowani, jubilowani, oprezesowywani (orderów nie było), a nasz parnasista, *par inter inpares*, siedział sobie przy swojej, często „filującej" lampie i sobie pisał (nie komu) swoje parafrazy mitów, stylizacje antyku, swoje pałace na lodzie i groty stalaktytowe, *chamberplays*... Lotu nigdy nie zniżył za żadną cenę ten, może Parnasistów paryskich prekursor. Z najwyższego tarasu swojej wieży ze słoniowej kości nie schodził, laurami i rublami gardził (przez trzy lata 10 egzemplarzy „Meandrów" mu sprzedano), ale bądź co bądź goryczy jednak i żalu za takie traktowanie przez rodaków-robaków nazbierało się w panu parnasiście sporo, skąd też i renomę bardzo jadowitego starca sobie zyskał. Z „Pamiętnika" też widać jak na dłoni, że zbyt wielu bliźnich pod sercem nie

trzymał. Cieśle sztuk *(play-wrights)* i szewscy poeci a ramociarze nie znosili i nie trawili jego grandezzy, jego wyniosłości, jego „pozy", jego ironji, no i co głębiej: wiedzy, erudycji, „oświecenia" zachodniego. Ubierali tę idjosynkrację w pozory i preteksty zarzutu, że jego sztuka to „chłodne piękno" i „zimny ogień"... cyzelerstwo... rezonerstwo... *cerebrum*... tylko mózg... A on ich zato trzymał, w jak najdalszym duchowym dystansie i poprostu, jak się to w owych czasach mówiło, „nie regardował"... albo też pięknem za nadobne odpłacał...

Co się atoli tyczy tego stosunku do... Deotymy i tych insynuacyj sir Felicjana, które mu tak za złe mają niektórzy (jeszcze tamten świat zapadły pamiętający), no to tak po prawdzie dzisiejszej rzekąc, sir Felicjan 90% rację miał. Co to i gadać dalej konwencjonalnie, pietystycznie. Babina wieszczką była narodową ale kabotynką także od czuba do pięty. Wieszczką była i olbrzymie tasiemce rymowate improwizowała a to o Sobieskim, a to o Warneńczyku, i t. p., ale bądź co bądź z kaznaczejskiej kasy emerytalną pensję (choć majętna) po ojcu nieboszczyku brała, na Zamku u generałostwa Bergów (von Zagwitz, ona Ciconia Włoszka) bywała, a bywało, że kiedy znów nie było u niej rozmodlonych rodaków i długowłosych poetów, to i u niej Bergowie bywali! To jest fakt! to wyszło na jaw! Merytorycznie tedy Fałeński prawdę powiedział, tylko nieco przesolił, robiąc z niej osobę na tajnym żołdzie, jak swego czasu Kaczkowski. Tyle zaś tam w tem „wieszczeniu" było szarlatańtwa, ile i w matce „Makrynie" Mieczysławskiej... świętości...

Tymczasem zaś literacka i gazeciarska gawiedź przed

Deotymą plackiem leżała i zabawne dworskie ceremonjały się odbywały i kult nabożny jako dla „Opatrznościowej" „druidessy" i t. p. (znamy to! znamy!). A kto stał z boku i przez *lorgnon* czy *face-à-main* na to sceptycznie patrzył, na tego zaraz *play-wrights* i szewskie majstry... kamieniami. Nie można się tedy dziwić, że te ceregiele patrjotyczne z wieszczką lałusiów warszawskich i ta cała jej popularność, i te jej kawały mistyczno-demagogiczne dumnemu naszemu Leconte de l'Isle'owi działały na nerwostan. Więdnące grafomańskie pannisko, sprytne i przemądrzalskie, leciało na fawory *profanum vulgus*, a sir Felicjan tem gardził, no więc i lejącą rymami jak z cebra dziewicą także. *Inde irae*. Inaczej być nie mogło. Grand... i kumoszka, pustelnik... i markietanka. A jednak o tej babinie groteskowej w szkołach nadal wykłada się cuda (nuda! nuda!), a o naprawdę interesującym i imponującym fenomenie Faleńskiego nie wie ni żak ni bakałarz ni belfer ni uczeń ni pies ni wydra z kulawą nogą ni djabeł, ni pp. poloniści.

Czas kończyć! Powiedzieliśmy: imponujący. Czem? Twórczością, dorobkiem, spadkiem? Mniej. Natomiast: charakterem, postawą życiową i twórczą powagą, dostojnością, stoicyzmem.

Może te dziewięć dramatów to już same skamieniliny, z których tylko polską Pentezileę czy Joannę d'Arc — „Jadwigę" dałoby się scenicznie z sukcesem estymy zgalwanizować.

Zostaną atoli „Meandry", t. zn. szkatuła z perłami. Zostaje człowiek, który był, tu był, w Warszawie żył i mieszkał 85 lat, wysoki, smukły, zawsze zapięty,

sztywny, zamyślony, małomówny, dziwny... Nietutejszy! Wielki pan literacki.

Napisał dziewięć dramatów dla sceny ale nigdy ich na scenie nie widział. Biedny! Nietutejszy!

Z tej przyczyny składa mu się u stóp sarkofagu ten pierwszy wianek suchych nieśmiertelników.

„MARATA“ POWIEŚĆ POLSKA...

Owszem, miała swego czasu duże powodzenie i moc dyskusyj, dyssertacyj, polemik wywołała Cherbulieza powieść polska: „*Les Metamorphoses dr. Ladislas Bolski*“, ale jednak Marata „*Les Aventures de jeune comte Potowski*“ z przed kilkadziesiąt lat przedtem znacznie większe wywołały zdumienie, podziw, niedowierzanie i wogóle sensację...

Trzeba sobie bowiem uprzytomnić i przypomnieć, co znaczyło nazwisko takiego autora tej powieści o Polakach. Obok Robespierra i Dantona trzeci może największy „Przyjaciel ludu“ tragiczna postać jeszcze i przez to, że zamordowana, więc za sprawę ludu „męczennik“. W lipcu roku 1793 stracono na szafocie piękną dziewczynę, która w wannie kąpiącego się zasztyletowała... potwora. Pochowano go w Panteonie. Na Placu Karuzeli pomnik. W każdem mieście były ulice i place Marata. Gmina paryskiego przedmieścia Montmartre podała prośbę o zmianę na Montmarat. Później... uksiążęceni członkowie rodziny Murat... zmienili czasowo nazwisko na... Marat... W pierścionkach i w broszkach nosiły Francuski portreciki karłowatej poczwary. Cztery sztuki o nim napisano, jedną operę. Słynny malarz Dawid dał wielki obraz historyczny: „Śmierć

Marata". Wannę umieszczono w Muzeum pamiątek narodowych.

Chociaż kult Lenina francuskiej rewolucji w różnych czasach przechodził różne fazy to nasilenia, to osłabienia aż do burzenia pomników, kasowania nazw ulic, usunięcia z Panteonu włącznie, to jednakże pozycja „Tygrysa" w dziejowości francuskiej była tak silna, że jeszcze teraz kilka lat temu zawrzała polemika o jego znaczenie i walory moralne i intelektualne. Obskurny skryba talmudyczno-komunistyczny Victor Meric wypisał mocny paszkwil na Charlottę Corday, a wybielił w nim sadystyczne monstrum, na co znów zareagował profesor Edward Herriot wówczas historyk w typie naszego zasłużonego a niedocenionego (wskutek zamieszania się w politykę) popularyzatora Ar. Śliwińskiego. Herriot normandczyk miał już za sobą piękną książkę o „Pani Recamier i jej przyjaciołach". Kiedy Meric splugawił merowi Lyonu „Judytę Normandji", Herriot przysiadł fałdów i opierając się na źródłowych pracach prof. Aularda, na opinjach Michelcta, V. Hugo i romantyków, stanął w obronie Charlotty a przy okazji potężnie poharatał Marata.

*
* *

Tak, niby była to wielkość ten Marat, ale co to za wielkość? Odwaliwszy bronz, zostaje bestja ludzka typu rozgoryczonego grafomana, który za brak sukcesów i triumfów literackich mści się przy okazji na wszystkich i wysyła tysiącami ludzi na szafot. Niektórzy historycy francuscy twierdzą nawet z uporem, że to był żyd. Mniejsza z tem! W każdym razie... doktór medycyny i chirurg, swego czasu w służbie, w gwardji hrabiego

Artois, całkiem przykładny rojalista. Kiedy doktór Marat zadebiutował swoją pierwszą pracą publicystyczną, po której sobie olbrzymi sukces obiecywał („Listy o Człowieku" nakładem Rousseau wyszły w Amsterdamie 1775) pierwszy rąbnął go stary, 82-letni Wolter, a za nim wraz i inni.

Chirurg-grafoman dostał z miejsca megalomanji prześladowczej. Jak nasz zabawny medicus Żeleński *(Buy Boy Poland!)* odrazu zraził się do całego świata. Jakto? On chce ludzkość zbawić, zreformować, uszczęśliwić, a ludzkość do niego z pyskiem i z kpinkami a pierwszy Wolter potraktował go jak jarmarcznego pajaca, pretensjonalną babę plotkarę (moja pani! moja pani!). Gdy na dobitek zjechała „Listy o człowieku" i Akademja, doktór Marat cisnął się i na Akademję („Listy o Szarlatanach") i znów zamiast zyskać sławę pogromcy nieśmiertelników w elicie dworskiej, spotkał się z kpinami i szyderstwem, a aplaudowała tylko hołota. *Inde irae.* Rojalista stał się orędownikiem gminu i przyjacielem wydziedziczonych. W rewolucję, gdzie jak zawsze roiło się od rozgoryczonych scrybifaksów. wskoczył równemi nogami i odrazu wyjechał na pierwsze miejsce... Podczas teroru szalał i formalnie pławił się we krwi ludzkiej. Kiedy monstrum utrupiła boska Charlotta, Robespierre i Danton zacierali ręce i wypili po dwie flaszki Burgunda. Na pogrzebie płakali.

Za cesarstwa wszystkie ślady po Maracie wygubiono, wytarto, wyniszczono i wyprano chemicznie.

*
* *

Z rodziny zmarłego „Przyjaciela Ludu" myśliciela („Listy o Człowieku"), uczonego (protegował Newtona,

Goga, Magoga, Demagoga) została tylko staruszka siostra, panna Albertine Marat... mieszkająca gdzieś daleko i wysoko na Montmartre... w pokoikach niby pełnych pewnych „pamiątek" rodzinnych po zmarłym Żanpolu.

I tę oto siostrę Albertinę staruszeczkę odwiedził w lat czterdzieści kilka po śmierci „Przyjaciela Ludu" taki sobie starszy meloman historyczny, amator dziejowości, zbieracz, kolekcjonista, ciułacz curiozów, pan Paweł Lacroix, który od czasu do czasu pod pseudonimem „Bibliophile Jacob" wydawał sobie rozmaite, takie „migdałki" historyczno-obyczajowe. Miał tam w swym dorobku także i dzieła literackie: próbował sił swego talentu i w dziedzinie dramatycznej; swego czasu napisał także „*Le Rois de Rimbaud*", sceny z życia rybałtów (temat zbliżony do „Żywych Kamieni") pisane językiem staro-francuskim, średniowiecznym, w stylu Villonowsko-Rabelaisoskim złudnie... podrabianym.

(Zwraca się uwagę P. T. czytelników na słowo: podrabiany).

*
* *

Takie podrabiania artystyczne w różnych czasach i w różnych dziedzinach cieszyły się, jak gdzieindziej, tak specjalnie we Francji, dość dużą popularnością. Za naszej pamięci zaistniał wpadunek berlińskich muzeologów z biustem Flory Leonarda da Vinci. Sławne wpadunki paryskie były: jeden z wykopaliskami z Glozel, za których autentyczność przysięgał Salomon Reinach (dostarczał Lipschutz z Odessy) drugi ze słynną tyarą Saitafernesa. W Anglji Szkot Mac Pherson podrobił pieśni Osjana a poeta Chatterton stworzył fikcyjnego

druida Thomasa Rowlanda i pisal utwory podrobione z ery króla Henryka.

W Czechach Vaclaw Hanka podrobil (by podniecić wojowniczość i rycerskość... narodu mieszczańskiego) „Królodworski Rękopis“ z wojnami z X-tego wieku, w których Czesi walczyli ostro ze Sasami.

W Paryżu genjusz-aferzysta Balzac podrobił pierwszy pamiętnik Kata Sansona z epoki Marata (po nim podrobiono drugi „autentyczny“). Mérimée podrobił „Pieśni Iliryjskie“: „Guzla“. Poczem poszedł szereg fałszowanych mistrzowsko pamiętników Ludwika XVIII-go, kuzyna Richelieu, Fouchego, Cagliostra, pani Pompadour, oberszpicla Vidoque.

W polskiem piśmiennictwie takich „podróbek“, „namiastków“ artystycznych falsyfikatów nie było i nie bywało. Jakoś do tego nie mieli żyłki rzetelni Sarmatowie. Rozpytywał o to Paweł Lacroix swoich... krewnych i wtedy zacytowano mu... tylko Pamiętniki Jacka Soplicy... Napisał je szwagier i „Bibliophilea“ i... Balzaca genjalny narrator, powieściopisarz, dziennikarz a niepopularny w kraju ugodowiec, rusofil, przyjaciel kilku wielkich książąt i jenerał-gubernatorów a równocześnie zuchwały wobec nich impertynent, archisarmata Henryk Rzewuski. Z jedną siostrą tego Rzewuskiego ożenił się stary pan... Hański hreczkosiej zatabaczony a z drugą primo voto Sobańską, secundo Czyrkowiczową za trzeciem ryzykiem właśnie ex-senator, mól, zbieracz i gość na poddaszu staruszki... Albertine Marat.

*
* *

Mężowi pani Charlotty z Daszowa musieli jej rodacy dużo, dużo opowiadać o tej Polsce i tych Polakach.

Henryk Rzewuski, który w Paryżu był tak zadomowiony i u siebie, jak w... Petersburgu, jak w Kijowie, jak w Warszawie, zapewne ofiarował mu z dedykacją nie tylko swego po francusku napisanego „Pazia Złotowłosego", ale może i inne swoje mniej lub więcej genjalne paradoksalne elukubracje i narracje. Zdaje się, że „Koterja" Rzewuskich (często gęsto z „Moskalami" i „Moskiewkami" pożeniona) musiała też bibljofila przepoić jakąś dziwną idjosynkrazją do wszelkich „insurgentów", „kosynierów", „powstańców", ba nawet... do konfederatów Barskich. Utwierdziły go w tej idjosynkrazji może jeszcze pamiętniki generała Dumouriez'a... może lektura opata Mably, może nawet Woltera... W dynastji kresowych królewiąt obszarników Rzewuskich dziedzicznie po dziadku kasztelanie Witebskim niecierpiano i 3-go Maja i Konfederatów Barskich... Nie miały do nich sympatji ni pani Ewelina, ni pani Charlotta...

Skąd się atoli wzięła taka antypatja do „Konfederatów Barskich"... u... starego Tygrysa Marata to już jednakże trudniejby zgadnąć, to już jakaś tajemnica. Może jednak „Tygrys" miał w sobie krew wschodnią, a konfederaty wiadomo zacięte ortodoksy i na wszelką... dyzunję zajadłe?...

* * *

Dość, że pewnego dnia pięknego, a było to za panowania króla Filipa („Gruszki") wyszła sobie w Paryżu i pojawiła się w księgarenkach ni stąd ni zowąd nadspodziewanie taka powieść, wydana wprost z autografu, ze znalezionego, odgrzebanego rękopisu samego Marata! Rękopis latami z pietyzmem przechowywała siostra

Albertyna a przed śmiercią wręczyła go bibljofilowi Aimé Martin... Do rękopisu powieści dopisali wstęp. No i sensacja gotowa... Powieść Marata! Marat napisał powieść! Odkrycie powieści Marata! Marat o Polakach!...

Napisał... Marat tę powieść *á la manière* de Rousseau... „Nowa Heloiza“ conieco Crebillon młodszy, conieco Louveta: „Miłostki Kawalera Faublasa“. „Awantury młodego hrabiego Potowskiego“... Oczywiście wszystko skomponowane w listach. Taka była moda romansowa, szał epistolarny: maczać gęsie pióro w inkauście i pisać i pisać. Pisze Charlotta Sapieha do Lucylli Sobieskiej, Zofja Bajoska od Sigmunda Panina (sic), Panin do Gustawa Potowskiego, Potowski do kasztelana Boreińskiego, nunejusz Kujawski do starosty z Tarzina i znów Potowski do Panina a Panin do Charlotty, a Zofja do Lucyli i vis-à-vis viceversa... Dzieje się to w r. 1769-tym, dzieje w Warszawie, na zamku Osselin, w Rociskach, Krasiłowie na zamku Kanin pod Wawrzynowem na wyspie Tarnów, w Pińsku, Kodnie, Suroszu, Maciekowie. Konfederacja Barska (Pulowski, Boniewski) szaleje i dopuszcza się eksecsów na dysydentach a zakochany Potowski kocha się i walczy w obronie... dysydentów... Romans ckliwo-sentymentalny plecie się na tle parków, strumyków, szpalerów, gaików, sal zamkowych, w zgiełku bitw...

Jakimś dziwnym trafunkiem jest ważnym epizodem powieściowym wplątane w korespondencję anonimową słynne porwanie króla Stanisława Augusta przez rewolucyjnych konfederatów... (faszystów?)... Tosamo porwanie, które gra tak ważną rolę w Henryka Rzewuskiego powieści o Adamie Śmigielskim i w H. Rzewuskiego: „Pamiętnikach Soplicy“... Marat stoi subjek-

tywnie i parcjalnie po stronie młodego Potowskiego... (syn Szczęsnego mieszkał w Paryżu)... a przeciw patrjotom-barbarzyńcom i ich... Matce Boskiej Częstochowskiej... Ten to antykatolicki, „antyklerykalny“, francmasoński duch powieści „polskiej“ nadawał dużej autentyczności i wiarogodności temu, że powieść istotnie napisał „Tygrys“, „Wampir“... szef ezerezwyczajki z anno Domini Antichristi... sprzątnięty przez Charlottę Corday Judytę Normandzką...

Mistyfikacja trwała oczywiście krótko. I dość szybko wyszło na jaw, kto był podrabiaczem. Jeden sezon księgarski trwała „gloire“ i polemiki: Marat czy nie Marat? Polonia emigracyjna opus „Bibliophila“ zbagatelizowała i to porówno Biali przy Hotelu Lambert“ jak i Czerwicńce, jak Towiańskiego mistyczna reformacja sexualna i inne kliki, kółka i „gminy“. Kpiono sobie tylko z tej Polski Maratowskiej z jej „Paninami“, „Oselinami“, Lucyllą Sobieską, ...stepami pod Warszawą... i z tego pomieszania polskości z ruszczyzną, z tego samowarnictwa francuskiego.

*
* *

Tymczasem zaś to samowarnictwo w Polsce u francuskich autorów zdaje się jednak być ezemś nieśmiertelnem.

Minęło bowiem lat sto, całe stulecie.

Nazwisko „Marat“ nosi największy wojenny pancernik rosyjskiej, sowieckiej floty.

W Paryżu rezyduje — funkcjonuje płacona hojnie przez państwo propaganda polska z takimi tuzami, jak ex-poeta Lechoń na froncie.

Pomimo tego w kwietniowem „Voila“ czytamy „po-

rządku jeszcze zupełnie w Warszawie nie ma. ale pogromy już są tam rzadsze" pisze p. George Simenon, turysta, który w towarzystwie jakiegoś cicerone wyznania M. zaczął wojaż od domu publicznego w Wilnie.

Pomimo tego w paryskiej „Concordia" (założonej przez Polaka Pawłowskiego), w majowym numerze w opisie Wystawy Ludowej Sztuki Polskiej w Paryżu są w Polsce „bojary". „kustari", Newa i „*en pleine steppe*"... Pomimo tej propagandy dalej w szwajcarskim miesięczniku wojażer publicysta p. de Traz (marzec) widzi w Warszawie... wozy z koczownikami *(lourdes charettes de nomades)*... „naród chłopów i robotników źle odżywianych, wydzielających woń potu i nędzy"... „obecność Azji"...

Tesame „steppy" pod Warszawą są w noweli Claude Frémy *(„Trois villes une femme")*, te same „steppy" są w piekielnym paszkwilu na Polskę Jeana Renauda *(„L'Homme ou loup?")*. Jak sto lat temu w powieści „Marata" jest taki Panin tak w Pierre Rene Wolffa *(„L'Homme au bois dormant")* są pod Serockiem w chateau Segrze obok ziemian „les Pakulskis" szlachcice polscy Kaledziny, są samowary na każdym meblu a w „*robe ucrainienne*" spacerują piękna pani Marfa (u Fremyego: Magda). Nie można się dziwić, że pani ze zamku Zegrze jest na imię Marfa. skoro Polkom w operze Chabriera (do libretta Carré) p. tytułem „Król mimo woli" (premjera 1886) na imię bywało Minka. Aleksina i t. p. i przy lada okazji tańczyły na Wawelu trepaka i kozaka. U Oliviera d'Etchegoyena Polacy ubierają się przeważnie w „skóry baranie". Dla znakomitego znawcy Chopina Guy de Pourtalesa Mickiewicz (którego pomnik stoi zdaje się w Paryżu...) jest autorem „Come-

die Infernal", to znaczy „Nieboskiej", podczas kiedy Paryżanka *purg sang princesse Bibesco* w swej „Catherine Paris" obsmarowując przeraźliwie Potockich z Łańcuta wogóle stawia jako dogmat, że *on n'épouse pas un Polonais*"... Stepy wogóle przewijają się przez wszystkie francuskie „polskie" nowele i powieści poprostu jako ta nić złota w sluckich pasach czy buczackich „kustarach"...



Jeżeli się przegląda Laroussa XX-go wieku (r. 1932) „*Costumes Civiles*" różnych ludów europejskich, to się już naocznie widzi, że pod względem znajomości Polski, krajoznawstwa zaprzyjaźnionego narodu, w Paryżu od czasu powieści Marata „Les Aventures de jeune comte Potowski" i od czasów Cherbulieza „Les Metamorphoses de Ladislas Bolski" i od czasów „Ubu Roi ou les Polonais" nietylko się nie poprawiło, ale raczej pogorszyło. Dusery oczywiście trafiają się i bywają, bo zawsze bywały... „*martyre*"... Jak górnie pisali o Polakach de Maistre, H. Amiel: *belliguex... noble...!!!* Jak piękną postać rewolucjonisty Frońskiego dal Cherbuliez w swej powieści, tak karygodnie na język polski dotychczas nie tłumaczonej! Jak plastycznie wychodzi komendant Paryża Dąbrowski Jarosław w „Commune" braci Margueritów, tak karygodnie na język polski dotychczas nie tłumaczonej... Z jaką rewerencją i czołobitnią pisał do pani Hańskiej Honorjusz (1 Aout 1834) o Hoene-Wrońskim „*grand mathematicien*", „*grand mystique*", „*grand mecanicien*", „*génie si supérieur*". „*la plus forte tête de l'Europe*"... A o Polakach wogóle taki choćby nieśmiertelny dosłownie Bourget w „Cosmopolis": „*Les*

Polonais demeurent à travers des défauts payée bien cher, la race la plus chevaleresquement, la plus follement brave d'Europe"...

Ale stepy pozostały jak były i w Potowskim i w Bolskim... A „*en pleine steppe*" zamki..., na których obok hrabiów Pakulskich w Zegrzu (P. R. Wolff: „L'Homme au bois dormant") rezydują nadal Paniny i Kalediny, którzy żłopiąc czaj z samowarów złoconych patrzą z dumą jak ich Marfy i Magdy, Lucille i Aleksiny rżną trepaka ubrane w ukraińskie „roby"... I jak ongiś w powieści Marata, tak i obecnie w reportażach turystycznych Simonina czy de Traza gościnne drogi, szosy, autostrady wiodące przez te... „steppy" podobno nadal są bardzo złe, bardzo niegościnne.

Czyżby naprawdę tak mało się poprawiły od czasów... Marata, jak mało się poprawiła paryska wiedza o Polsce?...

„ADOLF" I NAPOLEON.

Baronowa Constant de Rebecque w Paryżu wydała u Plona książkę p. t. „*L'Inconnue d'Adolphe: Correspondance de Benjamin Constant et d'Anna Lindsay*" (1933).

Więc tedy zagadka, szarada, „krzyżówka" jest już definitywnie i na amen rozwiązana. Zresztą tajemnicą to już nie było oddawna, gdyż od dawna wiedziało się, że... „Eleonora" to jednak nie żadna Polka. gdyż Polki na leporellowej liście amorów Benjamina Constanta nie było. Dobrze jednak się stało, że prawnuczka największego antagonisty i wyśmiewcy, czyli jak się to mówi „wroga" (od tego, że musi stać w rogu) Napoleona wreszcie wydała tę korespondencję, gdyż to rzuca nam pełne światło i na prototyp powieściowy i na wewnętrzne uczuciowe życie tego wielkiego polityka i pisarza francuskiego, który obok zresztą i innych ówczesnych piszących na Napoleona się... „nie godził"...

O Annie Lindsay od dzisiaj właściwie wiemy już wszystko. Była z pochodzenia Irlandką, jednem z dziewięciu dzieci emigranta Jeremiego O'Dwyera. który w Calais osiadłszy prowadził portową gospodę. Dziewczęciem wyjątkowo uroczem. delikatnem. kasztanowłosem zaopiekowała się duchessa Fitz-James, patronka irlandzkich emigrantów w Paryżu. To rozstrzygnęło o Anny wielkiej karjerze światowej. która jak każda

karjera jednak miała swoje blaski i cienie, swoje siedem lat tłustych i siedem lat chudych. Kiedy dziewczę liczyło dwudziestą wiosnę, zakochał się w niej *earl of Melfort*. I ożenił. Jakiś czas trwało szczęście w „cichym zakątku", poczem *earl* zostawszy lordem i zostawiwszy jej synka na pamiątkę najspokojniej wrócił do Londynu i ożenił się „w swej sferze". Drugim był Francuz, z wysokiej rodziny Lamoignon, który musiał emigrować znowuż na drugą stronę kanału. Wybucha bowiem rewolucja, Wielka Rewolucja. W tej rewolucji ginie na szafocie wśród tysięcy, tysięcy ofiar i pewna Polka... księżniczka Rozalja Lubomirska. Trzeba to sobie zapamiętać, gdyż ten szczegół będzie później grał pewną rolę. Anna Lindsay mieszka jakiś czas w Londynie i tu u boku swojego majętnego przyjaciela gra dużą rolę towarzyską, prowadzi wielki dom dla emigracji arystokratycznej. W r. 1799 już większa część tej emigracji jest z powrotem w Paryżu i August de Lamoignon ze swoją przyjaciółką, uznawaną towarzysko za żonę wraca oczywiście także i dzięki Annie, jej staraniom, jej stosunkom i wpływom odzyskuje swoje latyfundja, swój chateau.

*
* *

W „Comedie Française" jest wtedy największą męską „vedettą" tragik Talma. Ten tragik przyjaźni się z pewną bardzo ważną i sławną osobistością i uczy ją efektownych manjer, rzymskich gestów i kunsztu krasomówczego, gdyż osobistość jako wojak i syn bardzo podrzędnego adwokata aż z Ajaccio (Korsyka) niezupełnie okazuje się predysponowany do roli dyktatora a potem imperatora. Z żoną tego Talmy wchodzi w zażyłe, przyjazne stosunki Anna Lindsay, legalnie lady

Melfort. I oto czy Los czy Pech chce, że na takim fiksie *(five o clock thea)* u państwa Talma kasztanowłosa piękności poznaje pewnego razu wysokiego jak czapla, chudego, ryżowłosego, kościstego gentlemana, z którym może nagadać się swobodnie po swojemu, po angielsku (z innymi trudniej). Wysoki pan, z którym na uboczu piją sobie herbatę, okazuje się nie jakimś sobie przeciętnym salonnardem, danserem, epuzerem, ale „figurą"... osobistością. Ma lat 36 i już jest członkiem Trybunatu, nie żadnego Trybunału a Trybunatu. Do tego Trybunatu zaprosił go sam kokietliwy Napoleon, żeby go „obłaskawić". Ale mu się nie udaje. I Napoleonowi bowiem wiele rzeczy się udawało jak z płatka (po maśle), a wiele rzeczy szło po grudzie i klapa. Chudy-rudy był nieugięty. Przedewszystkiem z urodzenia Szwajcar, wolny Szwajcar (Lozańczyk). Potem chował się wśród Niemców i conieco mocno niemczyzną przesiąkł, niemieckich książek się naczytał. Potem skończył uniwersytet w Anglji i to Oxford. Nabrał fanatycznego kultu dla wszystkiego, co angielskie. Parlament to Olimp, a konstytucja to ewangelja. Co drugie zdanie liberalne cytaty z Chathama, z Benthama, Broughama. Godwyn! Canning, Foksy, Pecle. Poprostu myślał kategorjami normalnego, liberalnego Anglika, a obyczajowo *quitt english*. Nawet lepiej grał w angielskiego whista, jak we francuskiego taroka. Jakże taki i w dodatku „baron" *„aristocrache"*, jak wtedy mówiono, mógł mieć w sercu niejakiego Bonaparte, Italjana, który w owych czasach mówił jeszcze fatalnie (sic!) po francusku, cokolwiek był ordynus i „żołdak", nadto autokrata z temperamentu i wielbiciel starożytnych liktorskich *fasces* (pęk rózeg z toporem).

Anna Lindsay poznała Benjamina Constanta w salonie Talmy może właśnie wtedy, kiedy członek Najwyższego „Corps Legislative" przez chytrego „karjerowicza" (uzurpater) powołany doń dla świętej zgody, urągał co się zowie na „*Bonny*" (tak go przezywano w Londynie), na „*Bon à trapa*", condotiera. Widocznie to się jednak odrazu wolnościowej, dziedzicznie liberalnej Irlandce spodobało. Cały Paryż zresztą opowiadał sobie wtedy o zuchwalej opozycyjnej mowie, wygłoszonej w obronie doktryny konstytucyjnej w Trybunacie przeciw *ce faux grand homme*. Bonaparte podobno się wściekał.

I oto miłość od pierwszego wejrzenia na tle podziwu dla cywilnej odwagi i czystości wygłaszanych demokratycznych zasad. Konwersacja u Talmów nie wystarczy. Zaprosimy do siebie, aby na te tematy pasjonujące (polityczne) nagadać się swobodniej, na... ga... dać, naga... dać.

Z nowej książki baronowej wnuczki, z korespondencji Benjamina z Anną widzą potomni, że duet był najwyższej rangi, upojenie bezkresne, ekstaza niebiańska. Niestety trwać to musiało krótko i skończyć się szybko. „La derniere de Ninon" związana była ze swym hreczkosiejem Augustem, który do Paryża raz po raz wpadał a zazdrośnik był znany. Baron zaś też nie był bynajmniej wolny, lecz wprost przeciwnie.

* * *

Italiano Buonaparte miał bowiem jeszcze innego antagonistę w Paryżu, w tym wypadku istotnie wroga zajadłego, bo... babę. Powiedział jej raz w tańcu, trzyma-

jąc w walcu fest w objęciach: „lepiej dzieci rodzić, niż książki pisać". To sobie zapamiętała. A potem raz do Talleyranda, kiedy jadąc długo w powozie odczytali od deski do deski całą „Korynnę": „kupa frazesów". Stary intrygant oczywiście nie miał nic lepszego do roboty, jak polecieć z ozorem do znakomitej autorki, córki słynnego Neckera, a żony szwedzkiego dyplomaty do Stael (Holsztejn), damy, nawiasem mówiąc, też z *„deutsche Bildung"*. Jejmość odtąd nie straciła jednego dnia, jednej godziny, żeby nie poświęcić całej swej energji krasomówczej „awanturnikowi z Ajaccio", tyranowi, zjadaczowi ludów *(demovores)*. Złośliwcy owych czasów, znający wyjątkowo aktywny *sex-appeal* Anny Ludwiki Germainy twierdzili z uporem, że cały jej rankor antynapoleoński datował się od momentu, kiedy właściwie zagiąwszy sobie parol na konsula, chciała przywabiwszy go do siebie swobodnie na... ga... dać się o sprawach politycznych, a tymczasem doznała rekuzy. *Inde irae „Corynny"*. Nie doszedłszy zaś z nim do celu czy do mety (patrz Mason i Levy: „Napoleon Intime") przerzuciła się z płomiennym afektem do jego antagonisty. I baron uległ. Dość często ulegał pięknym pokusom praszczur „kontynentalnego parlamentaryzmu", więc i tym razem uległ temci łatwiej, że jak znów mawiali Zoile, często miewał długi karciane i rulecciane do spłacenia zanim się pod starsze lata, trzy razy zresztą, a zawsze dość poważnie bo posażnie (z Niemkami) żenił.

Musieli tedy wracać biedni kochankowie na swoje gniazda: Anna do francuskiego gentilhomma-tępaka a Benjamin do swej „genjalnej" (w każdym calu) niebogi.

I stąd się wzięła powieść: pierwsza europejska powieść czysto analityczno-psychologiczna. Stąd się wzięło arcydzieło, włączone do klasycznej reprezentacyjnej literatury francuskiej.

Czując bowiem swędzenie sumienia po opuszczeniu biednej Irlandki dla bogatej sawantki, siadł sobie zawsze nieco wygodnicki i sybaracki a mało heroiczny szef opozycji do biurka i zaczął pisać. Kiedyś, kiedy miał lat 11 jedynaście, napisał taką opowiastkę bujdę p. t. „*Les Chevaliers*" nawiasem mówiąc wydaną niedawno (1928) jako specjany druk z błędami gramatycznemi i ortograficznymi. Nadto przecież tyle pisał mów i tyle artykułów, więc wprawę pisarską miał... Siadł tedy i maczając gęsie pióro w inkauście i popłakując (sic) napisał *ex abrupto* na brudno „*roman qui sera mon histoire*". Taka „nowelka". A potem zaczął się z tem obnosić po fixach i po kolacjach. Była wtedy moda takiego odczytywania na głos; któraś z pań zagrała coś na harfie a potem ten i ów czytał. Constant odczytywał swego „Adolfa" w różnych mieszkaniach i u... lady of Melfort..., u pani Recamier (następczyni tronu i łoża po Annie Ludwice Germainie)... a wreszcie i u tejże samej... Wszędzie płakano (sic) przy lekturze. Romansu Con-tanta nie wydrukowano narazie (aż dopiero w r. '8 6). natomiast w obronie zirytowanych ówczesnych bojowniczek sexual-demokracji wystąpiła z ostrym drukowanym paszkwilem grafomanka Zofja Gay; baron figurował w opowiastce pod przejrzystem nazwiskiem: Adolf de Rheinfeld, obsmarowany co się wlezie.

Z jakiej racji atoli ta pierwsza Benjamin Constanta literacka „dama kameljowa", pierwsza z Traviat, pierwsza uwiedziona, opuszczona, zdeklasowana Aban-

donné jest... Polką... i z jakiej racji tragedja Eleonory odbywa się pod Warszawą *that is the question?* Dlaczego Benjamin Constant, Oxfordman nie zrobił jej Angielką ani Włoszką, ani Hiszpanką ani Niemką ani Szwedką, Szwajcarką, Holenderką?

Spece literackie paryskie, „uczeni w piśmie" badacze i szperacze, przyczynkarze i wiatrolodzy tłumaczą to sobie licznie i obficie ale zadecydujemy, że jak na literacki *„creme de la creme"* paryski zgoła symplistycznie i parafjalnie *(„petit paroise")*. Mianowicie zaś tak przy końcu 18-go wieku w ówczesnym Paryżu w dzielnicy Mathurins były liczne takie kąty, które nazywano z polska a to „rue de Pologne", „la Barriere de Pologne"... „la Petite Pologne" nawiasem mówiąc, gdzie zwożono śmiecie... Widocznie tedy Benjamin Constant „tamtędy przejeżdżał" (sic!) w karocy lub konno i ten szczegół mu w głowie utkwił. Associacio idearum? Nie! Głupstwo. Całkiem ordynarne głupstwo. Nonsens!

Eleonora nie jest przypadkowo Polką, z kaprysu inwencyjnego Polką, bo ona jest rozmyślnie choć może i podświadomie Polką.

Przedewszystkiem tkwi w tem spolszczeniu Irlandki u antagonisty Bonapartego jakieś przeczucie przedziwne pani Walewskiej. W pani Walewskiej odgrywa się na historyczną, na publiczną, na wielką światową skalę „prywatna" tragedja „Eleonory" z „Adolfa" Constanta. Kiedy Cesarz poznaje w Warszawie swoją... Eleonorę (rok 1807), imię tej bohaterki powieściowej Constanta jest już synonimem pokrzywdzonej kobiety, dźwiękowo i pojęciowo znanem i utartem w elicie intelektualnej paryskiej.

Nie to atoli tylko. Od czasów Marji Leszczyńskiej, przed której seraficznością korzył się nawet cynik Wolter, kobiecość polska ma renomę, essencjonalnej, spotęgowanej, wyanielonej kobiecości. Znane są światu paryskiemu dole i niedole Marji Klementyny Sobieskiej, żony ostatniego ze Stuartów, znane losy Franciszki Krasińskiej księżny kurlandzkiej. Jak znowuż jedna z Lubomirskich (miecznikowa Radziwiłłowa) staje się Egerją autora „Pawla i Wirginji", Bernardina de Saint Pierre, tak znowuż druga Lubomirska ginie na szafocie. Znający dokładnie Niemcy z licznych podróży, pokrewieństw i entuzjazmów Benjamin Constant musi wiedzieć, że przyjaciółką i powiernicą Fryderyka Wielkiego była „*femme d'esprit*" sawantka Skórzewska, że Goethe w Karlsbadzie i Marienbadzie najochotniej przebywa w socjecie polskiej a dziwacznego dramatysty Wernera „Wanda Koenigin der Sarmaten" może czytał germanofil Constant, może widział na scenie?

Był wtedy bowiem urodzaj na piękne, na mądre, na cichе, na ofiarne, na nieszczęśliwe, na opuszczone, na krzywdzone przez... Constantów i... Napoleonów... Eleonory. O tych Polkach dużo się mówiło. Te Polki były głośne. „Płakał, gdy odjeżdżały z Weimaru"... Goethe. Żenił się z jedną E. T. Hoffman. W Radziwiłłównie kochał się Hohenzollern, w Czartoryskiej Aleksander, a obtańcowywali je w kadrylach generałowie i marszałkowie francuscy.

Nie dlatego więc, że w dzielnicy Mathurins była... ..rue de Pologne" czy „Petit Pologne" powieść o Eleonorze dzieje się pod Warszawą, ale dlatego, że Polka ówczesna była kobietą podniesioną do kwadratu, abso-

łutem kobiecości, synonimem bezbronności i ofiarności niewieściej, „*des ewig Weiblichen*". dlatego „romans swego życia" przetransponował B. Constant na sarmacki... egzotyzm.

Sam lekkoduch. „cicisbeo", „seduktor" (jak wtedy mówiono), opuściwszy jedną Annę, wraca do drugiej Anny emancypantki i literatki, prowadzącej wielki salon opozycyjny, koncentrującej u siebie wszystkich, co nie wierzyli w genjusz Impostora, a więc a to doktrynerów, a to konkurentów.

* * *

Bonny jakiś czas znosi to cierpliwie, wiedząc, że opozycja o ile aktywna i odważna jest „*sui generis kultem a rebours*", na opak i, że każdemu „genjuszowi" raczej pomaga podrażniając niż szkodzi. Wreszcie atoli traci grubas zimną krew, wylazi z niego kapral korsykański i babę przepędza (1803). Za nią do Szwajcarji, do Coppet wyjeżdża także i tytan Opozycji, ale nie z takim ognistym, młodzieńczym zapałem gdyż już ma zdawna apetyt i chrapkę na smukłą, gazelowatą długonóżkę panią de Recamier. To też ile razy może i gdzie może to z tego „raju" z Coppet nasz Whig i wyga zmywa, nawet do Paryża, gdzie Monstrum coraz wszechwładniej rządzi i dokąd raz po raz z przepictranej i masakrowanej Europy wraca z bobkowymi liśćmi na cezarycznej skroni. „Pożycie" Benjamina z boyowniczką erotycznej emancypacji staje się coraz cięższe i okropniejsze, przepełnione dziko ordynarnemi scenami i awanturskami. „Co za harpia"! notuje Benjamin w swoich memuarach. Za niedolę zapłakanej pani Lindsay mści się niejako herod baba — grafoman Egerja, —

Megerja barona. Wreszcie dziko zazdrosna o panią Recamier Putyfara, nie mogąc utrzymać w lejcach rwącego się raz po raz trzpiota-wygę, znajduje szczęśliwym trafem nową ofiarę *(„l'age difficile")*. Ma 45 wiosen, a pan de Rocca o 20 lat omal młodszy. Nastaje rok 1812. Bonny, jako Kserkses. Prusy u stóp. Constant w Niemczech poprawnie, spokojnie przy żonie Niemce (Charlotte Marenholtz v. Hardenberg), Eleonora-Walewska ma syna, poza którym świata nie widzi a pani Stael, autorka „de Allemagne" jedzie za swoim nowym oblubieńcem do Rosji.

I dzieje się tak, że właśnie, kiedy Napoleon jest w Warszawie, pani de Stael przejeżdża przez... przez Wadowice!... Wstrzymajcie śmiech o obywatele, ale przyjmijcie do wiadomości, że słynna pani Stael była w mniej słynnem choć „niebardzo podłem" mieście: Wadowice. Jechała z Tyrolu na Wiedeń, Spytkowice. Izdebnik, a pomagali jej w tym wojażu dziedzice Izdebnika, przeworscy Lubomirscy, głównie jej wielbiciel, założyciel Ossolineum książę Henryk... Potem jechała na Lwów i Brody, tesame Brody, przez które potem w lat 24 będzie przejeżdżał rozkochany, jak kot w marcu, genjalny, ale zabawny Balzak. Wreszcie po różnych perypetjach i stacjach i willegjaturach po miesiącach jesiennych i zimowych dobija „Staelka" do Petersburka i tu dozgonnym węzłem małżeńskim łączy się z panem de Rocca. Napoleon po Berezynie ucieka w saniach do Paryża, zwyciężony i zgrany, babsko w Petersburgu wygrywa, zwycięża i staje na kobiercu.

Co jeszcze?

* * *

A to jeszcze, że kiedy cesarz z Elby wraca do Paryża na okręcie, który nawiasowo mówiąc nazywa się „*Inconstant*", to dość niespodziewanie kilku panów z opozycji się „załamuje"; wraca Fouché, zgłasza się zaproszony Carnot... no i ulega pokusie leader opozycji Benjamin Constant niby... rzekomo dla układania z cesarzem liberalnej konstytucji.

Zdawałoby się, po takiem potknięciu się zostaje skompromitowany na wieki wieków. Ale gdzie tam! Znów jakoś wypływa potem. W tych czasach zmiennych i coraz to innych kompromitowało się przewielu, więc też sobie „liberalnie" i tolerancko gremjalnie wybaczano. I teraz znów Król-Jegomość zapłacił zań długi karciane. (200.000 franków!).

W rezultacie ogólno-życiowym Constant wygrał batalję. Udało mu się umrzeć w samą porę. Wyjątkowo trafił na dobry moment. Po rewolucji lipcowej.

Pogrzeb miał „*first class*" jako „trybun ludu" niezłomny obrońca wolności, demokracji, konstytucji itp. Wprost manifestacja narodowa!

Obok innych wielkich, mówił nad trumną, sławiąc go także sławny, sędziwy Lafayette, Waszyngtona przyjaciel!...

„*L'inconnue*" Anna Lindsay umarła wcześniej o lat dziesięć. On dożył 60. Ona dożyła 56.

Na pogrzebie, znaczy się na sprowadzeniu zwłok... Napoleona musieli chyba być. Ale oczywiście nie razem. Osobno.

Ot *Vanitas Vanitatum et omnia Vanitas*...

MAŁŻEŃSTWO BERNADOTTE.

Bernadottego, to jest jedynie szczęśliwego z pałatynów Napoleońskich, aby zrozumieć, wytłumaczyć sobie psychicznie i etycznie usprawiedliwić z całej działalności, trzeba przedtem do głębi zbadać cały mikrokosmos, cały „kompleks wielkoważności" tej największej ale amoralnej i tylko militarystycznej wielkości.

Przedewszystkiem ci dwaj nienawidzili się, bo musieli się nienawidzieć od samego zarania swych bajecznych karjer.

Tu nie może więc być mowy o apostazji, o zdradzie w typie Marmonta czy Masseny, obrzydliwej bo zaistniałej dopiero od momentu, gdy olbrzymia gwiazda zaczęła raptownie blednąć, a obalenie Tytana było już tylko kwestją czasu.

Syn adwokata z Ajaccio nie cierpiał syna adwokata z Pau już z końcem... 18 wieku, kiedy J. C. J. Bernadotte, generał brygady od r. 1794, w r. 1799 został ministrem wojny i kiedy na niego były zwrócone oczy wszystkich i nadzieje, że Bernadotte po znanym liście do Dyrektorjatu weźmie w ręce dyktaturę i potem za gardło złapie i spęta wściekłą hydrę anarchji. Syn adwokata z Korsyki uprzedził atoli młodziutkiego generała, uchodzącego w on czas i za genjalnego żołnierza i za dyplomatyczno-polityczny łeb pierwszej klasy. Uprze-

dził 18-go Brumaira Bonaparte Bernadottego i zepchnął go w cień. Ale odtąd już i baczny pozór nań dawał i zaliczył do takich niebezpiecznych jak Carnot, jak brat Lucjan, których wszystkie poczynania i poruszenia trzeba było kontrolować, aby nagle dzięki innej konjunkturze zbyt się nie rozrośli i na pierwszy plan nie wysforowali.

Sytuację między dwoma karjerowiczami, mającymi w r. 1799 jeszcze równe szanse, skomplikowały i zagmatwały marjaże: była narzeczona generała Buonaparte, opuszczona przezeń córka kupca, Desirée Clary stała się żoną Bernadottego; przez małżeństwo zaś księcia Józefa dwa młode tygrysy zostały szwagrami. Musieli się więc zapewne ściskać i całować niekiedy, ale kto obserwował tych kuzynów, dosłyszałby chyba zgrzytanie zębów Bernadottego a w Buonapartem dostrzegłby podejrzewanie nieufne, czy ten kuzyn w uścisku kości zgruchotaćby mu nie zechciał. Generał brygady Bernadotte odznaczył się militarnie tłumiąc w r. 1800 powstanie Szuanów, potem jeszcze drugi raz pod Austerlitz (za co otrzymał marszałkostwo) i na tem militarnych laurów koniec. Napoleon lekceważył go jako stratega całkiem ostentacyjnie; wpadł zaś w pasję, kiedy po bitwie pod Wagram w rozkazie dziennym marszałek Bernadotte nazwał Saskie wojska: „granitową kolumną". Nielubiany szwagier odtąd wpadł już w całkowitą nielaskę. A kiedy Bernadotte objawił życzenie stanięcia na czele armji portugalskiej, Buonaparte ofertę tę odrzucił.

Odtąd datuje się już jawna nienawiść obu synów adwokackich, którzy zrobili „błyszczące karjery". Nie pomaga obdarzenie Bernadotta tytułem księcia Ponte-Corvo. Raz po razu Bernadotte zachowuje się wobec ce-

sarza impertynencko i łajc go przy ludziach. Zwymyślał cesarza po koronacji generał Delmas. Marszałek Lannes złajał po bitwie pod Aspern za niewydarzone „boga wojny" pomysły strategiczne. Ale cesarz to zniósł cierpliwie, bo to szło od tęgich wodzów. Z Bernadottem kłócili się dość ordynarnie, pono ząb za ząb, bo cesarz wiedział, że rywal z r. 1799 stale konszachty ma z „jaczejką" antynapoleońską baronowej Stael-Holsztein, z B. Constantem, z Lafayettem gardzącym „awanturnikiem" i makaroniarzem z Korsyki, a jawnie faworyzowany jest przez Talleyranda, no i utrzymuje stosunki nawet z tym potworem hrabią Pozzo di Borgo, dyplomatą też korsykańskiego pochodzenia, który z nienawiści do parwenjuszów Buonapartych dla nasycenia zemsty „*rendetty*", przeniósł się nawet do Petersburga i tam judził cara Aleksandra i rozpoczynał organizować koalicję. Cesarz gardził dyplomatycznymi talentami Bernadottego a Bernadotte całą *gloire* l'Empereura przypisywał talentom wszystkich innych wodzów, a najmniej temu grubasowi niezgrabnemu, który wszystko co umiał, nauczył się rzekomo z dzieł o taktyce colonela Guilberta (r. 1770). Z biegiem lat tak pod rok 1810 Bernadotte stroniący od Tuillerji i Fontainebleau, całkowicie odsunął się i od dworu i od familijki wyraźnie frondując i ciesząc się z każdej gaffy i klapy Cezara.

Tem też można wytłómaczyć sobie to, że Napoleon tak łatwo zgodził się na udzielenie swego pozwolenia i sankcji na pewną propozycję Bernadottemu postawioną, która miała stać się fundamentem jeszcze większej karjery księcia Ponte-Corvo i z syna adwokata z Pau zrobić protoplastę dynastji i dziś sobie szczęśliwie panującej.

Od 18-go Brumaire'a, od rozpędzenia „Rady Pięciuset", zaczęła się rozbudowa wspaniałego Empiru. „Czystka" w wojsku, t. j. usunięcie 6000 oficerów rewolucyjnych *(les vrais braves)* dała temu początek. Kiedy Montesquieu oświadczył, że: „niema monarchji bez szlachty", Napoleon, coraz bardziej rozwścieklony na Jakobinów, rozpoczął stwarzanie tej swojej nowej wojskowej szlachty. Kokietowanie przepłoszonego, ledwo ocalałego Faubourg Saint-Germain nie udało się z kretesem. Wobec tego już w maju 1804 mianowano 18-tu generałów marszałkami (których liczba z czasem doszła do 30-tu), a marszałkom tym rozdawał Cesarz księstwa, tytuły, majoraty, olbrzymie dotacje i renty. W sumie do r. 1814 zrobiono 31 nowych książąt, 348 hrabiów i 1090 baronów. Rodzeństwo i familja cesarza dostała, oczywiście, największe cząstki z łupów, efemeryczne królestwo Obojga Sycylji (ks. Józef), Holandji (Ludwik), Westfalji (Hieronim), Murat, syn oberżysty z Karolinką ożeniony, księstwo Kliwji i Bergu i t. p.

I oto właśnie, przy rozdawnictwach tych księstw i tych tytułów z tej to właśnie okazji rozpoczęły się też te konkurencyjne kwasy i zawiści, nienawiści i żale do rozdawcy, które sprawiły, że definitywnie przed samym upadkiem opuszczali go kolejno omal że wszyscy, że odchodzili na boki jedni, przechodzili do Bourbonów drudzy, zdradzali go inni, że wreszcie na Elbę, na wygnanie, poszli z nim tylko Davoust i Bertrand, ale i ci (a nawet Cambronne) na krótko; na wyspę zaś św. Heleny ani jeden.

W konwencjonalnej, podręcznikowej historji (i na obrazach Verneta) marszałkowie i generałowie Napoleońscy przedstawiani są jako najwierniejsi, tkliwi, roz-

kochani ślepo w najwyższym wodzu przyjaciele i wielbiciele. Nauka historyczna, pamiętnikarska i epistologja mówią coś wręcz przeciwnego. Napoleon swoją glorją. swoją sztuczną grozą, swoją zachłannością na sławę i chciwością zagarniania wszystkich laurów tylko dla siebie ciążył nad nimi w sposób na dłużej nie do zniesienia. Schlebiali jego „geniuszowi", podsycali jego zaślepienie i wiarę w gwiazdę, ale w gruncie rzeczy, między sobą i w listach często wyszydzali jego megalomanję, nieudolność, komedjanctwo i escamotaż sukcesów. Inni zaś wprost go nienawidzili i pienili się nań potajemnie. Wyprawy i kampanje: egipską, hiszpańską i rosyjską prawie wszyscy, a *post factum* dosłownie wszyscy uważali za głupstwo, nonsens i z gruntu poronione idee.

Drażniły ich i oburzały blagi i przesady w komunikatach „Monitora". Mieli mu za złe, że w Egipcie załamał się, stchórzył i po Abukirze uciekł, zostawiając dzielnego Klebera na pastwę Dessaixa, po którego stracie na polu chwały, miał zwyczaj zawsze przy tylko wspomnieniu nazwiska na pogotowiu lekko płakać i nosa siąkać. Wiedzieli, że o bitwie pod Marengo wydarto karty z biuletynów i ze sprawozdań, bo podczas, gdy tensam Dessaix z Kellermannem zwyciężali Austrjaków, Napoleon przeleżał gdzieś, zupełnie zdekonfiturowany w... rowie. Pod Aspern też już na włosku wisiała klęska i zagłada Napoleona, gdyby nie genialne posunięcia marszałka Lannes, poczem jednak znów cały laur dostał się Napoleonowi. Nawet pod Waterloo jeszcze cudów męstwa dokonywali marszałkowie Soult i Grouchy. Wielcy wodzowie francuscy widzieli na własne oczy np., jak przeraźliwie bał się cesarz Cadoudala i jak

przy rozmowie obojgu asyście nie wolno było odstąpić go ani na krok.

Marszałkowie i generalicja wyższa znała dobrze „boga wojny" w dezabilu psychicznym, w szlafroku, nie grzeszącego nawet odwagą cywilną a przepełnionego rozmaitemi małostkami, śmiesznostkami, trywializmami, ambicyjkami, próżnostkami.

W rozdawnictwie książęcych tytułów i rent też zaszła pewna okoliczność, która miała swe źródło w bezkresnej próżności Napoleońskiej.

Marszałkowie chcieli dostawać tytuły związane z bitwami, które wygrali albo w których specjalnie się odznaczyli. A temu właśnie jaknajdłużej opierał się cesarz, aby w ten sposób nie rozparcelowali jego sławy, skleconej i zlepionej z kilkudziesięciu bitew i batalij wygranych przez cały szereg wodzów. Obsypywał ich pałacami, zamkami i olbrzymimi rentami (Berthier 1 miljon trzysta franków rocznie), byle wyperswadowali sobie tytuły związane z bitwami. Wreszcie musiał ulec. W latach 1806 i 1807 sypały się jak z rogu obfitości majoraty i tytuły. Pierwszy szef sztabu Berthier dostał Marengo Padwy. Auerstaedt i Wagram, Macdonald: książę Tarento, Ney Elchingen i Moscova, Kellerman Valmy, Lannes Montebello, Marmont Ragusa, Massena Essling i Rivoli, Oudinet Reggio, Morthier Treviso, Augereau Castiglione, Cambaceres Parmę i Dalmację, Victor Belluno, Lebrun książę Istryj, Lefebre Gdańsk, Maret Bassano, Duroc Abrantes Soult... Austerlitz. Cywile także dostawali księstwa.

Przez siedem pełnych lat ta maskarada humorystyczna, wysysająca zresztą ostatnie soki finansowe z różnych miast i ziem ogromnie imponowała Europie.

Doszło do tego nawet, że przezacny i czysty, jak łza, L. Carnot dostał tytuł hrabiowski, a w szeregu orderów i odznaczeń na miejsce austrjackiego „Złotego Runa" cesarz skomponował „Order Trzech Run Złotych" i tem na kilka lat zaćmił Wiedeń i Habsburgów, kreując do tego specjalną kapitułę i teatralne obrzędy!

No, a teraz, co ten cały splendor i te kostjumy i te ordery i te tytuły i te zamki i to łupienie podatkowe kilkunastu narodów europejskich i ta cała cesarska snobistyczna zabawa w świeżą arystokrację i w dworskie dygnitarstwa pomogły w krytycznym momencie rozpadania się zamku z kart fałszywych? Nic! Literalnie nic! Czy tak sowicie i hojnie z malepartów przez Bonaparta obdarzani karjerowicze, awanturnicy, ex-kaprale i ex-jakobini okazali mu cokolwiek nie już wdzięczności, ale normalnej lojalności w roku 1814-ym? Nic a nic. Książę Beneventu i książę Otranto przez całe lata systematycznie podziemnie działali na zgubę i upadek kolosu na krótkich nogach. Lucien, najzdolniejszy z Bonapartych nie chciał mieć nic z nim wspólnego. Murat w Italji pierwszy przeszedł do wrogów. Wieloletni doradca, Fouché, książę Otranto był tym, który kazał mu się w 12 godzin usunąć z pałacu Elizejskiego.

Nie mówimy już o takich, co podskórnie zawsze i oddawna nienawidzili cesarza, jak pospolity zdrajca Marmont lub wstrętny Massena, chciwiec, łapownik, okrutnik, skąpiec, który tylko wycyganiał od okupującego się i przekupującego wszystkich „boga wojny" prezenty w gotówce i w złocie.

Nie mówimy już o marszałku Neyu, zawziętym Niemcu i landsknechcie, który po ucieczce Napoleona z Elby zapewnił Paryż, że „wściekłego awanturnika"

w klatce przywiezie, a potem znów się na „Sto Dni" z nim połączył na to, żeby w końcu znów pójść do Bourbonów na służbę. Ale przecież i zacny Soult przezywał go „obrzydłym awanturnikiem" i „Korsykaninem", zacny generał Rapp przeszedł do Bourbonów, Cambronne z banicji na Elbie szybko wyjechał, a nie pojechali na wygnanie z „ukochanym" cesarzem ani „najwierniejszy" kamerdyner Constant, ani Mameluk Roustam. Z otoczenia, z tych, co się z nim bezpośrednio stale lub często stykali, z tych, co znali człowieka prywatnego, właściwie wyparli się go i zaparli wszyscy. Na banicji chorego, opuchłego, zgorzkniałego, zdziwaczonego nie pielęgnował i nie opiekował się Imperatorem żaden z tych 30-tu książąt, 348 nowych hrabiów, tysiąca baronów i czterdziestu marszałków.

Przyjechała pani Walewska, przyjechała Madame La Mere, ale nie przyjechał ani jeden z tych schlebiarzy, podchlebców, dworaków, adorantów, jak zresztą ani jeden z nich nie chciał początkowo ani słyszeć o jego powrocie z Elby.

Motywów i pretekstów psychologicznych tej bezprzykładnej niewdzięczności, oschłości, obojętności i ohcości nie sposób nie szukać i nie znaleźć w tym bezwzględnie nieludzkiem a nadludzkiem satanicznem ustosunkowaniu się Wielkości przez największe W do bliźniej przeciętności i materjału człowieczego wogóle. Demovores, „zjadacz ludzi", w głębi swej duszy przepastnej traktował to wszystko jako instrumenta zwycięstw i władztwa. Demovores nawet wybrańców, faworytów, ulubieńców uznawał tylko w miarę tego, co od nich wycisnął. Rywalów ewentualnych usuwał bezceremonjalnie jak pionki. Księcia d'Enghien kazał rozstrzelać

tylko w tej intencji, żeby z powrotem zyskać sobie protekcję żywiołów Jakobińskich. Papieżem bawił się jak kot myszką. Uczciwych a odważnych traktował zawsze jako nieudolnych. Sztabowców „zajeżdżał" tak jak pocztowe konie, omal na śmierć. Gdy bitwę przegrywał, zawsze miał kozłów ofiarnych, którym całą klęskę kładł na barki. Gdzie wygrywali i współpomagali i inni, całą zasługę dyktował i rezerwował tylko dla siebie. Nie zawahał się nigdy, aby niebezpiecznych lub chwilowo go zaćmiewających posyłać tam, gdzie musieli albo przegrywać, albo kompromitować się z kretesem. Głębokiego, czysto ludzkiego affektu czy sentymentu nie żywił literalnie ani do jednego człowieka i ani do jednego narodu. „Jedna noc" promiskuicji w „Paryżu odrobić mu musiała" dwustutysięczną ludzką hekatombę. Rezultat? Opuszczenie przez wszystkich, podczas gdy Cromwella, Wallensteina, Waszyngtona nie opuścił żaden z tych, co przy nim z nicości wyrośli na historyczne wielkości. Rezultat? Legendarna miłość doń i przywiązanie ślepe i zoologiczne szarych mas żołnierzy, którzy znali go tylko z „konia" i z emfatycznych historycznych powiedzonek, doppingujących męstwo. Kompletna zimna, sztywna, sucha obojętność przeważnej części wspaniałej plejady tych książąt i marszałków, których zajeżdżał, nad którymi psychicznie stuprocentowo ciężył, których to głaskał to kopał, jak cytryny wyciskał, na Kapitol wyciągał, a potem z Tarpejskiej skały zrzucał.

Szwedzki król Gustaw Adolf IV był co się zowie pechowcem i niedołęgą, który wplątał Szwecję w wojny i z Rosją i z Francją i skutkiem tego stracił dla Szwecji jej najwspanialsze wasalstwa, t. j. Finlandję (rok

1809), Pomorze (t. zw. Vorpommern) i wyspę Rugję. W konsekwencji tego wybuchła rewolucja wojskowa. generał Adlerspare uwięził króla. parlament go wyeksportował na banicję. a królem obwołały Stany księcia Sudermańskiego pod imieniem Karola XIII. Ale Sudermaniec był bezdzietny. I wtedy to stronnictwo francuskie w Szwecji. chcąc zyskać sobie protekcję światowładnego cesarstwa francuskiego wpadło na pomysł, aby następstwo tronu zaproponować któremuś z paladynów Cesarskich.

Czy w podsunięciu kandydatury Bernadottego maczał ręce z Petersburga Pozzo di Borgo, czy też pani Staël-Holstein, znakomita pisarka, żona posła szwedzkiego w Paryżu, z czasem wydalona z Paryża przez Napoleona, ponieważ agitowała i pisała „paszkwile" na boga wojny", to niewiadomo; w każdym razie pani Staël w r. 1810, przed wyjazdem delegacji do Bernadottego w Sztokholmie (ze Szleglem) bawiła. Fakt pozostaje faktem że cesarz jednak licząc na patrjotyzm francuski Bernadottego i na kuzynostwo z cesarską dynastją na tę kandydaturę na tron szwedzki się zgodził. Przedtem jeszcze. aby go tylko mieć zdaleka od Paryża. proponował Bernadottemu gubernatorstwo Rzymu. Ale książę Ponte-Corvo to odrzucił. Propozycje szwedzkie zaś przyjął skwapliwie.

I odtąd zaczynają się niespodzianki na niesłychaną skalę.

Bernadotte traktuje politykę z całkowitym cynizmem, wzorowanym na Napoleońskich kunsztach. Między listopadem r. 1810, a rokiem 1812 Szwecja. która dotychczas brała udział w blokadzie kontynentalnej zrywa ze swoją tradycyjną starą polityką profrancuską

i na podstawie układu w Abo łączy się z Rosją, nawet nie przeparłszy zwrotu zagrabionej Finlandji a mając „obiecane" od Cara posiadanie... Norwegji. Na rok 1812 Szwecja Bernadottego łączy się z koalicją antynapoleońską, wystawia stosunkowo bardzo dużą armję, ale jej zbyt w kampanji nie ryzykuje, gdyż Bernadotte jednak obawia się bezpośredniego wojennego zetknięcia z Cesarzem. W bitwie pod Lipskiem Szwedzi budują most na Łabie, który tak ważną rolę odegrał w przegranej. Do Paryża atoli po raz pierwszy po czterech latach wraca „królewicz szwedzki" dopiero po definitywnym upadku cesarza, wkracza z wojskami innych wrogów. Bernadotte przeżywa całą klęskę Bonapartyzmu w spokoju od roku 1818 już jako król szwedzki. Dopiero też w kilka lat później przyjeżdża doń z Paryża jego żona, dość sobie pospolita mieszczaneczka z Marsylji, ongiś piękna Desiree. Na starym zamku gotyckim Wazów czytają sobie oboje w gazetkach wiadomości o ruinie materjalnej wszystkich Napoleonidów, o powrocie Bourbonów, o chorobie i śmierci Napoleona i o tragedji Orlątka. Syn adwokata z Pau i córka sklepikarza z Marsylji mają piękny, solidny dwór królewski, otoczeni dużą sympatją szlachty szwedzkiej, popularni w szerokich warstwach ludu, szanowani i cenieni w Europie.

Bernadotte rządząc mądrze, konserwatywnie, w zgodzie ze wszystkimi sąsiadami dożywa późnej starości, bo lat 70-ciu kilku, ożeniwszy syna Oskara z księżniczką Leuchtenburską. Po Oskarze następuje wnuk Karol XV, niezmiernie popularny, demokratyczny, pisujący nawet w dziennikach artykuły polityczne i ekonomiczne, ożeniony z księżniczką holenderską, ale że bezdzietny, więc następstwo po nim obejmuje bratanek, dzisiaj w Szwe-

cji panujący Oskar II. wzór królów, sportsmen i najnowocześniejszy typ regenta, mimo lat siedemdziesięciu, również przez naród ukochany, popularny, cieszący się estymą całej Europy.

I oto jak chciało Przeznaczenie, jak rozstrzygnęła „Klio“ muza historji. Wszystkie maleparta Bonaparta poszły do czarta. Tak zwana arystokracja Napoleońska (30 książąt, 348 hrabiów i 1090 baronów) potraciła wszystkie ziemie, zamki i bogactwa, rozlazła się i wsiąkła z powrotem w szary gmin, z którego wyszła. Galwanizacja drugiego cesarstwa trwała też krótko i nie pomogła im do trwałego wydobycia się na powierzchnię. Druga Rzeczpospolita odebrała im jeszcze resztki. Niema śladu z tych 30 księstw Napoleońskich. *Nec locus ubi Troia fuerit*. Jak łatwo przyszło, tak szybko odeszło. „Błyszczące karjery“ udały się tylko jednej generacji. Bonapartyzm przeszedł do Muzeów, do powieści, do poezji, do sarkofagu u Inwalidów. Ani jeden z tych wielkich wodzów, a często awanturników z pod ciemnej gwiazdy, amoralnych karjerowiczów i olśniewających parwenjuszów i żołdaków, nie ugruntował solidnych podstaw swej rodzinie i nie stał się pradziadem protoplastą godnych wnuków.

Na wszystkich zaciążyło jakieś przepotężne Fatum, nieoszczędzające też wiarołomców i odstępców, którzy zaparli się Cesarza, gdy się największemu szczęściarzowi i condottierowi powinęła noga i zaczęła Kryzys.

Powiodło się tylko jednym i jedynym Bernadottym. Tylko progenitura adwokata z Pau utrzymała się na wyżynach życia.

Już nic nie słychać o ostatnim jeszcze Bonapartym, o uczonym i członku Akademji Nieśmiertelnych, księ-

ciu Wiktorze, a króla Oskara natomiast. prawnuka generała z Rewolucji możemy z podziwem oglądać na filmie, gdy albo gra na Rivierze w tennisa, albo przyjmuje defiladę wojsk szwedzkich.

Już nawet w szkołach elementarnych francuskich bardzo krótki ustęp pozostał w podręcznikach dla wspaniałej epopei Napoleońskiej. Natomiast w szwedzkich... długi ustęp, poświęcony temu, jak to pod Austerlitz Jan Chrzciciel Juliusz Bernadotte. późniejszy król Karol XIV, twórca dynastji, pobił księcia Würtemberskiego i ścigał Blüchera...

No więc czy nie lepszy los na loterji życiowej, jako matka rodu *(Ahn-Frau)* wygrała piękna „Marsyljanka", wychodząc za mąż nie za generała Buonaparte, a za generała Bernadotte?...

A tymczasem podobno były lata, lata, w których zazdrościła... Józefinie?

Tak! Tak to się plecie na tym Bożym świecie...

FRAU HOFFMANN NÉE TRZCIŃSKA.

Sto lat temu (1833) Polacy cieszyli się w Niemczech olbrzymią popularnością. Sto dziesięć, sto dwadzieścia... także. Możnaby nawet zaryzykować i sto trzydzieści.

Po powstaniu listopadowem Lipsk, Drezno, Berlin zaroiły się od nieszczęśliwych wygnańców „noble Sarmaten". W Dreźnie Mickiewicz czuł się cieplej, niż w... Warszawie („Dziady": „Salon warszawski"). Na pomniku księcia Józefa w Lipsku paliły się stale lampki a płaczliwe Niemki kładły wianuszki. W dynastji Wettynów Saskich obowiązani byli królewicze i księżniczki uczyć się języka polskiego (przetrwał „*usus*" aż do wojny). W małych prowincjonalnych miasteczkach, nawet pruskich, obok imienia Louise (na pamiątkę królowej) bardzo popularnem było imię „Valesca" na pamiątkę nieszczęśliwej panny Łączyńskiej: zwyczaj ten przetrwał do dzisiaj...

Na prelekcjach Hegla w Berlinie często w audytorjum przeważali... Polacy. Uczony Humboldt wybierając się na Sybir w podróż dobrał sobie za towarzysza uczonego... Witkiewicza. Żyło wtedy równocześnie przeszło trzydziestu poetów niemieckich o rozgłośnych nazwiskach, z których każdy gdzieś kiedyś napisał jakiś wiersz liryczno-sentymentalny o polskich kosynierach,

o polskich insurgentach, o Kościuszce, o „Ostrolenka", o „tysiącu walecznych"... Siedmiu dramatystów niemieckich podjęło się kończyć fragment Schilleroskiego „Dymitra", w którym, nawiasem mówiąc, monolog księcia Sapiehy w scenie Sejmowej zawiera „*in nuce*" cały program dzisiejszego Sorelizmu, Paretyzmu, fascyzmu, antyparlamentaryzmu...

Dramaturg Grabbe planował przez całe lata wielką tragedję o Kościuszce. Lortzing napisał operę o Dubience i Lagience... Geheimrath Goethe jako dyrektor Teatru w Weimarze wystawiał kolejno dziejące się w Polsce dramaty: „*Kreutz an der Ostsee*"... (Z. Werner), „*Wanda Königin der Sarmaten*" (Z. Werner), a wreszcie Kotzebuego: „*Beniowsky oder die Verschwoerung im Kamczatka*", o którym to bohaterze konfederacji polskiej po raz pierwszy dowiedział się Słowacki na „repryzie" wędrownego teatru niemieckiego, granej w Wilnie... Nawiasowo też mówiąc w Wilnie, czy romantycznem (filomatów, filaretów) w gronie profesorskiem było (zaangażowanych przez Czartoryskiego) szesnastu (16) rodowitych Niemców, z których część wykładała po niemiecku... Nasi zaś wielcy romantycy w przeciwstawieniu do klasyków, opierających się wyłącznie na kulturze literackiej francuskiej, zaczytywali się wyłącznie w romantykach niemieckich, których twórczości Brodziński był apostołem... Ojciec Lelewela (nawiasowo mówiąc) pisał się jeszcze Loehloeffel von Loevensprung...

Ulubioną bohaterką wszystkich Prusaczek od Tylży do... Altony była w one lata księżniczka Eliza Radziwiłł, w której kochał się nieszczęśliwie Prinz Wilhelm... A kiedy w Berlinie szła premjera „Fausta", na widowni

zebrała się rodzina królewska w komplecie, dwór, dygnitarze, generalicja i... Polacy: muzykę bowiem do tego Fausta „spisał" znacznie, znacznie przed Gounodem sam królewski namiestnik z Poznania, pierwszy Chopina protektor, książę Antoni Radziwiłł *„der polnische Trubadur"*, jak pisał rozentuzjazmowany, wdzięczny, dumny... Goethe, tensam Goethe który (nawiasowo mówiąc) zwiedzał osobiście jako turysta polski Górny Śląsk *(„Campagne in Schlesien")* i był jeden dzień w... Częstochowie (1790); nie byli w Częstochowie nigdy (nawiasowo mówiąc): Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Norwid, Chopin, Moniuszko etc. etc...

Można śmiało przypuszczać, że na tej premjerze berlińskiej Fausta Goethego... z muzyką Radziwiłła jak w jednym z pierwszych rzędów siedział we fraku cynamonowym z żabotowym gorsem z wysokim „halsztukiem" ówczesny prezydent Akademji Sztuk Pięknych Herr Chodowiecki (Daniel) tak gdzieś tam w dalszych rzędach siedziała też jakaś dziwna para...

Ta para siedziała na recenzenckich fotelach tygodnika... *„Elegante Welt"*. On wysoki, przeraźliwie chudy, z olbrzymią, czarną czupryną rozwichrzoną, i szerokim, czerwonym, demonstracyjnie pijackim nosem; ona... pono typowa Grete „la Blonde". Ten bardzo zatabaczony i nieelegancki recenzent *„Elegante Welt"* nazywał się Hoffman. E. T. A. Hoffman.

Jego to zaś pani i małżowinka była z pochodzenia *„eine Polin"*, córka sekretarza magistratu z Poznania. Panieńskie nazwisko Trzcińska: Marja Tekla Trzcińska.

O tym Hoffmanie dzisiejsza Warszawa *„elegante Welt"* Warszawy (elite może coś gdzieś zasłyszała tylko drogą bardzo okrężną: „Opowieści Hoffmana" w ope-

rze, ongiś modna operetka „Wieszczka Lalek", w Filharmonji Czajkowskiego: „Dziadek do orzechów"... i szluss...

Tymczasem ten sam Hoffman z opowieści to wielka figura w historji literatury światowej „*nomen magnum*". Są o tym Hoffmanie grube tomy monografiezne we wszystkich językach świata (we francuskim cztery). Odkryli go raczej Francuzi i Anglicy, w których piśmiennictwach dał początek całym nowym gałęziom. W Anglji sam Carlyle, poważny historyk, myśliciel, moralista tłumaczył Hoffmana... „nowelki". Francuski romantyzm z wielką dumą wywodzi się od niego jako od swego protoplasty. Z niego idzie też Poe i cała literatura makabryczna, koszmarna, upiorowa, „niesamowita". Autentycznej zaś nieśmiertelności tego pisarza dowodzi chyba to najbardziej. że kilka lat temu duża grupa petersbursko-leningradzkich poetów z jednej tylko jego maciupiuńkiej noweli (Serapions-Bruder) wzięła swoją oficjalną nazwę...

W bibljotece podręcznej każdego wyższej rangi „*scribnera*", czy „*clerka*" europejskiego przynajmniej jeden tom jeżeli nie komplet dzieł E. T. A. Hoffmana znaleść by łatwo. Wielka encyklopedja angielska wylicza trzydzieści angielskich prac i studjów o Hoffmanie. Germaniści wykładają o nim na seminarjach uniwersytetów całej kuli ziemskiej.

No więc teraz chyba wierzycie, że to... ktoś. że to że to wielkość.

Otóż ta to wielkość. powiedzieć można: klasyk, ultraromantyczny klasyk, większą część żywota swego przeżył w... Polsce... i z Polakami i z półpolakami, z germano-sarmatami, z sarmato-germanami...

W Królewcu, gdzie się urodził za jego czasów co trzecie nazwisko mieszkańca było słowiańskie. Dzisiaj jeszcze jest co dziesiąte jak się to miało sposobność pedantycznie śledząc stwierdzić anno Domini 1927 nim się przeskoczyło do Litwy. Rektor w szkole, gdzie się Hoffman kształcił: Wannowski, przyjaciel Kanta (Kanty wywodziły się z Litwinów) kształcącego się na muzyka uczył organista Podbielski; w malarstwo, któremu się poświęcił wtajemniczał go przyjaciel późniejszy... Matuszewski...

Są to lata po trzecim rozbiorze po zgnieceniu insurekcji kościuszkowskiej, kiedy Prusacy okupują Wielkopolskę i rządzą w Warszawie. A jest wtedy taki układ stosunków dziwny, że co trzeci, czwarty Prusak nosi nazwisko słowiańskie, a co trzeci, czwarty Warszawiak nazwisko... niemieckie..., że ugodowcy kompromisujący z pruskim najazdem noszą często prastare nazwiska historyczne hetmańskie i kasztelańskie... Opozycjonistami, ...konspiratorami, niepodległościowcami i... aresztantami są często „Polacy", którzy słabiutko mówią po polsku. Ci się najbardziej wściekają na „*verfluchte Preussen*" (zegarmistrz Gugenmuss)...

Warszawa liczy 70.000 mieszkańców (mieszańców), z czego kilka tysięcy takich żydów, patrjarchalnych, biblijnych, miłych, sympatycznych żydów (w kostjumach).

E. T. Hoffman kończy jurysprudencję w Königsbergu, idzie na praktykę sądową (trzeba z czegoś żyć!) do Poznania, w tamtejszej „Kamerze" zostaje alskultatorem i jako 20-letni szwabek zakochuje się z miejsca i po raz pierwszy w Polce, oświadcza i żeni się z Teklą Marją Trzcińską. Bierze ją jako artysta tem, że ślicznie rysuje landszafty (do kolan) i cudnie gra na

piano... oczywiście przedewszystkiem „włoszczyznę"... Idzie karnawał, pierwszy, z żoną. Auskultator Hoffman bywa i tańczy..., ale, żeby ubawić żonę Polkę odwala cały album karykatur poznańskich pruskich beamterów tańczących. Tekla się zaśmiewa, Szwabek pokazuje to w sądzie, dowiaduje się o tem główny Staatshemorroidarius Excellenz von Zastrow, wpada w pasję i Hoffman *„wird nach Plock relegirt"... stante pedante.*

Dziura jest śliczna, na urwisku nad Wisłą, ale jeżeli *„klein Paris" Warschau* ma 70.000, to można sobie wyimaginować jak widmowo nudnem „gniazdkiem" jest Płock. Od czegóż atoli miodowe miesiące, miodowe lata... i muzyka. Hoffmanowie mają córeczkę w Płocku. Szwabek maluje krajobrazy, szlachciców, kmiotków, konie. I grywa. Często grywa i na organach w niedzielę i święta w klasztorze w Czerwińsku dla pobożnych może Cherubiniego może Palestrinę (o Palestynie i dla Palestyny niema wtedy mowy...). Tu i ówdzie zaczyna już coś popijać z braciszkami zakonnymi i ze szlachtą; niekiedy próbuje już też coś pisać... takie sobie opowiastki.

Po roku Płocka awans: asessor i translocation nach Warszawa. Można sobie wyimaginować jak się urżnął w gospodzie „Pod Wesołym Flisakiem" tego dnia kiedy przyszła opieczętowana epistoła... Wielkie miasto! słynne miasto, stolica, kultura, byli Sascy królowie, „August der Starke", żyć i nie umierać!

Całe życie owoczesnej Warszawy koncentruje się na Lesznie, Miodowej, Kapucyńskiej, Podzamczu, Freta, Starem Mieście, Krakowskiem Przedmieściu. Ani Kopernika, ani Staszyca jeszcze niema; ogrody, domki, ogrody, potem gaje, laski, tu i ówdzie w lasku pa-

łac... Ruch ołbrzymi od rana do późnej nocy (noc zapada o 9-tej). Wozy, powozy, czwórki, cyganie, Włosi, Francuzi. francuscy emigranci, polscy magnaci. „Pod Blachą" Książę Pepi... Ludwik XVIII, wygnaniec, ma się przenieść do Mitawy. Jest teatr, są malarze, grają balety, na Zamku kapeła komponisty Paezego, dobre piwo w „bawarkach" i ogródkach. wódki świetne: jałowiec, kimmel, alembik, żytniówka, starka, wiszniak, akwawita, rosolisy...

Polacy przychodzący z petycjami do kancelaryj kameralnych często mówią ekspedite po niemiecku, taksamo zażywają tabaki, palą faje na bardzo długich cybuchach lub na bardzo krótkich. Polki?... cuda! Tekla Marja najśliczniejsza, ale inne także. Miał Goethe „*recht*", kiedy pisał o „niezrównanym wdzięku" „*Tochter der Weichsel*". A w Warszawie rezydują też te panie, które Goethego znały z Karlsbadu, oczywista „*lauter Grafinnés*" *und* „*Contesses*" „*kasztelanki*"; Jaraczewska, Lasocka, Dembowska, Potocki in Wilanow, Krasiński. Modna w tej erze familja Skarbek nosi śliczny przydomek Habdank... Podobno generał Dąbrowski jeszcze się nie nauczył po polsku... Prince Poniatowski ma matkę wiedenkę i kończył „Wiener-Neustad". Cudna ta Warszawa!

Hoffman rzuca się w wir życia wielkiej stolicy. Jako asessor zajęty jest całymi tygodniami nadawaniem nazwisk tym malowniczym groteskowym Izraelitom. Szkicuje ich sobie w szkicowniku i równocześnie nadaje nazwiska: Wawelberg, Stückgold. Drejfuss, Rothschild, Wasserzug, Schwarzenkopf, Eierschwanz... Popołudnie już ma wolne i oddaje się tylko muzyce. Już są melomani na kwartety i kwintety. Już zakłada z urzędnika-

mi Kamery pierwsze w Warszawie Towarzystwo Muzyczne „*Verein*". Mieszka przy ulicy pryncypalnej (Senatorskiej).

W niedzielę idą pod rękę z Mariechen-Teklą do Ojców Bernardynów. Ona zostaje na dole i modli się ze swymi Polkami ...za Polskę. On idzie na chór i tam śpiewa basso profondo. A czasem siada do organów i gra. a na dole podnoszą wszyscy i zadzierają głowy do góry: virtuozo! Gra Cimarozę, Glucka, Haydna, nowych, całkiem nowych! Trzcińska jest dumna ze swego szwabka. Zaczyna być sławnym. Kiedy z wiosną na Miodowej na pierwszem piętrze grają przy otwartych oknach kwintet może Hummla, dołem na chodniku wśród akacji promenuje „*toute Varsovie*" i staje z podziwem przed oknami niekiedy aplaudując grającym. „*Mariechen*" dumna ze swego Amadeusa (dodał sobie to imię z kultu dla Mozarta). Wreszcie Hoffman musicus wypływa na jeszcze szersze wody jako organizator ruchu i życia muzycznego.

W pałacu Mniszków wspaniałe sale, a opuszczone zaniedbane. Tam trzeba koncerty zaaranżować... Ressoursa. Żeby było ładniej. więc sam z malarzami pokojowymi maluje na pierwszem piętrze „*al fresco*" (*manier tedesco*). Tu się przenosi „*Musikalisches Verein in Varsovie*" i zaczyna się muzykowanie na całego. pełna orkiestra „symphonique" (17 osób!), koncerty. Grają obcych i swoich. W żyrandolach żółte grube świece, w oknach portjery. u bramy portjer. W pierwszym rzędzie prince Kleofas Michel Ogiński z rodziną aplauduje swoje kawałki. Dyrektor Bogusławski „*avec sa famille.*" Państwo Krupińscy (on słynny kompozista). Dalej na sali koncertowej „*toute Varsovie*" to

po francusku, to po polsku, to po niemiecku (*„gebrochen“*) szczebiocąca. Są die Lessel i die Lessers, Deckerty, pan Staschütz, państwo Linde, Lenzowie, Kolbergi, kompozista i aktor Damse, pianista Wolff, der alte Herse, der junge Strassburger, Jantzeny, sędziwy mistrz Stephani (kompozista), die Oppmanns, Elsnerowie oczywiście, trzy rodziny lokalnych Hoffmanów, gräfin Zyberg-Plater, gräfin Broel-Plater, dwie familje Spiess, jak zawsze hrabia Stanisław Kostka Potocki (tłumacz Winckelmanna); gdzieś w dalszych rzędach „metr“ muzyki Adalbert Żiwny i drugi metr... papa Chopin (syn kowala podobno?). Wreszcie na końcu w zgodzie i w harmonji redaktorzy trzech gazetek...: „Gazette de Varsovie“, „Warschauer Zeitung“ i J. K. Szaniawski redaktor „Warszawskiej Gazety“... Panowie przestają częstować się tabaką i kichać raz po raz, kapelmistrz tym razem sam p. E. T. Hoffman podnosi paleczkę i orkiestra rżnie po raz pierwszy: Mozarta... „Uwiedzenie z Seraju“...

I tak mniej więcej życie się toczyło i plotło rok 1804, 1805, 1806 aż do momentu kiedy... Napoleon... bóg wojny... Jena — Berlin... trzęsienie ziemi... wybuch wulkanu.

3-go sierpnia 1806 wjeżdża po raz pierwszy. Konno... Świta... Książęta... Murat... Davoust. Prusaczki uciekają i to szalenie zabawnie. Są o tem szczegóły w memuarach Fryderyka Skarbka. Gubernjum ucieka, beamtery z kamery uciekają. E. T. Hoffman zostaje. Pretekst wynalazł i zostaje siedzieć w logement przy żonie Polce. Pisze jakąś nowelę na tle polskiem (*„Das Gelubde“*). — Poczem maluje pono zaginione Album kolorowe Wojska Polskiego. Jest z żoną stałym

gościem na Placu Saskim na takich rewjach, defiladach wpatrzony w Demiurga. Na tym placu nie sposób, żeby się nie spotkali z inną wielkością literacką też światowej sławy i znaczenia. Nie sposób żeby się wtedy nie spotkali i nie poznali. Hoffman pozostał jako likwidator administracji pruskiej i musiał się stykać z ekipą przybyłych urzędników administracji francuskiej. W tak małem mieście zetknąć się musieli z tym drugim, który był znów urzędnikiem intendentury wojsk francuskich pod rozkazami generała Davousta, a zwał się skromnie Beyle, a pochodził z pół niemieckiego miasteczka Stendhal, a w Warszawie musiał zamieszkać na dłużej, a... także się pasjonował do muzyki, muzyką zajmował i o muzyce pisał.

Przy odrobinie imaginacji można na Placu Saskim natłoczonym warszawiankami widzieć przez lorgnon, jak witają się ze sobą dwaj wówczas całkiem sobie prywatni ludzie, urzędnicy, nie przeczuwający co ich w życiu za gloria nieśmiertelna czeka: pan Hoffman i p. Beyle a pan Hoffman prezentuje Beylego swej żonie: „*ma femme une polonaise*". A teraz werble, bębny i trąby... Na Plac Saski wjeżdża w wielkiej asyście na siwku... Napolion...

W rok później, kiedy cesarz był po raz drugi (grudzień 12—23) państwo Hoffmanowie już byli na stałe w... Bydgoszczu. Znakomity pisarz dostał tutaj lukratywną posadę (30 florenów miesięcznie)... Był dyrektorem orkiestry i głównym kapelmistrzem w Bydgoskim Teatrze. Tak, tak kochani Bydgoszczanie! Tutaj podobno wystawia jako premjerę swoją operę „Udine" do libretta poety niemieckiego o francuskiem nazwisku de la Motte Fouque... Tu jeszcze obraca się wśród Pola-

ków i pije piwko z Polakami... Tutaj umiera mu córeczka jedynaczka...

I stąd, niedługo popasawszy, przenosi się na stałe na „dożywotnio“ do Berlina. Malarstwa już się zaparł, muzyki uprawia mało, jest recenzentem i zaczyna dużo gorączkowo pisać i jeszcze więcej pić i pić (knajpa „Luther und Wegener“). Przy piciu i po piciu powstają jednak arcydzieła narracji fantastycznej: „Mademoiselle Scudery“, „Doża i dogaressa“, „Kopalnie we Falun“, „Eliksiry szatańskie“, „ Kreissleriana“, „Brambilla“.

Do domu wraca zawsze „po fajerancie“ bardzo często urżnięty w sztok, w drobiezgi, na glans, do białego kolana. Chowa koty, otacza się kotami, wprowadza do literatury czarnego kota (*„Chat Noir“).* Napoleona, którego adorował w r. 1807 w Warszawie, teraz bezcześci (*„Der Deubel von Elba in Paris*“ 1815). Szaleje za demonicznym i djabolicznym Paganinim. Polaków unika. Na chórze nie śpiewa, do kościoła nie chodzi, z knajpy nie wychodzi. Pogląd na żonę: że jest z domu „Roehrer“ (nie Trzcińska) i cura domestica. W pożyciu domowem musi być potwornie trudny i męczący, i ciężki, cięższy od Goethego, Byrona, Shelleya, Tolstoja, Dostojewskiego i t. p. no a to już dużo powiedziane. Pisze wyłącznie w transie alkoholicznym, co oczywiście musi się kończyć delirium tremens i *„O Clemens o Pia o Dulcis Virgo Maria*“.

Mariechen Trzcińska przeżyła z nim ongiś przemiłe czasy (Poznań, Płock, Warszawa, Bydgoszcz), w Berlinie przeżywa gehennę. Cudak potrafi być i potworem w ludzkiem ciele, upiorem. Alkohol go rozstraja doszczętnie. Umiera na paraliż postępowy.

Opiekunka i ofiara ubogiego, ale zajadlego pijaczyny żyje po nim jeszcze... jeszcze ćwierć wieku, to jest 25 lat! Za co, jak i gdzie nic nie wiadomo.

I wogóle nic o niej niewiadomo. Przedewszystkiem: żona; żonami wogóle mało do ostatnich czasów interesowali się biografowie i „przyczynkarze" wielkich pisarzy: dopiero w ostatnich czasach nieco więcej. Potem: Polka, więc niemieckich uczonych przez wiek XIX wstydziło to, że jeden z największych i najbardziej. najgłębiej germańskich pisarzy ożenił się z Polką: *lästige Ausländerin*. A znowu dla francuskich biografów ta żona legalna odkryta przez nich (przez Dumasa) „*auteur francisée*", była jakoś za szara, za nijaka, za wierna, za cnotliwa... Amoureusa takiego djabolika i taka kwoka? „*degoutant*"!

Wobec tego należy ją odgrzebać i odkryć. Gdzieś tam muszą leżeć nietknięte źródła zwietrzałe, przez myszy i mole nadgryzione materjały, listy...

Nuże polonisty i germanisty!

MADAME OLIMPE.

Jeżeli Opera Warszawska dostanie kiedyś nowego „awangardowego" reżysera może i Lulka Schillera, to ten Schiller powinien wprowadzić pewną inowację w zawsze przemilej „Cyganerji" Pucciniego, tak sarkastycznie przez konkurencyjnych Hanslicków przezwanego „Wagner für Badcorte".

Gounoda „Fausta", to ten reżyser innowator powinien wystawić w dekoracjach ściśle stary Kraków odtwarzających. Stary Kraków dlatego, że wedle nowych badań niemieckich, historyczny doktór Faustus tylko w Krakowie z XV-tego wieku mógł wyższą alchemję studjować i istotnie tam studjował. Coprawda był ten Kraków ówczesny całkiem gotycki, z mieszczaństwem niemieckiem lekko dopiero się asymilującem, z radą miejską niemiecką i po niemiecku prowadzonymi księgami; na 40 fundatorów Tumu (Domu) Panny Marji w akcie erekcyjnym jest tylko jedno nazwisko z słowiańska brzmiące; dokoła zaś tego Krakowa rycerskie zamki Melstejn, Feldstein, Landskrone, Barwald, Inwald. W takim Krakowie bliźniaczo podobnym do dzisiaj w zakonserwowaniu ocalałego Rothenburga studjował doktor Faustus wszystkie tajne i hermetyczne nauki, bo tutaj te katedry stały najwyżej. I z tej racji powinien nam kiedyś dać Schillerek Gounodoskiego Fausta na

tle swojego rodzinnego Krakowa z Morsztynami, Melsztyńskimi i Lanckorońskimi, spacerującymi w dzień świętalny pod murami... i z Borutą-Mefistem..., a Faust powinien nosić drugie twarde nazwisko: pan Twardowski.

W „Cyganerji" spacerować powinni w trzecim akcie po trotuarach między kawiareńkami obok Paryżan przeważnie Polacy. Powinni być ukostjumowani w bekieszę, czamary, konfederatki, w podniszczone mundury belwederskie, w wyszarzałe płaszcze wojskowe, nawet w wysokie czaka i czapy. Powinni mieć ówczesne bakenbardy jeszcze à la Pepi, lub długie, kręcone, sumiaste wąsiska. Ten i ów jeszcze przy szabli, ten kulejący, lub bez nogi... Możnaby zaryzykować nawet starca z katarynką, która gra... nawet już nieco fałszywie: „Tysiąc Walecznych opuszcza Warszawę". A te towarzyszące im panie powinny być w tualetach wytwornych, ale bardzo, bardzo podniszczonych i przerabianych i mieć... wedle opisu Alfonsa Daudeta „wspaniałe złote loki opadające na nagie karczki"...

Polaków należy wprowadzić do „Cyganerji" Pucciniego z trzech powodów. Najpierw, ponieważ w tej epoce procent Polaków emigracyjnych w małym przed-Hausmanowskim, jeszcze miejscami średniowiecznym, zaniedbanym, ciasnouliczkowym Paryżu był olbrzymi. Następnie, ponieważ ci Polacy mieszkali i bytowali głównie w tem *quartier*, gdzie wagabundowała „La Boheme" i dużą część doby (jak każda emigracja) spędzali w butikach i bistro... dysputując i kłócąc się zawzięcie. Po trzecie zaś z tego powodu, że autor „Scen z życia cyganerji", które są podłożem libretta opery, napisał oprócz tego powieść p. t. „Olympia". a modelem jego

była takieżsamo imię nosząca Polka, pani Olimpia Chodźko...

I oto znów otwiera się perspektywa i aspekt na nowe pole pracy dla naszych romanistów i polonistów. Znowu bowiem jest „*l'inconnue*“, nieodkryta i nieznana, i znowu o niej my rodacy właściwie nic nie wiemy. A przecież teraz to się na całym świecie odgrzebuje i inwentaryzuje! Nawet Niemcy odkrywają nam ciekawe Polki z XIX-tego wieku i niedawno odkryli inspiratricę i amourezę... Lassala... Leonję Gozdzką... i odkryli Polkę, która zrobiła wielką „karjerę“ dworsko-towarzyską, to jest Czapską z Miropola, wyszłą za księcia Ludwika Heskiego. *Ahnfrau* kilku dynastycznych familij... W Paryżu dziennik „Excelsior“ specjalną bibljotekę ugruntował. gdzie będą się ukazywały kolejno z pod piór najznakomitszych (Herriot. de Monzie) wizerunki przyjaciółek wielkich ludzi: wyszły już ta Leonie od Gambetty, ta od Comte'a. ta od Baudelaire'a.

Czasby już pomyśleć o takiem odkopaliskowem wydawnictwie pięknych i słynnych Polek teraz właśnie, kiedy jakoś nastał taki nieurodzaj... i mimo bębnienia emancypacyjnego i trąbienia wyzwoleńczego, mimo kobiecych snów o potędze, władztwie, ujarzmianiu, jakoś nic a nic z tego nie... wychodzi... Ani są bohaterkami zagranicznych powieści jako dawniej bywały, ani też nie odgrywają żadnej roli w żywotach wielkich ludzi, czy wielkich *ecrivainów*. W nowoczesnej beletrystyce francuskiej przewijają się nadal Rosjanki, Rumunki, Amerykanki, Niemki. Prusaczki... (Girandoux, Benoit) murzynki, mulatki (Maoryski... Tahiti...) a o Polkach ani słychu, ani dychu. Fatalnie wyszło się tam z mody nad Sekwaną, nad Tamizą. nad Tybrem...

Gdzie to czasy, w których takie hymny wypisywali o rodaczkach... Leszczyńskiej i Walewskiej Chateaubriand, Lamartine, de Maistre!... Polak Chojecki brał wtedy za bohaterkę... swego dramatu „Afrykankę“ za co my dotychczas musimy ją spreparowaną w librecie słuchać jako operę („Wampukę“...) a ówcześni Francuzi omal tylko w Polkach dopatrywali się tajemnic i cudów. Ale czy tylko Francuzi rdzenni? Przecież taki Francuz adoptowany, taki Niemiec „za wymówieniem“ a wszędzie „krajowy cudzoziemiec“, jak Heine, kiedy zaproszony przez przyjaciela i kolegę Brezę (dziadka naszego kochanego „*vieux Polonais*“ z „Gazety Warszawskiej“) jakiś czas przebył na wsi w Wielkopolsce w otoczeniu pięknych Wielkopolanek... wybuchnął potem z takim entuzjazmem ku chwale... rodaczek... Olimpji Chodźko:

„Teraz jednakże klęknijcie a przynajmniej kapelusze z głowy! Mówić chcę o kobietach Polski. Ulatuję duchem nad brzegi Gangesu i szukam kwiatów najmilszych, by je porównać z Polkami. Gdybym miał pędzel Rafaela, melodję Mozarta, słowo Calderona, być może udałoby mi się wywołać w piersi waszej uczucie, jakiego doznalibyście, jeśliby prawdziwa Polka z krwi i kości, ta nadwiślańska Afrodis jawiła się przed wami. Czemże są plamy barwne Rafaelowego pędzla wobec tych piękności, które stworzył żywy Pan Bóg z radością w najweselszych snać chwilach swoich...“

Jeżeli takim hymnem zapiał taki kostyczny i naokół dziobący wszystkich... Chanteclair, no to już musiało na tem niecoś ale dużo być prawdy.

Murgeroska protektorka i Egerja musiała też kiedyś mieć coś z „nadgangesowych kwiatów“, skoro taki

koneser światowy, taki „roue", „epuzer" słynny jak Alfons Daudet, twórca „Tartarina z Tarasconu" i naszego ukochanego redaktora *L'Action Française* doktora Daudeta (sic! jest także doktorem medycyny) pisze o niej wyraźnie „musiała kiedy być istotnie czarująco piękną". My dzisiaj znamy ją tylko ze stalorytu Jamesa Hopwooda... Śliczna sukienka, jak wycięta z Fredry lub z... Onegina. Dekolcik na dwanaście osób przy stole. Karezek klasa. Perełek sznurek mały, ale w najlepszym guście na szyjce gazeli. Włosięta czarne, jak u kruka, strzępiaste, z przedziałkiem, fryzura i koczek z tyłu. Oczy czarne jak „tarki" (tak się mówiło), inteligentne a smętne...

Obok emigranckiej bryndzy, ciężka nuda pożyciowa musiała być z tym małżonkiem, skoro Alfons Daudet tak o tem relacjonuje w swoim przeuroczym pamiętniku („50 lat życia Paryża"); „hrabina (sic... „*tous les Polonais sont contes*" Balzac w „Kuzynie Biedce") była małżonką starego, poczciwego uczonego, „którego się rzadko widziało na oczy i z którym się nikt nie liczył"... (Widocznie więc safandulski *in summo gradu).* „I pamiętam, jak zawsze o północy równo z uderzeniem zegara zjawiał się we drzwiach stary papa Chodźko z kandelabrem w ręku, przechodził przez salon, mówiąc do wszystkich nieznanych sobie gości z mocno słowiańskim akcentem: *bon jour monsiu, bonjour monsiu*. Poczem znikał za portjerą sypialnego pokoju".

Z trzech emigracyjnych Chodźków Leona, Aleksandra i Michała... był mężem madam Olimpji, ten straszliwy grafomaniak, mól książkowy i t. zw. „jerdoła", który popełniał poematy „Jezioro Cudów", „Noc Pielgrzyma" i t. zw. „Żywoty Narodowe", a o którego dziwactwach

z pewnością dużoby nam umiał opowiedzieć pamiętnikarski encyklop emigracji... pan Wornicki.

Mieszkali Chodźkowie, jak pisze Daudet „nieco na uboczu i nieco za wysoko, tam gdzieś na ulicy Tournon na trzeciem piętrze w trzech zimnych, skromnie umeblowanych pokoikach na podwórze wychodzących"... Ale rytuał towarzyski, ceremonjał „wielkiego świata" jednak i tam bywał obowiązujący: „pamiętam jeszcze, — opowiada papa Daudet — jak w tym saloniku Chodźków śpiewał Pagan swoje hiszpańskie pieśni a pani Chodźko sama roznosiła w filiżankach jasną cieniutką herbatę wygnańczą"...

Daudeta, wówczas już słynnego autora „Arlezianki", Daudeta pięknie wyfraczonego, wprowadził do salonu Chodźków i prezentował „pięknym Polkom o wspaniałych złotych lokach, opadających na nagie karczki" dumny ze swych koneksyj towarzyskich w „wielkim świecie"... i dumny z wprowadzanego gościa *(„mon ami madame")* Henry Murger, rangą pisarską dość sobie podrzędny żurnalista, wsławiony tylko swoimi sentymentalnymi... „reportażami" z żywota swywolnego loretek i gryzetek i ich dorabiających się, zapowiadających... a głodujących przyjaciół i kozetkowych, względnie trawnikowych partnerów... *(„Bois de Boulogne")*. Ona to, pani Chodźko wówczas „już tylko wysmukła, chuda, cienka pani" „zrobiła przedtem olbrzymie wrażenie na Murgerze" i jak zdradza nam niedyskretnie papa Tartarina Leona: „ją to przedstawił Murger w swojej Madame Olympe"... nawet nie zmieniając imienia polskiej... hrabiny z trzeciego piętra... od podwórza. Co to był za stosunek czy „liaison", czy „collage" czy tam grał jaką rolę „sexappeal" i czy autor

„Nocy Pielgrzyma“ został jednym z rogaczów „magnifique“, to już jest problemem wyłącznie dla „tajnych detektywów“ z Reformacji Seksualnej. Niech tam jakiś Armand czy Gaspard Levy poszpera, powęszy, poniucha, to może tam i znajdzie jakiś „muchoir“ ze śladami lub jakiś na trop wiodący liścik a może podwiązkę przechowywaną u spadkobierców Murgera „tego samego fasonu, jaki wówczas nosiły Polki“ na wówczas modnych, białych, ale grubych, bardzo grubych, bardzo niefotogenicznych pończoszkach“...

Sądząc atoli po atmosferze znanej z pamiętników tej koterji emigranckiej, tego milieu Chodźków... pani Olimpia nic a nic nie miała, bo mieć nie mogła ze słynnej... „Olimpji“... Maneta... (czasy zresztą znacznie późniejsze), jak również musiała być czemś właśnie antypodalnem, jakiemś zupełnem przeciwstawieniem tych innych modełek i modeli, które Murger przenosił dotąd z rzeczywistości do swej literatury. Zdaje się, że właśnie jej ceremonjalnie salonowa, „wielkoświatowa“, wyniosła (3-cie piętro na wzgórzach Montmartru) niedostępność („Polki kompromitują się gratis“ mówiło przysłowie), to było to *„das gewisse etwas“*. co na Murgerze knajpiarzu, wagabundzie i cyganie, przyzwyczajonym do natychmiastowej *„l'action directe“* wobec kobietonów zrobiło to „olbrzymie wrażenie“, o jakiem wspomina papa Daudet. Widocznie miał już dość cyganerji bard burd, afer i awanturek swoich Marcelów i swoich Musettek. Zapragnął zmiany klimatu, powietrza mniej przesiąkniętego amer-piconem, absyntem i caporalem, a więcej ozonowego. W środowiskach polskiej bogoojczyźnianej emigracji mógł najłatwiej i najwięcej poznać ludzi wyższej rangi duchowej z gatunku

„*des martyrs et de heros*", jak określił Polaków... Bourget (et de fous). Nie kimmel więc ale... „cienka herbatka wygnańcza" i nie kozetki odrazu i nie loretki od nocy do rany i od rany do nocy... ale... Olimp... Olimpja... konwersacja... djalogji platońskie... platonizm... dotykania... pieszczoty ideowe... I dlatego Henri Murger tak często zaglądał na ulicę Tournon, dlatego szukał towarzystwa rycerskich, męczeńskich Polaków i wymizerowanych pięknych Sarmatek o nagich karczkach i lokach...

Takby się nam zdawało i takby się zdawać powinno. Niestety! po trzykroć niestety! i w tym wypadku bronz, choć bardzo cienko nałożony musi odpaść kawałeczkami.

Murger, ojciec Cyganerji zaglądał też i do... ambasady rosyjskiej od czasu do czasu.

Rok temu niepoczciwe Bolszewiki ze skonfiskowanych Archiwów III-ciego Oddielenia wyciągnęły dokumenty, stwierdzające niezbicie, że sielsko liryczny artysta był przez kilka lat konfidentem carskiej żandarmerji i w tym charakterze składał hrabiemu Orlowowi systematycznie referaty o nastrojach panujących... panujących na biednym, bardzo biednym Olimpie polskich „*des martyrs et de heros et de fous*".

Nic na to poradzić nie mogę. Niestety tak jest a nie inaczej.

MATYLDA HEINE.

Przed dniem 10 maja roku 1933 i tem takiem nieco romantyczno-operowem całopaleniem nadprodukcji seksuologicznej beletryski i komunizującej literatury, przedsięwzięciem zgoła irracjonalnem na razie ale jeszcze niewiadomo czy tak z kretesem niepoważnem, zapowiadała prasa pewnego typu, że ofiarą autodafé padną także i dzieła jednego z wielkich poetów międzynarodowych piszących w języku niemieckim a mianowicie Henryka Heinego. Myśl o tem była dla każdego, kto przeszedł kiedyś przez choćby najkrótszotrwałą fazę kultu dla tego bezdennego cynika ale i liryka skroś genjalnego, nie trzeba zatajać, cokolwiek bolesną.

Heinego „*Buch der Lieder*" ma być rzucone na stos i płonąć razem z ekskrementalnościami takich indywiduów jak Emile Ludwigi, Magnusy Hirschfeldy itp.? Nie! to byłoby barbarzyństwem może całkiem podobnem do palenia 46 prastarych kościołów i klasztorów hiszpańskich, czy choćby 1000 starych cerkiewek rosyjskich. Nie! Heinego powinni oszczędzić! Rewolucyjne legjony młodych zapaleńców niemieckich powinny jednak wybaczyć takiemu poecie nawet: „*Deutschland ein Wintermärchen*". Bądź co bądź Schubert do jego piosenek muzykę pisał, tłumaczono go na wszyst-

kie języki świata, dał kiłka pereł i djamentów liryczno-sarkastycznych, dał „Loreley"! Niechże więc spoczywa w spokoju „*anima naturaliter pagana*"!

I tak się też szczęśliwie stało. Heine nie poszedł na index i na autodafé. Jak skłamano o sabotażu rocznicy Brahmsa, tak zełgano też na conto Heinego.

To też tem swobodniej teraz można przy okazji pomówić o tym świetnym upajającym werwą szataniczną satyryku, którego wizerunek duchowo-moralny tak drastycznie odbronzowiono ostatnimi czasy.

Ponieważ zaś jest to największy as i atut, jaki niemieckiej literaturze dała jej mniejszość rasowa i ponieważ jest to autor słynnego wiersza o „Krapulińskim i Waszlapskim" wyszydzającego entuzjazm i współczucie, jakie dla polskich powstańców i exulantów żywiły romantyczne Niemcy i Paryż, przeto nie od rzeczy będzie zapoznać i polskiego inteligenta o pokłosiu nowej Heinologji i rezultatach ostatnich badań i odkryć. Bądź co bądź jest to przecież jeden z t. z. „*führende Geister*" pewnej kategorji Niemców, z którego są nieopisanie dumni i z którym raz po raz wyjeżdżali na plac, aby udowodnić, jak to wielki był ich wkład literacki do kultury niemieckiej.

Otóż pisząc o nim szkic nieco kostyczny literat warszawski p. Aron Ceitlin (nr. 55 Hajnta 5. VII 1926) zaryzykował między innymi takie zdanko:

„I mnie się zdaje, że gdybym ja był gojem, nienawidziłbym Heinego również".

Zachodzi teraz oczywiście pytanie: dlaczego?

Zwięźle ale bezapelacyjnie odpowiada na to Giovanni Papini w swoim nieśmiertelnym „Gogu". Ale krótko. Znacznie dłużej natomiast i specyficzniej tłu-

maczą to dwaj pisarze znacznie Heinemu bliżsi t. j. prof. dr. Majer Balaban („Nasz Przegląd“ X. 1932) oraz p. H. Roney („Nasz Przegląd“ 5. II. 1933) ergo rzeczoznawcy chyba kompetentni i o żadną złą wolę niepodejrzewani. Można się więc tu oprzeć na materjale bezstronnym, objektywnym i jak to mówią dziś nie partyjnickim.

Pierwszy zdawał sprawę ze świeżutkiej, 326-stronicowej monografji niemieckiej Ludwika Marcusse (Berlin, Rowolth). Książczysko jest widocznie bardzo przykre i bezlitosne; nie bez pewnego lubowania się wywleczono tam w... spokojnych czasach... mniej jasne partje z życiorysu poety. Krytycznie oświetla stosunek i do rodziny „Harryego“ i do bogatego stryja hamburskiego, bankiera Salomona, który był „*bete noire*“ młodocianego debiutanta:

„Nie wadziło to jednak poecie zakochać się w córce stryja, a gdy otrzymał od niej odkosza, zakochał się w jej młodszej siostrze. Lecz i tu nie miał szczęścia i wówczas wydał ogólny sąd o Hamburgu: „że jest łajdackiem gniazdem kupieckiem, w którem żyje dużo prostytutek ale mało muz“ i opuścił miasto, by dokończyć swe prawnicze studja“.

Po zdaniu doktoratu prawa w Berlinie Heine porzucił wiarę przodków i „wdział na siebie liberję Europy“ co ma znaczyć, że przyjął protestantyzm „choć właśnie w tym czasie wypisywał na chrześcijaństwo jak najstraszniejsze kalumnje“. Prof. Balaban ma w tem rację, gdyż właśnie z tego czasu datuje się wiersz:

„Und du bist zu Kreuz gekrochen,
Zu dem Kreuz, das Du verachtest,

Das Du noch vor wenigen Wochen.
In den Staub zu treten dachtest".

Ta „zmiana liberji" nie przeszkadzała Heinemu zresztą bezlitośnie szydzić też z plemienia, z którego wyszedł, jak i ze siebie samego, jako „odszczepieńca". W opisie „miasta Lucei" Heine pozwala sobie na taki wyskok „żydożerczy":

„Wtedy to przyszedł jeden taki naród z Egiptu przynosząc ze sobą oprócz chorób skórnych i kradzionych złotych i srebrnych naczyń także i t. zwaną pozytywną religję. To ta mumja narodowa, która odtąd wędruje po świecie obwinięta swoimi prastarymi zapisanymi paskami, ten skostniały kawał historji świata, upiór, który dla rekreacji handluje wekslami i staremi spodniami"...

Niemniej przeto o takich, co zmieniali liberję dodawał: „czyż te długie nosy nie są rodzajem uniformu, po którym Bóg panujący, poznaje swoich gwardzistów nawet wtedy, kiedy zdezerterowali?" O tem wyszydzaniu i swoich rodzonych współplemienników pisze prof. Bałaban w recenzji z książki Marcussa:

„On będzie przez całe życie wypisywał herezje na bogatych Żydów, a nawet na swego stryja, a wśród tego będzie od niego pobierał bardzo wysokie sumy. Podczas swego pobytu we Francji ośmieszał Heine Ludwika Filipa, jego zwyczaje mieszczańskie i jego ministrów, a nie zawahał się przyjąć — za pośrednictwem historyka Thiersa — stałą rentę roczną (1837—1848), która go miała uczynić „niezależnym" od bankierskiej duszy Salomona Heinego!".

Nawiasem mówiąc dwa lata temu wyszła angielska

książka młodej badaczki literackiej stwierdzająca dokumentarycznie, że Heine równocześnie był aż do r. 1848 na tajnym żołdzie księcia Metternicha, któremu składał systematycznie raporty o stosunkach w prasie i w parlamencie francuskim.

Od tych szczegółów atoli jeszcze nieprzyjemniejsze są te, które dotyczą stosunku sławnego poety do słynnej Matyłdy jego żony i raczej... siostry miłosierdzia. O tem opowiadał... w spokojnych czasach... p. Roney w „Naszym Przeglądzie" dając tytuł: „Heine bił żonę regularnie".

Była to najtypowsza „gryzetka" „loretka" z Montmartru. nie w typie Mimi Pinson. gdyż wysoka brunetka, raczej korpulentna, zmysłowa. prymitywna, ale oddana, ofiarna, bezbrzeżnie dobra, cierpliwa. Heine „zataił przed nią swe pochodzenie" a na weselnej uczcie „kpił ze swego małżeństwa i ze swej narzeczonej", którą zresztą „kupił" od ciotki za 3 tysiące franków. Podczas długoletniej choroby pielęgnowała go. jak anioł stróż, mając dla swej zabawy i pociechy tylko... papugę... Na dobitek w ostatnim roku weszła do nich jeszcze rywalka młoda niemiecka literatka Kamila Selden, słynna „*Mouche*", o którą to „*Mouche*" Matylda była dziko zazdrosną gdyż przy Mouche traktował ją jak sługę. Pomimo tego, po śmierci poety (1856) „w myśl obietnicy danej mężowi pozostała mu „wierną"... żyła wspomnieniami i milczała"...

O czem milczała?

„Heine bił żonę regularnie. Raczej nie bił, lecz niemiłosiernie okładał. Odbywało się to co poniedziałek, a było wymierzeniem kary za przewinienia całego tygodnia. Matylda była trzy razy silniejsza od męża i gdy-

by chciała, mogłaby go zmiażdżyć; poddawała się jednak pokornie egzekucji, drąc się tylko w niebogłosy i płacząc przeraźliwie. Jakaż oryginalna scenka! Subtelny liryk tłucze swoją „*Liebchen*" zaciśniętemi piąstkami po karku, po głowie, po jej pięknych plecach, gdzie popadnie, wyliczając przy tem przewiny, by wiedziała, za co jest karcona".

Pozatem panowała między niemi, jak pisze p. Roney „doskonała harmonja".

Zdaje się atoli, że oprócz poety „Almanzora" „stypendysty" Ludwika Filipa, Rotszyldów i ks. Metternicha, drugiego tej miary i sławy... wieszcza, któryby... „co poniedziałek" bił żonę... „piąstkami"... ludzkość goyów jednak nie wydała.

A jednak 10 maja 1933 przy... całopaleniu... ocalał...

PIĘKNA PANI PRZEŹDZIECKA.

„Goethe war sehr gerührt und hatte Tränen in den Augen. Sprachlos schloss er sie und ihre Schwester in seine Arme und sein Blick begleitete sie noch lange als sie durch die lange offene Flucht der Gemächer verschwand. „Dieser holden Frau habe ich viel zu verdanken — sagte er zu Müller später — ihre Bekanntschaft und ihr wundervolles Talent haben mich zuerst mir selbst wiedergegeben".

Zeltner w Pamiętniku swoim,
Listy Weimarskie, rok 1823.

Tak, tak, niema co ukrywać. Urodzaj był wtedy na takie Polki najwyższej rangi i klasy. Napoleon miał, jak notują pamiętnikarze, łzy w oczach, gdy po jednodniowym pobycie dozwolonym na wyspie Elbie odjeżdżala od niego na zawsze pani Walewska, a Goethe mial łzy w oczach, gdy odjeżdżała... przyszla... teściowa Mickiewicza, urocza pani Szymanowska.

Czy Merimée mial lzy w oczach gdy w roku 1855 po kilkunastu latach przyjaźni dostał od swojej „Sarmate Infidèle" woniejący paczulą liścik kremowego koloru z zawiadomieniem, że jest to list ostatni i że dalszej korespondencji sobie nie życzy, to niewiadomo, a wątpić można. Zaplakać, to on tam nie zaplakał. ale

zgryźć się musiał, skoro zaraz siadlszy do ecrituaru skarżył się znów w dlugim liście do swej drugiej przyjaciółki, lady Seymour w Londynie, że „właśnie straciłem to, co najbardziej kochałem".

Co zaś kochał bardziej i najbardziej autor Colomby i Carmeny, to o tem rozpisywało się szeroko wielu francuskich uczonych w żywotopiśmie, a więc E. Filou (M. et ses amours 1894), Faguet (M. amoureux 1904), Doumic, Sainte-Beuve (Souvenirs et indiscretions), Maxim le Camp w Pamiętniku, Goncourtowie. W cztery lat po jego śmierci w Cannes w r. 1874 wychodzą pierwsze „*Lettres à une Inconnue*"; a w r. 1879 wydaje hr. Hausonville Listy do Lady Seymour; listy do Panziniego, dyrektora British Museum wychodzą w r. 1897 jako „*Corespondence Inédite*"; książę Alba wydaje listy Meriméego pisane do matki cesarzowej Eugenji, hiszpańskiej contessy Montijo. Poczem jeszcze wychodzą: *Lettres à une autre Inconnue*, 1875 (Michel Levy). Widzimy z tego jasno, że listów pisywał dużo. Wszyscy bowiem w tej epoce kadryli, krynolin. łamp naftowych i „pociągów osobowych" pisywali częste i długie listy, z czego my teraz obficie karmiąc swą zachłanną ciekawość korzystamy co się zowie, wdzierając się w najtajniejsze zakamarki i zakulisy uczuciowe wybitnych ludziów z XIX wieku.

Z tej całej literatury o Mériméem wszystko dla poszukiwacza i szperacza jest oczywiście przystępne z wyjątkiem właśnie tego jednego, co nasby najwięcej obchodzilo. Obojętna jest nam bowiem przyjaźń z Aurorą Dudevant, która wyszedlszy powtórnie za mąż za dziennikarza Sandeau wzięła z jego nazwiska „połowę" i przezwawszy się George Sand grafomanila ówczesną

generację, paliła cygara, chadzała w inexprymablach, uwiodła Musseta, dziesięć lat opiekowała się Chopinem, krótko kombinowała z Mériméem, zgrywała się jako emancypantera. a w gruncie rzeczy okazała się wzorową matką, teściową i babką... Obojętna jest nam dalej czterdzieści lat przetrwała epistolarna wymiana affektów przyjaznych z lady Seymour. Obojętne nawet i to, że już jako 56-letni jegomość nawiązuje senator Mérimée stosunki z młodziuchną aktoreczką z „Comedie" panną Dacquin... z czego znów tom listów i „badania" „uczonych". Wycofany natomiast z obiegu i podobno przez zainteresowaną w tem rodzinę został ten tom korespondencji z „Nieznaną", któryby nas obchodził specjalnie, to jest tom listów do pięknej pani Przeździeckiej. Toby trzeba teraz naprawić. Tom wydostać i wydać i przetłumaczyć. A potem piękny szkic na welinowym papierze napisać i wydrukować w 300 egzemplarzach na czerpanym, na japońskim.

Trzy córki mieli generałostwo Lachmanowie w Kijowie (ona Paszkowska de domo): Laura pierwsza wyszła za hr. Emanuela de Noailles, oficera Akademji, historyka, uczonego; pod wpływem żony i jej otoczenia napisał dzieło o królu Walezjuszu z czego libretto wykroił Carré a Chabrier skomponował muzykę (o Polkach arje pochlebne a śliczne).

Druga panna Lachman wyszła za hr. Rogera Raczyńskiego.

Trzecia Eliza, była primo voto Świeykowska. a secundo Karolowa Przeździecka. O tej mamy mówić. Tę należy dla literatury odgrzebać. To jest ta „Nieznana" Prospera Mériméego.

Mąż obszarnik z Ukrainy, z Czarnego Ostrowia.

hrabia, pisał się „de Noir Isle", też uczony, też oficer Akademji, historyk, tłumacz na francuskie Mickiewicza i Słowackiego: Lorentowicz orzekł, że pono fatalny: traduttore-tradittore.

Musiała być bardzo prześliczna. Takie są tradycje w rodzinach Świeykowskich, Przeździeckich i... Raczyńskich; może nawet tak piękna, jak dzisiejsza wojewodzina... Są jej portrety i dagerotypy w Wielkopolsce i na Foksalu. W Paryżu przemieszkali zdaje się całe życie, nie tyle jako emigranci, ile jako emigrandzi. Takich bywało tam między 1831 a 1871 bardzo wielu. Często portretował je sam Winterhalter, malarz dworu i salonów. Pewne damy polskie „puletty z Oukrainy" tylko się bawiły, bywały w Compiégne i Fontainebleau na cesarskich „wentach" i „piknikach", tańczyły, szalały, puszczały fortuny. Inne zaś, szczególnie te koło hotelu Lambert, opiekowały się emigrantami, kwestowały, pielęgnowały po szpitalach, pomagały jeżeli już nie Chopinowi, Słowackiemu i Norwidowi, to pomniejszym (Klaczko, Lipiński, Wieniawski, Kątski).

*
* *

W licznych memuarach z Seconde Empiru spotykamy wśród profesjonalnych piękności Potocką-Naryszkin, Potocką Delfinę z Komarów, Potocką-Kisielewą Komarową, Worcellową, Lanckorońską, Hańską, Rzewuską, Rzyszczewską, Orlowską z „Żarmoliniec", jedną księżnę de Ligne (née Massalską) drugą księżnę de Ligne Eugenjuszową (née Jadwiga Lubomirska), księżnę Murat (née Lanckorońska), ministrową Fouché z domu Wołowską, Walewską, żonę ministra hr. Aleksandra, syna Napoleona i najsłynniejszą z nich

panią Kalerdżynę babkę dzisiejszego Coudenhovego (pajazzo paneuropejskie). To lwice, słynne lwiee. Dumas taką Polkę dal w swej sztuce „Cudzoziemka". Taka Polka figuruje też w innej komedji, wówczas modnej „*L'affaire Clemenceau*" (sic!). Sylfidy!

Koło Czartoryszczyzny i „króla de facto" zbierały się damy z innych koteryj i kategoryj: księżna Marcelina, Zamoyskie, Chodźkowe, Szczaniecka, Anna Działyńska, Potocka Klaudja, mniej świetnie urodą, mniej błyszczące i promieniejące, mniej dworskie strojnisie, skromniejsze, samarytanki, charitas, „Atessy" (zwał je Norwid), druidessy (Słowacki), Omfałe z kołowrotkami. Często siostry miłosierdzia. Serafity.

Do tej koterji zbliżały się raczej wszystkie trzy Lachmanówny zamieszkałe w owe lata w Paryżu, bogatych a uczonych gentilhommów małżonki i towarzyszki. I na tle raczej tych koteryj, niż na tle „karawanserajowych" salonów cesarskiego „karnawału" widzi się też i panią Lizę...

Sprezentował hrabinie autora „Etruskiej Wazy" najprawdopodobniej Charles Edmond założyciel wówczas radykalnego „Figara"; on był najczęstszym łącznikowym między literaturą francuską a emigracją i emigrandami. Jest już ostatni czas, aby pan Artur Chojecki zajął się Edmondem Chojeckim i posiedziawszy z rok w Paryżu, dał nam wreszcie monografję jednego z najciekawszych, najspirituałniejszych i najokcydentalniejszych Polaków.

*
* *

Prosper Mérimée był wtedy jakimś archiwistą sztuki, „generalnym inspektorem historycznych pomników

Francji", naukowcem, archeologiem, uczeńcem, wiedzowcem i już... urodzonym starym kawalerem. Mieszkał ze staruszką matką; 35 lat mieszkał do śmierci nigdy się nie ożeniwszy, ze staruszką matką. Było to wogóle dziwadło „*di primo cartello*", czyli zjawisko, któremu trudno dać nazwisko. Pisywał i pisywał, ale z literatami się nie zadawał. Nudzili go jak nudził go i cały tak zwany „romantyzm", to jest Gauthier, V. Hugo z... Mussetem i... Balzakiem włącznie, którego uważał za ordynarnego plebejusza. „Baudelaire śmierdzi". „Książkę kucharską stawiam wyżej od Salambo". Do cna zresztą obrzydziła mu literaturę i literatów wrzaskliwa i kłótliwa autorka Indjany „*bas bleu*" George Sand, wypisz, wymaluj może nie za polska, ale za żydowska Krzywicka-Tylicka owych czasów. Nie znosząc formalnie wszystkiego co swojskie, francuskie, kochał się poprostu we wszystkiem, co egzotyczne, co inne, nawet co dalekie. Jeździł raz po raz do Hiszpanji (stąd zażyłość z mamaszą Eugenji), a w przyjaźni żył z „Moskalami", głównie z Turgieniewym i Sergjuszem Aleksandrowiczem Sobolewskim, z którym korespondencję wydali niedawno bolszewicy. Fascynowała go urocza iberyjska obyczajowość, frapowała i interesowała Słowiańszczyzna, Jugosławja, „Illyrja", której pieśni ludowe podrobił („Guzla") co potem, dawszy się nabrać Puszkin przetłumaczył na rosyjski jako autentyczne pieśni gminne. Nawet z Litwy brał „sujet" dla swoich opowiastek („Lokis" czyli Wilkołak) byle być najdalej od paryskiego targowiska próżności, problemów i tragedyj mieszczańskich.

I oto taki właśnie kosmopolitycznie predysponowany, rosyjszczyzną zainteresowany literat paryski poznaje jedną z córek generała Lachmana, wyszłą za poł-

skiego ukraińskiego magnata (*„tous les Polonais sont comtes*" mówi Balzac w „Kuzynie Biedce"). Po hałaśliwej „dręczycielce" cygarami wonicjącej spotyka na drodze życia jedną z tych Galatei, wonicjących wszystkiemi ziołami stepów i używających najlepszych paryskich perfum *(chypre double)*. Torys z manier i upodobań po pańszczyźnie u zaplamionej atramentem demokratki wraca do dobrego towarzystwa, w „wielki świat" o normalnych manierach. Ale jest tu... i „egzotyczność" jeszcze jedna... Ważna!

*
* *

Pani Liza jest... ultramontanką. Tak się to nazywało wówczas. Jak i inne panie z kręgu promieniowania hotelu Lambert nie tylko wierzącą praktykującą katoliczką, ale co więcej egzaltowaną zelotką. Pozwalając zbliżyć się do siebie, towarzysko korespondować i przyjaźnić chce i wierzy piękna pani Przeździecka w pewną swoją misję, posłannictwo. Autor „Don Jouana de Marana", „Matteo Falcone", „La Jacquerie", „Dusz z Czyśćca" nie ukrywa bynajmniej swego agnostycyzmu, swego niedowiarstwa najkompletniejszego. Mógł nabrać obrzydzenia i działało mu na nerwy afiszowanie bezbożnictwa przez autorkę „Indjany". ale tembardziej go zdumiewa, zastanawia, niepokoić musi mocny katolicyzm u takiej *„femme d'esprit"*, jak comtessy Przeździeckiej, niemający nic wspólnego z fashionable bigotyzmem dekoracyjnym lwie salonowych „Second Empiru", zapełniających po brzegi sezonowo „modny kościół" na kazaniach modnego Jezuity przy modnym organiście i modnym kanoniku przy ołtarzu, ubranym modnemi hortensjami (Hortense Schneider *„la belle Helène"*

Offenbacha). Zapewne, że i pani Ewelina Hańska jako pierwszy *souvenir* i *cadeau* posłała swemu cicisbeo „Naśladowanie Chrystusa". Ale to nie tosamo. To był szablon epoki. Pani Przeździecka musiała mieć ten rodzaj żarliwości misjonarskiej, ten zapał w „nawracaniu", który miała w sobie, inna „Poułetta z Oukrainy" to jest nieszczęsna, nieszczęśliwa Charlotta Iwanowska księżna Wittgenstein, nawracająca swego Liszta „seduktora", zaczytana w pisarzach kościelnych i zatrwożona o konsystencję opoki, wstrząsanej burzami socjalnemi i piekielnemi komplotami zjednoczonej spikniętej międzynarodowej masohnerji.

Niestety wskutek wycofania i zniszczenia tomu listów Mériméego, pisanych do jego „drugiej nieznajomej" a jakże znanej i przez 15 (piętnaście) lat wielbionej Polki, nic a nic nie możemy wiedzieć i nie umiemy dziś powiedzieć o tajemniczem, szlachetnem i górnem „powinowactwie z wyboru" (Wahlverwandschaft). Z dalekich ech i reminescencji rodzinnych to tylko doszło, że babka rodu a wówczas młoda i urocza światowa pani miała renomę tak wyjątkowej purytanki, że przed jej opancerzeniem respekt ma i z attencją się wyraża nawet słynny pamiętnikarz Bobrowski (wuj Conrada), który, jak wiadomo ani na żadnej polskiej Iwicy ani na żadnej bażancicy ukraińskiej poprostu suchej nitki nie zostawił, a najbliższym kuzynkom poprzypisywał kochanków, o jakich im się nawet nie śniło. Szkalując wszystkie Rzewuskie, Świeykowskie a nie oszczędzając Przeździeckich przed hrabiną Elizą się zatrzymuje i korzy. Zdaje się więc, z wszelkiem prawdopodobieństwem, że stosunek ten było to raczej *amore sacro* czy *divino*, co zresztą zagadnieniem musi być drugiej rangi dla intelektów pierw-

szej klasy chociaż dla demagogji i medycyny literackiej problem to może prymordjalny.

Doskonałą odprawę atoli tej i im podobnym tajnym detektywom sexualnym, temu wywiadowi (Drugiemu oddziałowi) Erosa daje nawet jeden z faworytów i benjaminków tej hołoty. W liście do swego biografa z 24 czerwca 1932 pisze „sam“ G. B. Shaw:

„Drogi Franku Harris!

O Biografie! zrozum przedewszystkiem dobrze, że nic nie będziesz wiedział o człowieku, którego życie opisujesz wyłącznie na podstawie rejestru jego przygód miłosnych. Nie masz przecież żadnego takiego rejestru z życia Szekspira a masz zupełnie dokładny z życia Pepys'a, wiesz jednak o Szekspirze o wiele więcej niż o Pepysie. Tłumaczyć to należy tem, iż stosunki podczas przygód miłosnych nie są stosunkami osobistemi. Przygody takie mogą być niezmiernie pożądane i wykonywane z zachwytem przez osoby, które nie mogłyby znieść jedna drugiej, chociażby przez jeden dzień w stosunkach innej natury. Gdybym ci opowiedział każdą taką przygodę, którą przeżyłem, nie dowiedziałbyś się wiele ani o moich osobistych, ani o moich zmysłowych przeżyciach. Dowiedziałbyś się jedynie tego — co już wiesz: że jestem istotą ludzką“.

Oto jak bardzo nowoczesny czy jutrzejszy „wielki“ dla radykałów pisarz odpowiada na takie kwestje.

*
* *

Tembardziej tedy i „przygody miłosne“ Prospera Mérimeego jako przeżycia, jako funkcje zmysłowe, mogą specjalnie obchodzić tylko liwerantów i spekulantów wenerycznych. Miłośników literatury zachwycić może

tylko zatrzymanie się wielkiego pisarza francuskiego przy Polce przez lat piętnaście. Radość ogarnia na samo przypuszczenie, że tej pani, grającej zapewne etiudy Chopina, może pierwszej, jako swej inspiratricy czytał tę opowiastkę, z której potem wysnuło się nieśmiertelne Piękno Bizetowskiej „Carmeny"...

Mérimée oprowadzający swoją hrabinę polską po salach Louvru... hrabina polska, czytająca libre-penseurowi naprzekór Chateaubrianda czy Lamartina... Mérimée, wypisujący Polce z Ukrainy kilka wierszy do sztambucha w ponsowy aksamit oprawnego... Przeździecka wpinająca bukiecik konwalij w klapę „redyngotu" aksamitem szamerowanego... o... to już samo wystarczy. W temsamem już jest piękno zapadłych, niepowrotnych światów. Reszta jest obojętna.

Z tej przyczyny też należałoby już nietylko przypomnieć, ale w pełni odsłonić tajemnicę tej Nieznanej Znanej, której dane było być „Inspiratricą", być ukochaniem, być szczęściem, jednego z wielkich i sławnych pisarzy słodkiej Francji.

PRABABKA „PANEUROPY".

Et cela Madonne des neiges
Un Sphinx blanc que l'hiver sculpta
Ou qui pourre fondre ce coeur
Ou qui pourre mettre un ton rose
Dans cette implacable blancheur
Blanche comme le clair de lune
Sur le glaciers dans les cieux froid...
Teofil Gautier

Wiele się do niedawna mówiło i pisało o Zjednoczonych Stanach Europy i o młodym marzycielu pacyfistycznym hrabiu Coudenhove-Calergis, autorze dzieła: „Paneuropa", agitującym za wieczystym pokojem, za zbrataniem narodów, za nowem urządzeniem świata. za erą zgody narodów i państw. Autor dzieła o „Paneuropie" stał się modnym pisarzem politycznym, którego teorje, marzenia i plany omawiają lub zwalczają najpoważniejsi politycy. Otóż ten hrabia Coudenhove-Calergis, arystokrata austrjacki, obywatel Czechosłowacji, właściciel pysznego zamku pod Karlsbadem jest synem Japonki, wnukiem Greka, prawnukiem Rosjanina, praprawnukiem Holendra. Praprababką jego była Polka Tekla Górska. a prababka to jedna z najciekawszych kobiet romantycznej i poromantycznej epoki, słynna pani Marja Calergis-Muchanow z domu Nesselrode. Je-

żeli jeszcze się przypomni, że rodzina dyplomatów rosyjskich Nesselrode wywodziła się ze starych patrycjuszowskich żydów holenderskich, to przypuszczać trzeba, że w obecnym ostatnim potomku Coudenhovych, hrabiu Ryszardzie, płynie istotnie krew wyjątkowo wielu ras i narodów i że to mogło poniekąd specjalnie predestynować go na chorążego idei zbratania ras i narodów.

Nie zawahamy się jednakże stwierdzić, że ucieleśnieniem niejako, czy pierwszem przewcieleniem tej idei paneuropejskiej była właściwie właśnie jego prababka, słynna pani Marja Calergis-Muchanow. Tuż przed wojną wyszły w Lipsku w trzech językach jej „Pamiętniki", wydane przez jej zięcia, dyplomatę austrjackiego hr. Coudenhove; „*La Revue de Paris*" z r. 1923 w czterech zeszytach z Października i Listopada drukowała wielką jej monografję pióra Greka, Konstantego Fotiadesa. W pamiętnikarskiej literaturze drugiej połowy XIX wieku pełno o niej wszędzie bardzo interesujących szczegółów. Najwięcej we „Wspomnieniach" angielskiego ambasadora w Wiedniu, sir Horacego Rumbolda. U nas stosunkowo niewiele: u Stanisława Koźmiana, w niewydanym pamiętniku Faleńskiego, a najwięcej, jak dotychczas, u Krechowieckiego w pracy o Cyprjanie Norwidzie. Czas już, aby któryś lubownik przeszłości, a kobiecości znawca i chwalca, zajął się i tą wielką Polką i obdarzył nas monografją „prababki Paneuropy"; mam tu na myśli przedewszystkiem wytworne pióro p. S. Wasylewskiego...

Urodziła się i pogrzebioną jest w Warszawie. Może nie była ona przez całe życie swoje dosłownie Polką, ale można śmiało powiedzieć, że była skróś „Warszawianką". Jest jeszcze w Warszawie kilka starszych ma-

tron, które były na pogrzebie tej przyjaciółki cesarzów i królów, Egerji poetów i kompozytorów. Trzydzieści kilka osób rano o godzinie siódmej odprowadziło na Powązki karawan najskromniejszy i najtańszy... Taka była ostatnia wola tej wielkiej pani, tej prześlicznej pani, w której kochali się w różnych jej epokach... Musset i... Bismark, Napoleon III i Norwid... tej pani, która była uczenicą Chopina a powierniczką i przyjaciółką Brahmsa, tej pani, którą portretowali Delacroix, Lenbach, i Kaulbach, do której wiersze hołdownicze pisali... Heine i... Felicjan Faleński, tej pani, do której po rady i wskazania polityczne jeździł margrabia Aleksander Wielopolski... i z którą korespondował Fryd. Nietsche!... tej pani, którą i Gladstone i lord Beaconsfield (d'Israeli) uważali za świetny mózg polityczny, którą Berlioz... i Rubinstajn podziwiali jako genjalną pianistkę... tej pani, której i Liszt i Wagner dedykowali swe kompozycje, a z którą konferowali poważnie car Aleksander II, cesarz Wilhelm I i królowa angielska Wiktorja...

Szesnaście lat miała panna Nesselrode, bratanica kanclerza rosyjskiego, kiedy ją matka (z domu Górska) wydała w Petersburgu za miljonowego kupca greckiego Calergisa. Siedemnaście lat miała, kiedy się z nim rozwiodła i kiedy zaczęło się jej życie burzliwe, życie romantycznej komety, jednej z tych wielkich Beatrycz, Delfin, Dalil, „druides“ i harfiarek. „*Marie la Polonaise*“ nazwała ją rodzina. Od najwcześniejszej młodości nieznosiła Rosjan a obracała się w towarzystwach głównie polskich. Serce ją ciągnęło do narodu nieszczęśliwego, rycerskiego i romantycznego, do narodu jej matki. Uwielbienie dla Chopina, którego została uczennicą, zadecydowało na całe życie o tem, którą ojczyznę

ma uważać za najbliższą, choć właściwą jej ojczyzną było tylko Piękno, była muzyka.

Z Norwidem zetknęła się w Rzymie i tam złamała go na całe życie ta miłość nieszczęśliwa, nieodwzajemniona. Przez trzydzieści lat pełnych uchodziła w Europie za jedną z najpiękniejszych Polek, za „*proffesional beauty*", za ozdobę królewskich dworów europejskich i salonów rzymskich, paryskich, berlińskich i warszawskich. Do Petersburga nie zajeżdżała nigdy, w Warszawie osiadła w r. 1860 na stałe. Drugi raz wyszła zamąż ta cudna pani również nieszczęśliwie i przypadkowo... za Moskala, za prezesa teatrów warszawskich Muchanowa; brat jej męża oberpolicmajster warszawski ożeniony był też z Polką, Jarmondówną, primo voto Lubieńską, jej siostra cioteczna Nesselrode wyszła za Polaka, hr. Ireneusza Chreptowicza, a los chciał, że Marja Calergis, „*Marie la Polonaise*" zakochała się w... Muchanowie! Powstanie w r. 63-cim było dla niej katastrofą wprost straszliwą, gdyż sercem była po stronie polskiej, rozumem po stronie tamtej. Kartki pamiętnika z tych czasów odmalowują w ciemnych barwach to jej tragiczne rozdwojenie. Po powstaniu znów udała się na tułaczkę po Europie, oddając się wyłącznie muzyce, protegowaniu muzyki i artystów. W Monachjum nawiązała się przyjaźń z Wagnerem i z Cosimą Wagner. Uczenica i interpretatorka Chopina stała się zapaloną entuzjastką Wagnera i to i muzyki i ideologji, duchowo i intelektualnie germanizując się dość głęboko. Ale do Warszawy i Polaków ciągnęło ją zawsze. Jako żona prezesa teatrów warszawskich, roztoczyła opiekę nad operą, nad dramatem i nad całą kulturą muzyczną w Warszawie. Zawdzięczali jej dużo A. Kątski, Zarzecki, Wie-

niawski, a wreszcie najwięcej Moniuszko. Kiedy twórca „Halki“ wyjeżdżał do Wiednia, pani „Kalerdżyna“, jak ją zwano w Warszawie, dała mu list polecający do Wagnera, na który tenże zaraz odpisał:

„Jeżeli Moniuszko przybędzie mnie odwiedzić, to może być pewny, że go najserdeczniej przyjmę, te jego utwory, które mogłem poznać, dają mi wysokie wyobrażenie o jego talencie“...

W „Pamiętniku“ pani Calergis-Muchanow przewijają się wszystkie nazwiska ze wszystkich narodów europejskich jej epoki, w czem stanowczo najmniejszy procent rosyjskich. Z równym entuzjazmem piękna pani Marja odnosiła się do... Musseta jak... do Bismarka. czcząc w jednym Ariela... w drugim genjusz dyplomatyczny. Mówiąc biegle i kunsztownie sześcioma językami. stale pisywała i mówiła po francusku. Trzeba przyznać atoli, że z największym szacunkiem odnosiła się do narodu niemieckiego, w innych widząc przenikliwie najrozmaitsze wady. przywary i śmieszności. Nie należy wahać się przed określeniem jej jako „doskonałej kosmopolitki“, aczkolwiek najwięcej gryzła się i martwiła niedolą, nieszczęściami no i charakterem narodowym... Polaków. Aczkolwiek jako wielka uwodzicielka. wielka amoureusa, jako odmiana Ninon de Lenclos. czy pani Recamier, czy lady Hamilton. dużo nagrzeszyła w długiem życiu „biała Syrena“, to jednakże słynne powiedzenie o niej Heinego, że jest Panteonem „*wo alle grosse Männer ruhen*“, stanowczo było za złośliwą i zgryźliwą szarżą ze strony poety, który jej poświęcił piękny wiersz o „białym słoniu“ i był jednym z głosicieli jej genjalności a wielbicielem jej fenomenalnej urody.

Gdy się dzisiaj czyta „Paneuropę“ jej prawnuka

Coudenhovego, tę utopję polityczną o zjednoczonych stanach europejskich, o zbrataniu wszystkich narodów, o życiu sielankowem w wieczystem pięknie, spokoju, zgodzie i harmonji, mimowoli przypomina się ciągle piękna prababka autora, romantyczna Egerja polityków i Beatrycze poetów, ta, która w zaraniu życia przytulała się do Chopina i Norwida, a jako dojrzała matrona przyjaźniła z Bismarkiem i Wagnerem... Mimowoli ma się ciągle przed oczyma klasyczny portret Lenbacha tej wielkiej damy, do której romantyczny Gautier pisał wiersz o „Madonnie śnieżnej", która grywała Chopina na carskim dworze, będąc niemal dzieckiem, a której domownikami i przyjaciółmi w starości byli... Moniuszko i Faleński („Felicjan"). Jej ojczyzną, w ścisłem znaczeniu nie była właściwie nawet Sztuka, a była cała Europa, Paneuropa, jej wielkie stolice, jej wielcy ludzie, wielkie talenta, wielkie indywidualności, skojarzone w jakiejś międzynarodowej idealnej harmonji. Z „Pamiętników" jej wyczytać można jak cierpiała nad „niezgodą" Polaków z Rosjanami, jak bolała nad nienawiścią Niemców do Francji... Za posłannictwo kobiece uważała godzenie wszystkich ze wszystkimi... Wagner grany w Paryskiej Operze... Moniuszko protegowany przez Wagnera... Bismarck zasłuchany w Impromptu Chopina... Paneuropa. Stany Zjednoczone.

Umarła staruszka w wielkiem osamotnieniu. Jej „Pamiętniki" są książką smutną, melancholijną, posępną. Jedna z najpiękniejszych kobiet świata, jedna z reprezentacyjnych piękności XIX wieku, nadto umysłowość niepospolita, czarująca i pętająca Tytanów świata, bóstwo ziemskie, u którego stóp klęczały narodów i lu-

dów chluby i znakomitości, w swoich czterech ścianach czuła się istotą nieszczęśliwą... samą wśród ludzi...

Czy podłożem psychicznem tej melancholji nie było właśnie jej wykorzenienie narodowe, jej internacjonalizm duchowy, jej nomadyzm romantyczny, jej właśnie paneuropejskość, oto jest problem, który powinien dać dużo do myślenia, prawnukowi, hrabiemu Coudenhove-Calergis, śniącemu na jawie o Zjednoczonych Stanach uzbrojonej od stóp do głów Europy.

JEDYNAK CESARZOWEJ EUGENJI.

W tem niema nic przypadkowego, ale równocześnie w tem niema nic rozmyślnego, natomiast jest jakiś bezwarunkowo metafizyczny sens w tem, że w pięciolecie „przełomu Majowego“ Teatr Polski w stolicy wystawił wesoły wodewil czy komedję muzyczną z Napoleonem III-cim jako *sui generis* bohaterem.

W ten sposób najłatwiejszy, najprzystępniejszy mogła inteligencja stołeczna przypatrzyć się temu „wielkiemu człowiekowi“, ku którego uczczeniu i chwale nasz największy poeta napisał wspaniałą odę (Adama Mickiewicza „Oda na wzięcie Bomersundu“ r. 1854).

Widzimy z tego, jak rozciągłą jest amplituda sądów spółczesności i potomności o jednej i tej samej „wielkości“, coprawda wielkości problematycznej, nie uznawanej nawet za czasów jej największych sukcesów i triumfów przez zdrowo i moralnie orjentujących się Francuzów.

Coprawda wyciągnięty z lamusa reminiscencji i anegdot w jednym tylko najbladszym, najnieistotniejszym, najpłyciej ujętym epizodzie „cesarz Francuzów“ ze sceny nie daje właściwie minimalnego pojęcia o tej postaci, która przez 23 lata z rzędu bądź co bądź grała pierwszą i pierwszorzędną rolę nie tylko w swym narodzie i kraju, ale także w całej Europie między latami 1848

a 1871; trudno domagać się od bulwarowego krotochwilisty koncepcji historjozoficznej a la G. B. Shaw, Drinkwater lub Joyce.

W każdym jednak razie Sasza Guitry w swej pogodnej leciutkiej i przezabawnej komedji muzycznej „*Mariette*“ jeden rys z tego monarchy „z łaski ludu“ wyciągnął najautentyczniejszy t. j.: awanturnictwo, przypadkowość, przyblędność, pierwiastek szarlatańska i t. zw. „szczęściarstwo“, t. j. szczęście do ludzi i szczęście do Losu.

Paryski bawidamek z całej wieloletniej „*chronique scandaleuse*“ kobieciarza, obciążonego erotomanją dziedziczną wybrał anegdotę najbardziej sentymentalną i na jej tle dał akwarelową sylwetę tego regenta, którego dyletantyzm romantyczny, niekompetencja, cynizm w doborze ludzi, metod i środków rządzenia musiał Francję wcześniej czy później (t. j. ewentualnie po jego śmierci) doprowadzić do... Sedanu. Ale takich przygód erotyczno-sentymentalnych ten don Jouan na tronie wedle historyków i pamiętnikarzy miał mnóstwo (Stiegler: „*Amours tragiques de N. III*).

To też niemożna się dość nadziwić i zdumiewać, czytając tom prof. M. Zdziechowskiego, t. j. pisarza poważnego, w kryterjach o ludziach zawsze kierującego się premissami etyki i moralności chrześcijańskiej i katolickiej, tom najniespodziewaniej nie tylko rehabilitujący ukoronowanego saltymbanka i prestidigitatora, „magika na tronie“, ale z szacunkiem i rewerencją traktujący niepoprawnego „lumpa“, „seduktora“, uwodziciela, który w ostatniem dziesięcioleciu poprostu instalował w stolicy Francji rządy półświatka „dam kameljowych“, Frou-Frou, gryzetek, loretek, kokot, prze-

szedl do legendy jako protektor kankana, jako Menelaus z operetki Offenbacha, Cesar (Madame Cesar) na miarę Offenbacha.

Pod tym względem tedy... analogij żadnych jako żywo niema i aluzje nie są na miejscu. Ten szczęściarz z r. 1848 i 1852 natrafil na epokę *plenty* i *prosperity* co się zowie. Za jego czasów Stany Zjednoczone to była dzicz dziadowska, biedna, plebejska, zapożyczająca się u bankierów londyńskich, wiedeńskich a przedewszystkiem paryskich; Francja zaś była tą „ziemią obiecaną", mlekiem i miodem płynącą, karawanserajem Europy. Paryż *„ville lumière"* a nie żaden Hollywood przyciągal wtedy najcudniejsze kobiece ćmy i motyle ze świata.. Stąd też i to rozbuchanie erotyczne calej maffji Bonapartystowskiej, tych wszystkich „Ratapoilów", „Cents-gardów", generalów, calego dworu szambelanów i Cezara-Koguta, rozpasanie romansowe, którego jeden najniewinniejszy, idylliczny, pasterski, familiarny fragmencik daje Sasza Guitry.

Aby unaocznić sobie dokladniej effeminację tej epoki, skoguccenie, „galanterję" mężczyzn z tego Koryntu w porównaniu n. p. ze spartańskimi Prusami Wilhelma I, Moltkego, Bismarcka, trzebaby dopiero wgrzebać się w belletrystykę Dumasów, Augiera, Flauberta, Balzaca, Montepina, wczesnego Zoli: „Rougon-Macquartów" i t. p.

Punkt ciężkości analogij pewnych leży zatem gdzieindziej, nie w specjalnym akcencie na rozwiązlości pleiowej, właściwej zresztą każdej grupie zwycięskiej wojskowej, każdej elicie w stylu Bonapartystowskim.

Prof. Zdziechowski w swojej apologji „Sedańczyka" z dużą i imponującą bezceremonjalnością zbagatelizo-

wał dotychczasowy dorobek historyków francuskich, nie zadając sobie fatygi wertowania negatywnie do tej epoki Lukullusowej odnoszących się dzieł Carette'a, de Richarda, Simonda, Poinsota. du Casse'a, Delorda, de Chambriera, Chambona, Giraudaux. a poprzestał na względnie usprawiedliwiających rastakuerstwo Napoleońskie Lolliem i Pierre de la Gorçe, wywodzących się z tak zwanej Bonapartystowskiej arystokracji. W ten sposób sędziwy uczony wileński znacznie sobie ułatwił zadanie. Dał się przytem wzruszyć domniemanemu polonofilizmowi Badingueta, jego stosunkowi do r. 1863 *(durez! durez!)*, nie zajrzawszy widocznie do źródłowej i definitywnej pracy J. Feldmana p. t.: „Mocarstwa wobec powstania styczniowego" (Kraków 1929) *Inde amores.*

Tymczasem tak Bonapartyzm pierwszy jak i drugi, jak to już chyba powinno być dogmatycznie wiadomem przynajmniej naszym historykom, dążył jedynie i wyłącznie do *aliance franco-russe*, przyczem „sprawa polska" dla obu Napoleonów była tylko atutem w grze. w grze często fałszywej. Do kompleksu tych gier i partyj fałszywych należało też to wszystko co się nazywa „systemem" N-im, „ideami N-imi", genjalnymi koncepcjami „Sfinksa z Tuillerji", a co wszystko było hazarderskim, szarlatańskim balansem z dnia na dzień, od wypadku do wypadku, od jednej ostateczności do drugiej, od skrajności do skrajności z ciągłymi niespodziankami („siurpryze"), zaskoczeniami, kokietowaniami to na prawo to na lewo, z kostjumowaniem się i maskaradą to na Jezuitę to na „Carbonaro", to na wyzwoliciela narodów to na dobroczyńcę proletarjatu, to na żołnierza i wodza z krwi i ko-

ści, to na ekonomistę „zagłębionego po pas w „budżetowaniu", a we wszystkiem: czysta improwizacja, bluff, nieuctwo, niekompetencja, eksperymentalizm, utopie w mózgu, chimery w charakterze no i w tym wypadku za kulisami... Marietty, Marietty, włoskie, rosyjskie, polskie, angielskie, kreolskie.

Prof. Zdziechowski całkiem na serjo wziął też katolicyzm „Badingueta" i wogóle dopuścił możliwości jakichś transcedentalnych tęsknot u francmassona „Badingueta", żyjącego tylko dniem doczesnym, seksualnymi sensacjami, żądzą trzymania siebie i swojej bandy rycerzyków u władzy i żłobów no i żyjącego już nie upajaniem się a pijaństwem prestiżów, sukcesów i triumfów.

Na katolicyzmie Napoleona III poznali się już za jego życia pierwszy: wygnany generał Lamoricière, znakomity publicysta klerykalny Vieulott no i wreszcie Watykan. Dokumenty i dowody na to są widocznie dla prof. Zdziechowskiego „imponderabiliami"...

W tem tylko jednem jedynem prof. Zdziechowski zgodny jest z zamierzchłą rzeczywistą rzeczywistością, gdy przeciwstawia innym, gdy za przykład jakoby daje, gdy unosi się nad wielkodusznością, t. j. raczej nad miękkością uczuciową, nad t. z. dobrocią serca Napoleona III-go.

Przypominanie tego, że był cesarz gentlemanem oczywiście nie potrzebne, gdyż aż do końca wojny europejskiej dotrwała epoka, w której dla nie-gentlemanów regentów nie było miejsca.

Ale kochanek Marietty i tylu innych Mariet był naprawdę Cezarem o miękkim sercu. Parszywa mściwość i pastwienie się nad wrogami były mu obce. Nie gnębił

antagonistów. Nie miał swego księcia d'Enghien. Nie spotwarzał wrogów. Jego eleganckim pretorjanom nie wpadło nawet na myśl wysyłać zbirów i siepaczów dla nawracania „niewiernych" przez ich znieważenie. Nawet w fazie najabsolutniejszych gabinctów Walewskiego czy któregoś z nepotów-generałów obłędnie głupie i prowokacyjnie lekkomyślne nominacje dygnitarzy cywilnych i wojskowych mogła opozycja ówczesna w parlamencie i w prasie rżnąć i wyszydzać co się wlezie, byle wrogowie regimu mieli jaką taką satysfakcję choć w lekturze, byle klapy bezpieczeństwa były otwarte, byle wentyle wpuszczały świeże powietrze.

A jednak skończyło się to wszystko straszliwym Sedanem i trzema miesiącami Komuny.

Z tej przyczyny i taka sobie lekka krotochwila z „Badinguetem", więźniem z twierdzy Ham, zwycięzcą Moskali (którego opiewał nawet Mickiewicz), taka sobie lekka komedyjka muzyczna, grana w stolicy w „Teatrze Polskim" wzbudzać dziś może i winna tylko poważne refleksje:

Jacy to ludzie, chcąc czy nie chcąc doprowadzili do wojny francusko-pruskiej?

Jaki był stosunek szerokich warstw społeczeństwa do kliki Bonapartystowskiej w przededniu nadchodzących groźnych komplikacyj?

Co spowodowało moralną i materjalną izolację Francji w sierpniu r. 1870?

W jakiej mierze uzurpator Bonaparte przygotowywał wszystkie dane do klęski Francji i w jakim stopniu sam przyczynił się do tej klęski?

Jak pogodzić dodatnie rezultaty i bezsprzeczne za-

kusy prestiżowe 23 letniej ery Napoleońskiej z definitywnym pogromem?

Ile jest kolektywnej winy narodu a ile indywidualnej winy prezydenta a potem cesarza? Ile zaś winy jego podniecającej do wojny żony?

Czy istnieją związki przyczynowe między Komuną paryską a stanem bezprawia, pogardą praworządności oraz sporadycznymi zresztą aktami gwałtu i teroru cywilnego z ostatniego dziesięciolecia panowania Napoleona III?

Na wszystkie te pytania, jasno, jasnowidząco, wieszczo, groźnie odpowiedział na kilkanaście lat przed katastrofą Sedańską, bo już w r. 1852 wygnany z Francji wielki poeta, autor „Nędzników". Victor Hugo.

„Chcecie sądzić pana Bonapartego?

Patrzcie na jego władzę, a potem na jego czyny! Co on może zrobić? Wszystko! Co zrobił? Nic! Z tą władzą, jaką on ma, człowiek genjalny, zmieniłby cały kraj, podniósłby go i dźwignął. Nie przekreśliłby tem swojej zbrodni wobec Państwa, ale byłby ją osłonił, zatuszował. Mógł podnieść stan moralny i materjalny kraju. Na miejsce złamanego Prawa mógł dać lepsze. Ale on tego nie zrobił!

Dorzucił kilka nowych zbrodni do swojej pierwszej i w tem jedynie był logiczny. Poza tymi zbrodniami niczego nie dokonał. Wszechmoc zupełna, a inicjatywa żadna. Wziął Francję, zdobył ją, i nie wie co z nią robić.

Oddajemy mu sprawiedliwość: pan Bonaparte, ten quasi-dyktator, nie zostaje chwili w spokoju. Wyczuwa z przerażeniem wkoło siebie pustkę i ciemność. Pieni się, szamoce, bryzga jadem nienawiści, szuka programu. Nie mogąc nic stworzyć, niszczy i pluje na wszyst-

kie autorytety. Obraca się w próżni. Jakie z tego korzyści dla Francji? okrągłe zero. Kapitały obce nie napływają do kraju z powodu niepewności sytuacji. Pod wyolbrzymionym budżetem zarysowuje się przepaść coraz wyraźniej. Lecz trzeba wydawać miljony na utrwalenie swego prestige'u!

Ten człowiek, w którego sugeruje się wiary za miljony miljonom, sam sobie nadał wszystkie tytuły i godności. On, który mówił, że będzie wiernie służył każdemu rządowi, poprowadził wojsko przeciwko Państwu, nauczył je łamać żołnierską przysięgę! Złamał i podeptał Prawo, zniszczył wolność, nałożył prasie kaganiec! on, który ongiś wygłaszał szumne frazesy o wolności prasy!"

„Doprowadził kraj do straszliwego kryzysu gospodarczego, budżet państwa reguluje według ukazu, rozbił społeczeństwo na wrogie obozy, zatruł atmosferę serwilizmem i szpiegostwem, zdeprawował swe otoczenie, patrząc przez palce na jego wybryki, napełnił dusze żałobą, niepokojem, a czoła hańbą! Pan Bonaparte lubi pozować na wielkiego człowieka. Lubi odróżniać się choćby tylko strojem. Lubi gesty i tajemnicze słowa. Jest wulgarny, sztuczny, próżny i niesłychanie zarozumiały. To książka, w której jest dużo wydartych kartek. Chce władzy bez odpowiedzialności. I idzie po nią wbrew Prawu, wbrew sprawiedliwości, wbrew najżywotniejszym interesom Państwa i Narodu. Czasami udaje socjalistę. Lubi mówić o swoim rzekomym demokratyźmie, skwapliwie porównuje się z Napoleonem I. Ma wielki talent: potrafi otoczyć się tajemnicą. Jego zaufani wierzą, że kryje się pod nią głębia myśli. Trzeźwi i rozsądni, że bezdenna próżnia. W mowach swoich potrafi tylko lżyć

i urągać. Konkretnego, przemyślanego planu nie miał nigdy, nie był go zdolny stworzyć i opracować. Dla odmiany przerywa swoje milczenie potokiem obelg i zniewag. Teroryzuje ministrów, którzy są manekinami w jego rękach. Nic się nie dzieje w państwie bez jego woli i wiedzy, tylko, że on za nic nie chce ponosić odpowiedzialności. Robi, co mu się żywnie podoba. Nie cofa się przed niczem, bo nie spotyka w sobie sprzeciwu tego głosu, który ludzie nazywają sumieniem".

„Lubuje się w niezdrowym kulcie, którym go otaczają. Uważa się za pierwszego człowieka w Państwie i sądzi, że stoi ponad Prawem. Dlatego też łamie je na każdym kroku".

„I ten człowiek wmawia we Francję, że przez swój zamach on ją uratował, wybawił, ocalił! Ale przed kim? ale przed czem? przed nią samą? Mówi, że stał się dla niej opatrznością, że przed nim wszyscy robili głupstwa, kradli i działali na szkodę Państwa. Aż wreszcie poprzez bratnią krew przyszedł on, zbawca. Przyszedł i zamiast myśli dał niedorzeczność, zamiast wolności pobrzękiwanie szablą i zakneblował wszystkim usta".

„Z jednej strony wielki Naród o wspaniałej tradycji, jaką mu przekazała historja, z drugiej zaś człowiek konspirator, człowiek, który ma krew na rękach, który zdeptał Prawo! I jakżeż ten człowiek postępuje ze swoim Narodem? Co? on depce nogami jego godność, znieważa go, łży, wyszydza, drwi?! Co? on mu urąga!

W kraju, gdzie nie można spoliczkować bezkarnie człowieka, można spoliczkować cały Naród? Co za straszliwa hańba! Pan Bonaparte wygłasza mowę! Pan Bonaparte pluje! niech wszyscy wytrą sobie twarze!"...
„Pewnego dnia ten człowiek schwycił za gardło Kon-

stytucję, Republikę, Prawo. Francję, dał przyszłości swego kraju uderzenie sztyletem w plecy. Zdeptał Prawo, zdrowy sens, sprawiedliwość, rozum, wolność! Gradem kul zasypał przedmieścia stolicy! Kazał aresztować ludzi nieugiętych, prześladuje szlachetnych. Podarł wszystkie kodeksy i zgwałcił wszystkie mandaty... Porwałeś się, panie Bonaparte. zbrojnie na dumną stolicę Państwa. której nieprzyjaciel niejednokrotnie oszczędzał! Polała się obficie krew niewinnych! Jak wróg zdobywałeś to miasto!

„Trapi cię głuchy niepokój i lęk. straszliwy lęk przed nieznanem jutrem. Uginasz się pod ciężarem odpowiedzialności. Jesteś człowiekiem ponurej tajemnicy! Chodzisz w purpurze bratniej krwi"... „Policjant. który szarżuje na młodzież akademicką. czuje się równie skompromitowany. jak minister, żołnierz zaś. jak i jego pułkownik. U góry ludzie straszni wydają rozkazy, które spełniane są przez płatnych i podłych. I wszystko pokrywa głuche milczenie. nad wszystkiem cięży tragiczna tajemnica. Tych ludzi osłania noc. Ale kiedyś historja zażąda od nich rachunku, a sąd jej będzie bezlitosny!".

Tak grzmiał przeciw Napoleonowi stary tygrys. znakomity dramaturg, poeta. myśliciel. demagog. moralista!

10 grudnia r. 1870. odbyły się we Francji wybory do ciał parlamentarnych. które zainicjowano właściwie jako plebiscyt. Rządzącemu obozowi wobec gwałtownej ofenzywy całej opozycji i spadkowi popularności wielkiego wodza, bohatera narodowego (porównywanego stale z Karolem Wielkim. Ludwikiem XIV-tym, Tureniuszem, Richelieum. Napoleonem I-szym itp.) chodziło o to, aby zagrać *va banque*. zaryzykować i wymusić od narodu moralną aprobatę dla tego bratanka napoleoń-

skiego, którego dziewięć-dziesiątych Francuzów miało już więcej, niż dosyć, ale którego jedna dziesiąta Francuzów trzymała się pazurami, drżąc z obawy, że z jego upadkiem runie i ich powodzenie, panowanie i dobrobyt.

Wybory odpowiednio „przygotowano" i zaaranżowano bezwstydnie i bezceremonjalnie ku oburzeniu i pośmiewisku całej Europy. I oto nadspodziewany wynik. Na przeszło dziesięć miljonów uprawnionych do głosowania: 7,500.000 wypowiedziało się za dalszym absolutyzmem starego i schorowanego Napoleona III-go, podczas gdy 2,500.000 słowami: dwa milj. pięćset tysięcy (tylko) oświadczyło się przeciw dalszym rządom tego cesarza, który miał za kilka miesięcy pchnąć Francję do wojny ze wschodnim sąsiadem i doprowadzić do kompletnej klęski i hańby.

A o tym plebiscycie pisał znów V. Hugo w swoim „*Napoleon Le Petit*":

„W zamian za to przed oczyma wyborców postawiono dwie tylko alternatywy: pana Bonapartego i przepaść. Widmo komunizmu i piękno dyktatury „moralnej" pana Bonapartego. Kazano masom wybierać między panem Bonaparte a komunizmem, między panem Bonapartem a przepaścią. Macie wybory! wybierajcie! komunizm czy Bonapartego? Spokojny mieszczanin, ciemny wieśniak, głodny robotnik i wystraszony, zdeprawowany urzędnik głosowali za panem Bonaparte. Na dziesięć miljonów głosujących dwa miljony pięćset wyborców wolało jednak przepaść niż p. Bonapartego. Przeciwko p. Bonapartemu padło w tym plebiscycie 2.500 000 głosów i te głosy choć w części uratowały honor Francji, były świadectwem, że jeszcze nie wszyscy

spodleli, nie wszyscy ulękli się, że są ludzie, mający poczucie odpowiedzialności".

Zapamiętajmy sobie raz jeszcze: 2,500.000 głosów przeciw cesarzowi. Trzeba tu jeszcze dodać, że Victor Hugo, którego stulecie niedawno tak Francja, jak i świat kulturalny obchodził niezwykle uroczyście i który pochowany jest w Panteonie, pisząc o Napoleonie III-cim cesarzu i bratanku L'Empereura nie używał nigdy innych tytułów, jak tylko „pan" lub „bandyta" (brigant).

Otóż w różnych, licznych francuskich ilustrowanych dziełach o tej epoce jest także fotografja pewnego momentu z jednego z następnych dni grudniowych po wyborach. Francja już wie o rezultacie. Paryż urządza manifestację jedną z tysiąca częstych wówczas *circenses*.

Na balkonie palacu Tuilleryjskiego (spalonego na drugi rok doszczętnie) pojawia się para cesarska w otoczeniu świty, a na dole wiwatujące tłumy stołecznej gawiedzi. Cesarz i Eugenja rozpromienieni, dworacy, szambelani i ministrowie triumfujący. A tylko w środku między parą cesarską stoi smutny, blady, przerażony młodzieniec. To cesarzewicz, drugie „Orlątko", biedne, wątłe, przygnębione, jakby jedynie wśród nich przeczuwające, jasnowidzące, jak się to po tych tryumfach niebywałych, niespodziewanych, olśniewających, następnie wypadki potoczą.

Ale nie tylko na tym obrazku taki smutny jest biedny Lulu! Na wszystkich fotografjach, na wszystkich podobiznach czy w mundurku kadeckim czy na koniku czy w paradnym stroju następcy tronu „cesarzewicza rzymskiego" zawsze smutny, zawsze niepewny, zawsze zadumany i niechętny malarzowi czy fotografowi stoi i pozuje biedny Lulu.

A jednak w tak wspaniałych przecież czasach przyszło żyć temu dziecku! Ileż triumfów, sukcesów, zwycięstw, ileż uroczystości dworskich i wielkich spektakli począwszy od zamachu 25 marca r. 1852. Zwycięstwa pod Magentą! Solferino! Pogromienie Moskali w krymskiej wojnie! Jakiż olbrzymi wzrost prestiżu Francji! Pierwsze światowe wystawy! Tyle nowych gmachów, mostów! Kanał Sueski! Ileż znakomitych cudzoziemców odwiedza stolicę! Obliczono, że przez lata prezydentury i cesarstwa 280 razy asystował imperator-generalissimus wspaniałym rewjom i defiladom, w których brały też udział nowe wielkie armaty Creuzota i Schneidra! Jak wspaniale prezentowali się lancjerzy, szwoleżerzy, żuawi! Jak efektownie na białych konikach wyglądali poobwieszani orderami generałowie! Przecież i ten Lulu jako mały chłopczyk już asystował też w wspaniałym „daumoncie" tym rewjom na Polach Marsowych! Przecież wszystko korzyło się przed jego matką, przecież wszystkich członków rodziny Bonaparte powyciągano na rozmaite dygnitarstwa. Przecież przed papą genjuszem wszystko padało plackiem. Przecież Lulu nie czytywał ani mów opozycji w parlamentach, ani potwornych inwektyw gromowładnego V. Hugo, ani straszliwych paszkwilów czerwonego markiza Rochefort de Lucy w jego „Lanterne"! Przecież, kiedy był pierwszy zamach bombowy Orsiniego, Lulu był dzieckiem, a kilkunastoletnim zaledwie chłopcem, kiedy podczas wystawy światowej w r. 1867 był drugi zamach i aresztowanie Polaka... Berezowskiego.

Dziwna więc rzecz skąd ten smutek, to przygnębienie, to zaniepokojenie, ten wieczny na twarzyczce przestrach u małego Lulu, syna Napoleona ale Małego. Wi-

docznie jednak coś już musiało dochodzić. docierać, przenikać z zewnątrz z miasta do świadomości tego dziecka. izolowanego w Tuilleryjskim pałacu. A sądząc z tego obrazka, na kilka dni po zwycięskim plebiscycie siedemnastoletni młodzieniec jednak musiał już wiedzieć, jakimi sposobami, jakimi drogami doszła klika do tego Pyrrusowego zwycięstwa. Ileż to lat musiało znów minąć, aby Europa, wstrząśnięta oburzeniem po raz drugi oglądała tak szpetne widowisko, takie rozpętanie sadyzmu, brutalstwa. okrucieństwa, bestjalizmu. policzkowania i traktowania najelementarniejszych prawideł uczciwości i lojalności!

Maurice Rostand, mały syn wielkiego Edmunda napisał sztukę teatralną o tem drugiem „Orlątku", o „Napoleonie IV-tym", sztukę bardzo słabą. płytką? mdłą i przepadłą. Nie sięgnął w głąb problemu. nie dojrzał tego s m u t k u na wszystkich wizerunkach Lulu. Nie przypomniał sobie tych dzikich i okrutnych represji przed... plebiscytem grudniowym, tych nieprzeliczonych aresztowań. włamywań, demołowań, tych polowań na ludzi rozbestwionej i naszczutej policji, tego terroru kłamstw i oszustw, tych orgij rozlajdaczonej. płatnej, najemnej prasy. tej całej sarabandy piekielnej. która taki wstręt wywołała w Europie, tak do reszty zdepopularyzowała zresztą fatalną opinję pogromcy Moskali pod Sebastopolem. Maurice Rostand w sztuczce swojej całą winę tragedji Lulu zwalił wygodnie i z głupiutkim szowinizmem na... Anglików, do tego stopnia. że nawet na interwencję ambasadora angielskiego jego „Napoleona IV" z afisza musiano zdjąć.

Biedny smutny Lulu z Tuilleryjskiego balkonu był prawdziwą ofiarą Ananke. Losu, Przeznaczenia. Ażeby

wypełniła się miara sprawiedliwości, wszystko musiało ponieść karę. Najpierw naród cały, który to rozpasanie moralne tolerował, upajając się fetami, bankietami, rewjami, strojnością wojska, cynizmem dworaków, bezkarnością zalganej szui prasowej, naród, który dał w siebie wmówić, że tylko drogą pomiatania wszelkiemi prawami Boskiemi i ludzkiemi dochodzi się do *imperjum*, do *potestas*. Na ten naród przyszła inwazja pruska i co jeszcze straszliwsze, obojętność kompletna całej Europy, moralnie sankcjonującej (Carlyle) tę kaźń wymierzoną rozpustnikom władzy i adoratorom gwałtu i despocji. Potem przyszła kara na Sodomę paryską i na dynastję, t. j. Sedan i kapitulacja. Strojni, buńczuczni generałowie pobici i wzięci do niewoli z całemi korpusami i armjami. Wielki wódz z pod Magenty i Solferino, zwycięzca, bohater narodowy, dawniej „męczennik", spiskowiec, więzień z twierdzy Ham, genjalny konspirator, ulubieniec gminu, „carbonaro", potem w drugiej połowie życia książę-prezydent, zamachowiec z marca, cesarz, imperator, ulubieniec arystokracji, plutokracji i duchowieństwa, teraz okrągło w dwanaście miesięcy po plebiscycie zwycięskim stał z obnażoną głową przed grupą generałów pruskich w piekelhaubach. Nic nie pomogły armaty francuskie firmy Schneider-Creuzot. Grzechy, nieprawości, przewiny i zbrodnie drugiego cesarstwa nie tylko dworu i kliki ale i tchórzliwej, zastraszonej, nie agresywnej, ale czysto defenzywnej opozycji w sumie definitywnej musiały ponieść swą karę.

Czy należy przypisywać zbyt dużo winy i zbytnią odpowiedzialnością obarczać ojca Lulu, tego biednego, schorowanego na wątrobę megalomana, który wedle znanej wersji, ówczesnej: „*il veut faire des choses extra-*

ordinaires et il n'en fait que d'extravagantes"? tego wedle Sainte-Beuve'a „Cezara drugiej sorty", który na swój sposób Francję kochał, miał w charakterze i rycerskie rysy i który mógł być nawet dobrym regentem, gdyby nie nikczemność pochlebców, zła wola zauszników no i przedewszystkiem bezprzykładna korupcja prasy, t. zn. „psiarni napoleońskiej"?

Krągło w rok po zwycięskich wyborach z 20 grudnia uciekała z Paryża w nocy z pałącego się pałacu Tuillerji tylnem wyjściem ogrodowem od ulicy Rivoli żona Napoleona III, cesarzowa Eugenja, gęsto zawoalowana, żeby jej tłum nie poznał. Na Gare du Nord. Odprowadzili ją tylko hrabia Nigra i ks. Ryszard Metternich. Do czarno ubranej matki tulił się biedny Lulu, „Orlątko". W drodze do Boulogne towarzyszył im tylko dentysta dr. Evans, którego pamiętnik jest też doskonałym dokumentem tych czasów.

Osiedli z łaski królowej Wiktorji w Farnborough Hill. Po dwóch miesiącach niewoli przyjechał i zdruzgotany, litości godzien starzec, do tak niedawna bożyszcze Francji. Już było po pokoju... Wersalskim. W Paryżu szalała pierwsza Komuna... A na jej czele stał między innymi Polak Dąbrowski (przyjaciel Berezowskiego).

Cesarskie małżeństwo żyło bardzo źle ze sobą, nie widywało się całemi dniami. Śmierć rychłą „Badingueta" przyjęła Eugenja jako „zrządzenie Opatrzności". Paryska prasa republikańska zgon człowieka, który od 1832—1870 trząsł Francją, zbyła kilkunastowierszowymi wzmiankami.

W r. 1872 Lulu za specjalnem pozwoleniem rządu angielskiego wstąpił do akademji wojskowej w Woolwich jako zwykły sobie bez tytułu: Ludwik Bonaparte.

W r. 1875 zdał egzamin oficerski. Był zawsze blady, smutny, przygnębiony. zastraszony. kochający samotność, odludek. Czuł się raczej Anglikiem tak jak matka zawsze uważała siebie za Hiszpankę, a ojciec w przystępach pasji i zniechęcenia nazywał siebie Włochem, carbonarem włoskim, Buonapartem z Ajaccio.

W południowej Afryce, w Transwaalu wybuchło powstanie czarnych Zulusów. W Londynie zgłaszali się młodzi ochotnicy. Jednym z pierwszych. który stanął przed generałem Chelmsworthem był 23-letni L. N. Bonaparte. Przyjęto go nie bez wahania, z obawy późniejszych komplikacyj. Cesarzowa wdowa na prośbę Lulu sama interwenjowała osobiście w ministerstwie wojny. Odpłynął z Southampton. odprowadzany przez trzy panie ubrane żałobnie.

W niecałe dwa miesiące zaledwie. w grudniu prasa londyńska zamieściła lakoniczną wiadomość, że oficer takiej a takiej kompanji, tego a tego pułku J. K. Mości L. N. Bonaparte w pierwszej potyczce z Zulusami poległ, otrzymawszy szesnaście ran od zatrutych włóczni murzyńskich.

Gdzie poległo „Orlątko", cesarzewicz, noszący w roku 1870 tytuł przyszłego króla rzymskiego, nigdy nie zdołano zbadać.

Na pogrzebie cesarzowej Eugenji, „najpiękniejszej kobiety na świecie", kilka lat temu było razem ze służbą „dworską", kościelną i cmentarną niecałe... 40 osób.

Swego czasu Victor Hugo jasnowidząco i proroczo pisał do Niemców: „wy nas uwolnicie od naszego Cezara, my was uwolnimy od waszego".

Farnborough, ostatnią posiadłość Bonapartych zamieniono na opactwo: Farnborough-Abbey.

Z przeszło pół tysiąca nazwanych imieniem Napoleona III placów, ulic, mostów, bulwarów już w roku 1871 w grudniu nie pozostalo we Francji ani jednego.

DAGNY I PRZYBYSZ.

Nie ma się tam ostatecznie czego wstydzić, że to było lat temu właściwie wiele... i że działo się znowu w tym Krakowie, tak doszczętnie już obrobionym i objedzonym przez tylu, tylu pamiętnikarzy, opowiadaczów, zmyślaczów i mówiąc po kaszubsku „Igorzów" czyli imaginatyków.

Założyło się tam wtedy takie pierwsze „Kółko literackie" z młodocianych aspirantów i amatorów piśmiennictwa, studjujących na uniwersytecie a zdecydowanych na życiowy zawód i zawody artystyczne. „Kółko" to ze skromnych funduszów abonowało sobie stale lożę w Teatrze Pawlikowskiego na drugiem piętrze i zapełniając ją stale po brzegi jako dobrowolna klaka wpływało mocno na sukces lub klapę każdej sobotniej premjery. Nadto, raz na tydzień, zbierało się „Kółko" w restauracyjce Lesisza na Rynku lub w gargocie Deptucha przy ul. Szewskiej i po parówkach, piwie i licznych wiśniówkach (3 centy) odczytywało sobie wzajemnie niedonoszone płody ducha; poczem miała miejsce „rzeź niewiniątek", czyli krytyka z miejsca, *ex abrupto*, na ciepło.

Z żyjących i jeszcze dzisiaj ocalałych znakomitości należeli do „Kółka": najniesłuszniej bagatelizowany krakowski dramatysta Maciej Szukiewicz, dalej pierwszy

jeszcze przed Tetmajerem podhalański regjonalista, nowelista Andrzej Stopka, dalej późniejszy tłumacz Wyspiańskiego na francuski język Adam Łada Cybulski, młody obywatel ziemski a dziś kupiec w Nicei, dalej Ryś Ordyński, wówczas posiadacz największej podręcznej bibljoteki nowalij literackich, dalej, znawca sanskrytu i późniejszy Leporello Przybysza Stanisław Sierosławski, dalej Przecław Smolik, późniejszy podróżnik i esteta, obecnie jakowyś dygnitarz w Łodzi, dalej poeta lwowski Kazimierz Lewandowski i jeszcze kilku innych, którzy po mniej lub więcej nieudałych debiutach dali za wygraną i wsiąknęli w burżuazję, w naród, w ludność, w prowincję.

Lista nieżyjących byłaby już większa i zaczynałaby się od współzałożyciela „Kółka" Orkana, który wtedy nazwisko rodzinne Szmaciarz zmienił na Smreczyński, a pisywał wyłącznie liryki. Dalej szedł Krajewski, syn powstańca z r. 1863, urodzony w Hiszpanji, tłumacz i propagator poezji hiszpańskiej. Dalej Janusz Łuszczewski, bratanek Deotymy, mecenas sztuki i w jakiś czas potem, „kupiec starzyzny" antykwarjusz i nowelista. Dalej Stanisław Lack, głęboki erudyta, poliglota i filozof. Dalej młodziusieczki poeta liryk Edzio Leszczyński, ożeniony potem z Pareńską. Dalej Pik, późniejszy tłumacz „Mirandolla". I jeszcze kilku.

„Kółko Literackie" od czasu do czasu urządzało uroczyste posiedzenia dla uczczenia starszych lub już renomowanych pisarzy coś w rodzaju dzisiejszych... akademij. Tak więc była uroczysta recepcja dla Kazimierza Tetmajera. Jeszcze uroczyściej witaliśmy przyjaciela Mickiewicza, sędziwego Karola Brzozowskiego, który szedł piechotą ze Lwowa do Miłosławia, do Kościelskich

na odsłonięcie pomnika Słowackiego i całe trzy dni w naszem towarzystwie przepędził. Bywały recepcje dla gościa z Warszawy Antoniego Langego, dla sędziwego komedjopisarza Zygmunta Sarneckiego, dla czeskiego publicysty Howorki, także dla Bogdana Ronikiera, który wystawiał wówczas w teatrze dramat: „Czy warto?" i został przez Pawlikowskiego pasowany na „polskiego Ibsena"...

Na normalnych cenaclach i sympozjonach kiełbaskowych poszczególni członkowie „referenci" zdawali sprawę z przeczytanych świeżo nowości literackich. rosyjskich (kilka wieczorów Dostojewskiego), francuskich (specjalistą A. Ł. Cybulski), głównie zaś skandynawskich no i niemieckich, ściślej mówiąc wiedeńskich. Z młodym Wiedniem kontakt bywał bardzo mocny. Tygodnik Bahra „*Die Zeit*" czytywało się od dechy do dechy. Teatr grał kolejno wszystkie rzeczy Schnitzlera. Peter Altenberg bywał gościem na wsi u Cybulskiego. Z wiedeńską „*Café Central*" byliśmy w stałym duchowym kontakcie. Trzeba tu zwrócić na to uwagę, że to się działo znacznie, przed założeniem „Życia" przez L. Szczepańskiego, znacznie przed zorganizowaniem assocjacji plastyków „Sztuka", znacznie przed „epoką Turlińskiego („Paonem") to znaczy wtedy, kiedy Wyspiański po raz pierwszy wyjechał w świat zagranicę, kiedy Reymont w Kongresówce urzędował na stacyjce prowincjonalnej jako kolejarz, Kasper zaczynał dziennikarskie rzemiosło i na niedzielę dawał „Kurjerkowi Lwowskiemu" obowiązkowo „jeden wierszyk"; Żeremiasza znało się jako... Zycha.

O nazwisku i egzystencji Przybyszewskiego dowiedzieliśmy się po raz pierwszy z wiedeńskiego tygodnika

„secesyjnego" „Wiener Rundschau" z recenzji jego utworów: „*Zur Psychologie des Indywiduum*", „*Vigilien*" i „*Am Meer*". Recenzja była pióra Franza Servaesa, który miał u nas pełny kredyt i rodzaj kultu. W recenzji zaznaczone było wyraźnie „*ein Pole*"... gra Chopina... demonolog! Wobec czego... odrazu wszystko sprowadzać galopem co napisał!... Niewiele tego było, ale w każdym razie i kilka pism literackich berlińskich jakoto „*Freie Bühne*", „*Gegenwart*" no i zeszyt wspaniałego luksusowego berlińskiego wydawnictwa „*Pan*", a we wszystkich jakieś dziwaczne, oszałamiające, fantastyczne, orgiastyczne rapsodje i fugi... nowe słowa, nowe obrazy, wizje, koszmary... dziwaczna interpunkcja, dużo interlinij i domyślników... „Androgyne"... no i przedewszystkiem najważniejsze „*Am Anfang war das Geschlecht*... „Na początku była płeć".... co nam (przeważnie wówczas dwudziestolatkom) najbardziej konwenjowało. Odrazu tedy „referaty" o każdym utworze tego Przybysza, peany fanatyczne, ekstatyczne, odrazu analizy i dysputy *con fuoco* i fortissime, odrazu próby tłumaczeń i odczytywanie ich na „Kółku".

Pierwszą rzecz przetłumaczyliśmy obaj w kilka nocy z nieboszczykiem Konradem Rakowskim, to jest „Nad Morzem" najfatalniejszą dziennikarską polszczyzną, na jaką nas stać było. Równocześnie zaś napisałem do Przybyszewskiego dwa listy olbrzymich rozmiarów, jeden adresując do redakcji „*Pana*", drugi do redakcji „*Freie Bühne*", listy kładące mu pod stopy laur od całego „Kółka Literackiego", wzywające go do powrotu „na ojczyzny łono" i ofiarujące buławę hetmańską pierwszej awangardy Młodej Polski.

Na listy kilka tygodni nie było żadnej odpowiedzi,

co oczywiście wywołało dość liczne ataki jadowitego szyderstwa i utrwaliło ogólny pogląd, że „ten Przybysz całkiem się zniemczył"; „poco go było molestować?"... „teraz wstyd i kompromitacja! całe Kółko spostponowane! Napisać mu teraz list po niemiecku, no i trochę go zwymyślać! od Prusaków! Socjaliści prawdę mówili, że się całkiem zgermanizował. Oni go dawniej dobrze znali bo byli z nim przecież w kontakcie...

Aż tu nadspodziewanie pewnego poranku przychodzi za recepisem olbrzymie liścisko, formalnie paczka, kilka czy kilkanaście arkusików, „posłanie do braci Polaków" najczulsze, najserdeczniejsze, opętańczo rozkochane, wdzięcznością nabrzmiałe, podziękowanie „Kółku Literackiemu", a co najważniejsze, najuroczystsza obietnica, przysięga, ślub: „przyjeżdżam!" A w środku fotografja z podpisem: „Dagny i Stachu" (sic!).

Ponieważ Przybysz potem w lat kilka w cięższej (nocnej) opresji finansowej sprzedawał jakiemuś snobowi-gościowi moje listy, przeto i ja bez ceremonji w ciężkich (nocnych) potrzebach finansowych sprzedawałem kolejno jego obfitą z różnych lat korespondencję, przeważnie po koronie od sztuki. Może Stasinek (Sierosławski), może Boy (którego te drobiazgi bawią), będą wiedzieli, co się tam z tą korespodencją podziało i w czyich teraz tkwi rękach?

Na nadzwyczajnem, walnem, uroczystem, specjalnem, gremjalnem posiedzeniu „Kółka Literackiego" w knajpie Lesisza, orędzie Przybysza zostało przecudnie wśród frenetycznych wiwatów drżącym od wzruszenia i alkoholjów głosem najgłośniej jak to możliwe odczytane, poczem wśród okrzyków admiracji fotografja puszczona w obieg. Prądowi gorącego entuzjazmu

musieli się natychmiast podporządkować kornie opozycyjnie nastrojeni regjonaliści podhalańscy: Stopka i Orkan oraz grupa wiedeńczyków „*in partibus infidelium*", czyli Schnitzlerowców, czyli Anatolów, czyli wielbicieli Aszantek Altenbergoskich i jego małych dziesięcioletnich dziewczątek, grupa. której przewodził A. Łada Cybulski (Hagenbundziści, „Secesja"... hehehe).

Era zapatrzenia się w Wiedeń i zaopatrywania się w nowalje wiedeńskie kończyła się bezpowrotnie. Dość Baudelaira i Barbey (d'Aurevilly) i dość Bahra ich proroka! I dość secesji (sic) i minoderji, i miłostek („*Liebelei*"). Na początku była Chuć!..." Na scenę wchodzi Androgyne! Musimy być wszyscy „dziećmi Szatana" i to za każdą cenę! W obsadzie autorytetów całkowita zmiana: Berlin: Ola Hansson, Paul Scheerbart, Laura Malholm, Edward Munch, Dehmel, Schlaf, Mombert, no i wielki, największy, niebotyczny Vigeland (rzeźbiarz)! „Na początku był Vigeland". „I nic ponad i poza Vigelandem"! Kraków musi poznać i ukorzyć się przed Vigelandem! Jeżeli nie padnie plackiem przed Munchem a w Vigelandzie nie uzna „Twórcy samego w sobie", będzie zniszczony, spalony, obrócony w zgliszcza. Nastają czasy „Synagogi Szatana". Trzeba się szybko wgłębić we wszelkie arkana... okultyzmu i priapizmu... postudjować „Maga Papusa" (sic), wglądnąć nieco w kabałę i prostować ścieżki pańskie, mościć drogi przed przyjściem „Najsamszego". Czarne msze nas czekają, przy których będziemy ministrantami i akołytami!...

Kto była Dagny przy „Stachu" nikt z nas nie wiedział.

Widzieliśmy tylko, że była Piękna, że przebywała

z NIM, więc tymsamem musiała zostać naszą Astarte (Asztaroth!)... boginią, królową, władczynią, towarzyszką Proroka, więc Profetessą.

Była już późna jesień, śliczna, jak zawsze „polska“, słoneczna, złocista, kiedy do gromadki wielbicieli i wielbicielaczków schodził ze stopni wagonu bardzo trzeciej klasy Stanisław Przybyszewski, padając nam kolejno w objęcia.

Poczem już zaczęło się odrazu srogie pijaństwo coprawda dzięki kilku przygodnie przyplątanym finansowym „fokom“ (Gabryelski, Świątek) poczem oglądanie, pokazywanie Przybyszowi Krakowa przy świetle księżyca, kiedy „bydełko śpi sobie i chrapie“. Zaczęło się od naszego Lesisza, potem Deptuch, Janikowski, Sauer, Secesja, wreszcie Rozenstock, który mu zaraz przypomniał „Rozenkreuzerów“... „poznali wszelkie tajemnice Prabytu“...

Tegoż dnia wczesnym wieczorem byliśmy „*in gremio*“, w komplecie, w Parku Krakowskim na... Królowej Przedmieścia, wodewilu, ze śpiewami, tańcami i kupletami. Przybysz się pobeczał. Sztukę uznał za arcydzieło, głębokie, dziwnie przepaściste i takie ci słowiańskie, prasłowiańskie, wysoko sięgnięte! „Ten nikczemny Strindberg nigdy ci bracie czegoś lepszego nie napisał“... „Panu Krumlowskiemu nie godzien rzemyków u trzewików rozwiązać“!... „Cudni jesteście z waszą Sztuką Strzelistą i Promienistą“!... „Byłbym szczęśliw jak dziecię, gdybym napisał coś tak Wieczystego, jak ten pan... ten pan... jakże mu to braciszku?... aha Krumlowski!...“

Nad ranem zaczął długo opowiadać nieco schrypniętym półgłosem o Dagny... o Sinie, o Iwi...

Sina Przybyszewski-Westroup to obecnie sekretarz delegacji szwedzkiej do genewskiej „Ligi Narodów", znany sportsmen, dyplomata i koniarz, ożeniony z baronessą de Geer, również sportsmenką, mający dwie córki, z których jednej na imię... Hedwig.

„Iwi" to dzisiejsza baronowa Bennet, mieszkająca w swoim majątku rycerskim w Szwecji...

Wówczas były to maleńkie słomianowłose dziecka, które też za ojcem w czas jakiś przyjechały z matką do tego małego, zabawnego, nieco austrjackiego. ale wówczas bardzo sympatycznego i bardzo... cierpliwego Krakowa.

...O Dagny mówił z nami Przybysz długo i szeroko zaraz pierwszej nocy poznania...

A o tej Pierwszej?

To była tajemnica...

II.

Do Polaków, do swoich, do staroaustrjackiego Krakowa przybył Przybysz już po wykąpaniu się z Berlina w Paryżu. po dłuższym staggione w Norwegji i po Hiszpanji. Zdawałoby się więc, że tak wielkie sensacje i emocje turystyczno-artystyczne. powinny były przezwyciężyć w nim i zmyć z niego Berlinizm. Tymczasem okazało się, że kuracja paryska była za krótka, i że nie posiadając zbyt francuskiego, zagustować w najwyższej i najrafinowańszej artystycznej kulturze literackiej i paryskiej i gallijskiej nie mógł. Nie miał do niej przepojony niemczyzną poprostu sentymentu.

Poza Ropsem, Ropsem i jeszcze raz Ropsem, wła-

ściwie nic nie zapamiętał nasz *pauvre Lelian*, z wielu względów życiową manierą tak Verlaina przypominający. Z Hiszpanji pozostał mu Goya i katedry, o których, jako ongiś początkowo studjujący architekturę dużo i długo umiał i lubiał ekstatycznie improwizować. Tkwił atoli duchowo, żył mentalnie i sentymentalnie nadal bujnem zresztą życiem literackiego Berlina. Do Krakowa za pakami książek, któreśmy rozpakowali nabożnie, za obrazami, któreśmy rozwieszali uroczyście (mieszkanie na Wolskiej), zaczęły przychodzić całe sterty niemieckich miesięczników i periodyków. Przeważały antinaturalistyczne, antirealistyczne, metapsychiczne, okultystyczne, no i wspaniałe wydawnictwo artystyczne „Pan", redagowane luksusowo in octavo, z którego to powodu poszczególne zeszyty rozkradaliśmy mu szybko i bezlitośnie. Z Berlinem, tym z „Cafe des Westens" Stach nadal pozostawał w żywym kontakcie i korespondencji. Ale był to Berlin specyficzny, umiędzynarodowiony, zorjentalizowany, skandynawsko-słowiańsko-Dostojewski... askenazyjski. Kiedy myśmy jeszcze mieli duży respekt dla Hauptmana, Przybysz obrzucał go obelżywościami i kazał nam wiernym „płuć"; Halbe? to rękodzielnik, Detlev v. Liliencron to rotmistrz rymujący, realiści w powieści to szewcy i małpiarze Zoli (słusznie). Jedynym poetą świata globu, od wieków, od Dantego pierwszym, strzelistym Promienistym! Gwiaździstym! Płomiennym jest tylko i wyłącznie ON! A. M! Alfred Mombert! M. O. M. B. E. R. T. To jest Kosmos! To jest wszechświat... Absolut.

Jedynym zaś muzykiem, harfiarzem druidem, bezkreśnie genjalnym i po Chopinie drugim z rzędu jest O. N.! C. A.! Jedyny i Jeden!... Conrad Ansorge!... bo-

ski Ansorge, tencisam robaczki, który w szale przepotężnego dyonyzejskiego natchnienia głęboką przepaścistą melodję dał do Mombertowych...

Schlafend trägt man mich
In mein Heimatland
Ferne komm ich her
In mein Heimatland...

I zacny Przybysz chwiejącym się nieco krokiem, jakby chyłkiem zbliżał się do fortepianu (czeska firma Petrow, prezent od Gabryelskiego) siadał i grał *con fuoco* i nucił, a myśmy pod ścianami skuleni, siedzieli rozmarzeni, zamagnetyzowani, zahypnotyzowani, wsłuchani zbożnie, nieziemscy... ot, tak, jak na modnym wówczas „obrazku" Ballestierego: „Beethoven"... Wierzyliśmy w wielkość, nieśmiertelność i jedyność Momberta i Ansorgego niewstrząśnięcie i święcie; ktoby był wtedy wyrwał się z jakimś sceptycyzmem, byłby oberwał po zębach... Bliższych szczegółów ani o Ansorgem, ani o Mombercie nie mieliśmy. „*Iurare in verba Magistri*". Wiedzieliśmy tylko tyle, że Goethe jako poeta to zero, Boecklin jako malarz to „olej", Wagner jako muzyk to feldfebel...

Jeżeli kto mógł jeszcze zbliżać się natchnieniem i głębią do „*der Glühende*" (do Momberta), to chyba liryk Dawid... Hugo Salus... może Wolfskehl, może E. Factor... może Jacobowski (przepotężny... twórca „*Werther der Jude*")... może Selma Heine...

Taksamo i tosamo zresztą czytaliśmy w essayach, studjach, szkicach i recenzjach najznakomitszych ówczesnych krytyków, estetów i ekspertów niemieckich,

a mianowicie Landauera, Hollendera. Bubera, Friedländera, Goldmana, Rosenberga, Hercfelda, Rubinera, Lublinera, Rosnera. Holitschera, Goldberga, Kahanego, Arno (Arona) Holza, redaktora wiedeńskiej „Fackel" Karola Kranza i kilkuset innych... Niemców z „Café des Westens"... w Berlinie..., Niemców z „ograniczoną poręką" (*„mit beschränkter Haftung"*), Niemców „za wymówieniem", Niemców z kontramarką...

I dopiero znacznie później, w lat dziesięć i dwadzieścia, już po wojnie można było wywiedzieć się i uświadomić sobie, że to wszystko, to właściwie była tego no... była to... była poprostu *„lachons le mot"* izrael-elita i ten Ansorge kopista Schuberta i Schumana także... No a dopiero po trzydziestu kilku latach na stare lata czytał także człowiek w warszawskim „Naszym Przeglądzie" o tym wielkim... największym Mombercie:

„Można nie móc nadążyć za Mombertem do głębin i szczytów jego twórczości, a mimo to ulec hypnozie jego suggestywnych obrazów i słów. Kto raz zakosztował w tej „lekturze", nie oprze się wrażeniu, że oto z dziecinnych lat melodja majestatyczna spłynęła, tajemnicza, bo bez słów i treści, a potężna, szeroka, rozlewna, — zda się, że groźna, a jednak bliska, a nawet intymna... czyżby to był głos „szofaru" rogu synagogalnego? czy może odczytywanie Tory: — Genezis?— Jest w tem coś z proroków: Jecheskiel, Jezajasz, Hiob, czy raczej z ksiąg Królów... Aż dreszcz rozkoszny przejmuje, kiedy się czuje ten rezonans w duszy, a wie się, że to melodja podświadoma, że to nie u celowo i świadomie stylizującego poety się znachodzi, lecz u twórcy, który — według określenia Bubera — „nie słowo bie-

rze do ust, lecz słowu służy za usta". — Jestto więc kontynuacja strumienia z niewyschniętych praźródeł żydowskiego ducha i duszy...

I otóż to przed nami Przybysz zatajał, jak zataił zresztą także jeden z takich listów Momberta .gdzie ten doń podobno pisał:...

„znowu nadszedł wieczór — noc już zapada. A serce moje wraca do siebie i do ojców swych i do przodków. I myślę o twórcy Hioba, twórcy Genezis i ksiąg Jezajasza. I straszna tęsknota trawi mnie za moją wielką. na zawsze utraconą ojczyzną. I dumam, chłonę mą duszą objawienia proroków, uczonych pisma, pomazańców i natchnionych".

Ale to nie najważniejsze, co przed nami zatajał dzieląc się ze swoją ówczesną czeladką w długich niekończących się opowiadaniach, zwierzeniach, wywnętrzaniach, expektorjach i psychicznych exhibicjach wszystkiem, literalnie wszystkiem.

Długie lata tajemnicą na siedem pieczęci zamkniętą była też sprawa jego pierwszej żony.

Dla nas istniała wogóle tylko ta druga. Jedni kochali w niej jej piękno, jej smutek, jej wytworność, dobrowolną banicję córki starego szlacheckiego, rycerskiego rodu (ojciec Jule generał) wśród rozwichrzonej, pijackiej, bałagulskiej, „werdebowatej" cyganerji w obcem małem słowiańskiem miasteczku. Inni kochali się w niej, jako w tej czarno opisanej przez Strindberga „Pannie Julji", w zaawanturowanej lekkomyślnie w obcą bohemę malarce, „pannie, która uciekła od rodziców" w Solveidze „*à rebours*", w Aphrodis...

Można sobie wyobrazić, jak wstrząsnęła całą Gminą tragedja ostatnia, to jest zamordowanie jej przez za-

kochanego w niej a przypłątanego do Gminy przygodnie pól Warszawianina pól Kaukazezyka Emeryka i to gdzieś daleko nad Czarnem Morzem. Tylko w Dagny widzieliśmy towarzyszkę i miłośnicę Proroka, Androgyne, Absolut, jego szczęście i źródło, praźródlo extaz, szałów i natchnień twórczych.

Od socjalistów jednak wiedziało się, że przedtem była jakaś inna, o której się nie mówi. I że ta inna zginęła śmiercią „o której się nie mówi". I że ta inna pochodziła z rodziny, „o której się nie mówi". Przybysz sam czasem coś na ten temat zaczynał, potem wzdychał ciężko, wypijał kilka pjolterów *(„Sina spiss pjolter!")* recte koniaków z sodową wodą i urywał. Socjalisty też rozpowiadały, że pierwsza nie zginęła śmiercią naturalną, ale się otruła. Ale socjalisty miały z nim porachunki, więc prawdopodobnie go szkalowały. Dopiero znów w kilka lat potem wyszło na jaw, że z pierwszą żoną miał Przybysz dwie córki i jednego syna. Co się z nimi stało, nikt nic nie wiedział dokładnie, natomiast pewne mętne i niejasne informacje mieli już wcześniej dwaj pisarze polscy, t. j. Artur Górski i St. Wyrzykowski, którzy też zapoczątkowali swego czasu bardzo energiczną i gwałtowną akcję za zdetronizowaniem Przybysza i zlikwidowaniem jego wpływów i akcji i kampanji demoralizujących kompanję pijącej a przedewszystkiem denacjonalizującej narybek literacki. Z dalszej, dzisiejszej perspektywy historycznej patrząc, ówczesna kontrakcja Górskiego i Wyrzykowskiego była pod każdym względem słuszna i chwalebna. Pandemonium, które kończyło się śmiercią Dagny i kilku alkoholicznymi samobójstwami, (między którymi był i sympatyczny najmłodszy brat Boya-Żeleńskiego), zasługiwało

już oddawna na ukrócenie i „autodafe". Nafty to tam Przybyszewszczyzna nie piła, ani koniaku z ludzkich czaszek, czarnych mszy się tam i nie odprawiało... świece płonące kładąc w najnieodpowiedniejsze miejsca, ale w knajpianem i zamtuzowem włóczęgostwie moc talentów się marnowała i szła w djabły.

Szczęśliwym trafem i jakby dosłownie z woli Opatrzności nadchodził już Wyspiański, aby archanielskim mieczem płomienistym rozpędzić i przegnać całą tę Synagogę Szatana i mówiąc szczerze, berlinizm importowany z „Café des Westens".

Już jednak zetknięcie się i z Kasprowiczem, pamiętna noc u Turlińskiego z zamianą kamizelek przez obu „synów gleby" Kujawskiej, podziałało na Przybysza wstrząsająco, w sensie zrzucania z siebie szychu i apostolstwa berlińskiego. (Café des Westens). I już też zdaje się wtedy Kasper uchylił nieco rąbka... tajemnicy. Wiedział coś więcej on, który ongiś wtedy właśnie siedział w więzieniu wrocławskiem (3 miesiące), za jeden wierszyk religijno-patrjotyczny, kiedy Przybysz jako redaktor socjalistycznego „Dziennika Ludowego" w Berlinie, bez opamiętania, dziko, brutalnie, ordynarnie napadał stale na duchowieństwo katolickie, na tych klechów i „farorzów", wśród których był taki nawet Bismarkowi imponujący górnośląski „klecha", Szafranek!...

Była bowiem i taka era w życiu autora „Dzieci Szatana" kult satanizmu propagującego wśród młodej progenitury. Mieszkał wtedy na Weddingu w Berlinie, w szarej, proletarjackiej, beznadziejnie brzydkiej dzielnicy robotniczej. Młody, dwudziestoletni student z Wągrowca (Grosspolen), syn nauczyciela w szkole normal-

nej, tamże otrzymawszy stypendjum im. Marcinkowskiego (jak tylusct, tyle tysięcy innych), studjował medycynę. Żył wtedy z Martą Ferder czy Foeder, córką kupca z rodzinnego Węgrowca, żył przy bracie przyrodnim Antonim, ożenionym z Łodzianką.

Marta była jego podobno pierwszą, podobno piękną, podobno dobrą, troskliwą, ofiarną, współczującą, współmyślącą, w każdym razie i cierpliwą... towarzyszką. Kolejno przychodziło na świat troje dzieci niechrzczonych, zapisywanych na nazwisko matki, ale w każdym razie synowi dano polskie imię: Bolesław, córkom: Dorota, Marja. Jak zacne i kulturalne było włościańskie, skromne gniazdo Przybyszewskich w Wągrowcu, wskazuje choćby to, że dziadkowie gorsząc się prawdopodobnie i gryząc tem „*konfesionslos*" wnuków, jednak kazali dzieciom nadać nazwisko Przybyszewski i kolejno przygarniali sieroty... w Wągrowcu...

Kiedy jednak mieszkali na tym berlińskim Weddingu, Przybysz zaczął zapadać w niemczyznę omal beznadziejnie. Obracali się w środowiskach semicko-niemieckich; jakieś Aschc, Kantorowicze, Goldbergi, jakieś Seligsohny (też z Wągrowca), wszyscy to młodzi półkomuniści pół rewolucjoniści, tak jak... w „*Satanskinder*". Polacy berlińscy, to jest socjaliści ale bądźco bądź polscy tak jednakże zrazili się bezustannem (bo przez środowisko sugerowanem) napastowaniem — już przez rząd pruski dość dławionego duchowieństwa polskiego („klerykalów"), że wreszcie po kilku aferach odebrano mu redagowanie socjalistycznego pisma.

Ale tak jak Mickiewicza, Ksawera Deubel tak i Przybyszewskiego jego Marta Ferder, przepoiła najtkliwszym afektem dla swego plemienia, przy komplet-

nem zobojętnieniu dla tej wiary, z którą całe pokolenia chłopów Przybyszewskich kładły się do grobów, do „kujawskiej gleby" powrotnie. W Przybyszu przerodziło i spotęgowało się to jeszcze w... demonolatrię, w afektowany a efekciarski kult „Szatana", w antychrystjanizm poetycki i literacki. Mąż Marty Ferder i ojciec jej trojga dzieci nietylko „pluł" na „klechów" i zobojętniał dla wszystkiego co polskie, ale twórczym temperamentem poniesiony, pocwałował aż pod „Synagogę Szatana"... i tam korzył się i bił czołem przed... Trismegistem..., przed „takimci braciszki przepotężnym Lucyferkiem"... Długie lata był jego kapłanem arcykapłanem... Mombert „*der Glühende*"..., zanim się po latach, po latach ukorzył znów przed zwykłym sobie już staruszkiem, proboszczykiem swoim, księdzem Wawrowskim z rodzinnego Wągrowca... I list publiczny jeden drukował w „Kurjerze Poznańskim" (15 października 1919), akces swój do obozu narodowego zgłaszając i kając się spokojnie za całe dziesięciolecia antinarodowych międzynarodowych dywagacji... I na gimnazjum polskie w Gdańsku on Przybysz, pierwszy zbierał i do ofiarności rodaków apel po apelu rozsyłał...

Jak na nas wszystkich z owego pokolenia, wpływ opiekuńczy i protekcja pewnych środowisk, działały w sensie narodowym, rasowym i religijnym w najwyższym stopniu destruktywnie i obezwładniająco, tak też musiały działać i na Przybyszewskiego, który mimo cały swój hypermaskulinizm był organizacją wyjątkowo wrażliwą, podatną, bierną, chłonną, kobiecą... (Androgynizm).

Tragedję tego pierwszego małżeństwa Przybysza, starał się przedstawić ale bez artystycznego rezultatu,

nie kto inny jak Hans Heinz Ewers w powieści „Wampir“; sam zaś Przybyszewski w jednym ze swoich utworów dramatycznych...

Jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że gdyby na szlakach życiowych nie spotkał był wówczas Przybyszewski (działacz i publicysta socjalistyczny) Dagny Jule i nie był ją odbił Strindbergowi i nie poszedł za nią..., byłby grzązł dalej w czerwonym ghetto socjaldemokratów berlińskich, zdenacjonalizował się doszczętnie i zniemczał jak tam tylu, tylu nawet... stypendystów doktora Marcinkowskiego. Wypłynięcie Przybysza na szersze wody światowej literatury i renomy u boku pięknej Skandynawki, musiała biedna Marta opłacić swą samobójczą śmiercią...

Toteż syn Marty Foerder jest, jak się można było spodziewać komunistą i to rosyjskim (bolszewikiem). Nadto jednakże jest wysoce utalentowanym muzykiem i muzykologiem (też było do przewidzenia), profesorem czy dyrektorem Konserwatorjum w Moskwie. Nadto pisze... Ostatnio napisał książkę o Beethovenie... z „podejściem“ i „nastawieniem“ marxowskiem (dziadek w Wągrowcu grywał na organach i na skrzypcach).

Baronowa szwedzka nigdy nie widziała na oczy swojej siostry przyrodniej z Gdańska, Doroty... Attaché ambasady szwedzkiej, sportsmen Przybyszewski, nigdy nie zetknął się jeszcze z bratem, rosyjskim komunistą.

Tak! Życie potoczne układa się w bardzo dziwne arabeski; ...Utalentowany pisarz mógłby z tego materjału gotowego czerpać moc motywów... dla dramatu...

SZTUKA O ESTERCE.

Podczas gdy Polacy w Polsce obchodzą uroczyście rocznice dwóch wielkich panujących, którzy mieczem rozszerzyli granice państwa, a zwycięski oręż rozsławili po świecie, podczas gdy cała prasa polska od kilku miesięcy pełna jest hołdowniczych wspomnień i syntez o dziele żywota Stefana i Jana III, to współrządząca i współrządowa prasa zwycięskiej i faworyzowanej mniejszości ostentacyjnie i demonstracyjnie wyciąga innego króla polskiego, jemu składa czołobitnie i jemu pali kadzidła. Któregoż sobie wybrali?

Stefan Batory i Jan Sobieski nie odpowiadają im, nie konwenjują jako „imiltaryści" i tacy, którzy zbyt wielką sławą i splendorem otoczyli imię Polski zagranicą. Na swego faworyta i ulubieńca obrali sobie ostatniego Piasta, Kazimierza Wielkiego. W sześćset lat od jego koronacji cała prasa żargonowa poświęciła królowi Kazimierzowi wdzięczne i rzewne wspomnienia. W pansemickim „Naszym Przeglądzie" z dnia 16 lipca 1933, w dwóch wielkich hymnach „Król Chłopów" wychwalony jest jako Król Żydów, z wyraźną nieprzyzwoitą wprost tendencją. Omawiane jest z entuzjazmem „misterjum" pocty żydowskiego Ceitlina „Ahaswer w Polsce", a „historyczny" wywód w trzech ciągach daje historyk żydowski prof. dr. Majer Bałaban. Czegóż się

dowiadujemy z Balabana i z Ceitlina? Oto ni mniej ni więcej tylko tego, że król Kazimierz był jakoby całkowicie w finansowej niewoli lichwiarzy żydowskich i w erotycznej niewoli *(sex-appeal)* Esterki z Opoczna. Prof. Bałaban prześwietla, do jakich granic miał się Kazimierz oddać w ręce żydów, a poeta Ceitlin udowadnia, do czego doszła „zniewieściałość" i „zdziecinnienie" *(sic)* twórcy Statutów Wiślickich.

Już w owych czasach żydzi małopolscy istotnie ogromnie porośli w bogactwa. Od czego się zaczęło, to stwierdził w innej pracy historyk dr. M. Mieses. Żydzi handlowali w zaraniu dziejów Polski żywym towarem męskim, sprzedawali i kupowali niewolników. Już z pierwszej polskiej kroniki Galla wiemy, że żona księcia Władysława z końcem XI stulecia „wykupywała niewolników z rąk właścicieli żydowskich". Ze skargi mieszczan krakowskich, cytowanej przez prof. Bałabana (r. 1369) dowiadujemy się o ówczesnym Krakowie (600 lat przed burmistrzem dzisiejszym) że:

„Żydzi mają w mieście przewagę, wskutek czego mieszczanie cierpią tak materjalnie jak i moralnie. Żydzi szerzą wśród mieszczan zepsucie, przechowują w swych domach kradzione towary, a nawet złodziei, a przedewszystkiem są dla dłużników bezwzględni i z całą surowością wykonują wyroki sądowe".

Wśród ówczesnych lichwiarzy kroniki wymieniają rabina-bankiera Samuela, dalej niejakiego Jossmana, no a na pierwszem miejscu Lewka, syna Jordana. Geldhaba na wielką skalę. Ten „*vir discretus*" pożyczał pieniądze największym potentatom, wśród nich Rafałowi Tarnowskiemu, mieszczaninowi patrycjuszowi Wierzynkowi (Wirsinck) i Klemensowi Kurowskiemu, który ze

skargą na lichwiarskie procenty Shylocka zwrócił się nawet do Papieża Bonifacego IX (1392). Nic też dziwnego, że król Kazimierz, który miał pasję budowania, taką zresztą jak August Saski („za króla Sasa jedz i popuszczaj") lub jak Stanisław August, dość szybko znalazł się w tarapatach i kolizjach finansowych i zaczął pożyczać u Lewka. W nagrodę za usługi pekuniarne zrobił go najpierw żupnikiem wielickim, a potem oddał Shylockowi mennicę krakowską. Od tego momentu rozpoczęła się hegemonja żydów w gospodarczem życiu Krakowa, tem łatwiejsza, że przeciw nim było mieszczaństwo krakowskie przeważnie niemieckie, a możnowładcy lubili się zadłużać („ułatwione życie"). Od tej niewoli próbowano się wyzwolić dopiero za następcy Kazimierza, dzięki Oleśnickiemu, Długoszowi, „statutom nieszawskim".

Budowanie murowanych kościołów i zamków było atoli tylko jedną pasją króla, drugą były kobiety. I tej pasji drugiej poświęcone jest „misterjum" *(sic)* Ceitlina, na którego fakturze, znać wpływy Wyspiańskiego i Pereca *(sic)*. Z żoną Adelajdą król Kazimierz nie chce mieć dziecka, choć Adelajda (Niemka) i płacze i narzeka. Według poety Ceitlina zniewieściały regent sam chce być... dzieckiem, zdziecinnieć:

„Zwraca się do księdza, aby dlań wyszukał kobietę, któraby go pokochała nie dla jego dumy i purpury królewskiej. Król Kazimierz jest za dumny, aby Boga prosić. Niech się więc zgłosi kobieta, która potrafi króla p r z e i s t o c z y ć w d z i e c i ę, a wówczas będzie on Kazimierzem Boga. Albowiem nie sądzone jest silnemu stanąć w obliczu Boga. Kazimierz szuka niewiasty takiej, któraby mu była równą. Niech będzie albo kró-

lową, jak on jest królem. albo *też dzieckiem*, takiem samem, jakiem on pragnie być".

Na ironiczne zapytanie jednego z wojewodów, czy zgodziłby się na żydówkę, król „odpowiada twierdząco". „W tej samej chwili zglasza się na Wawel delegacja żydowska ze skargami i... z Shylockiem Lewkiem, dyrektorem mennicy państwowej. Król pacyfista gwarzy sobie z krakowskimi bankierami i lichwiarzami. Sam jest też smutny, bo w poszukiwaniu i oczekiwaniu nowych dreszczy. I oto jak poeta Ceitlin imaginuje sobie pierwsze *rendez-vous* czy *rencontre* pacyfisty z... wampem, z... Dalilą:

„Zalega cisza, którą nagle przerywa żałosny płacz. Kazimierz został płaczem dziecięcym serdecznie wzruszony, tak zapewne płaczą aniołowie. Okazało się, że był to płacz dziewczyny żydowskiej Esterki. córki właściciela gospody w Opocznie. Dziedzic Paszko zgladził jej ojca i chcial ją zniewolić, uciekła przeto na Wawel, do króla po ratunek i opiekę. Wszak król ukróci gwalt i samowolę. Sprowadzono ją zatem przed oblicze władcy, który wnet został olśniony jej niezwykłą urodą. wyrażającą dziecięcą niewinność, prostotę, bezradność, rzewność i smutek. Wreszcie zjawiła się ta, za którą król tęsknil nieustannie. Widok placzącego dziewczęcia napawa Kazimierza otuchą i nadzieją. W tej chwili król poczul Boga... Esterka pokochała Kazimierza nie ze strachu, ale dlatego, że ujrzala w jego oczach bezdenną błogość, nie potężnego króla i biednej dziewczyny żydowskiej, lecz dwojga rozkochanych w sobie dzieci. W ten sposób legendarny Ahaswer rozbil swe namioty na ziemi polskiej".

Doslownie: „w ten sposób legendarny Ahaswer roz-

bił swe namioty na ziemi polskiej"... na ziemi krakowskiej, w tej już wieczystej *vagina Judaerorum*.

Że Ahaswer tu rozbił swe namioty (Polska po hebrajsku *Poalei* — Tu spocznij), to obok innych stwierdził też w omal 600 lat potem reporter Londres w swej znanej książce.

KTO OBRONIŁ TREMBOWLĘ?

Jednym z wielu zresztą wspólnych rysów w charakterze dwóch ras, tak dziś i od dziś na siebie chyba już na wieczne czasy rozżartych i rozwścieklonych jest głośne myślenie. Co tam im tylko do głowy wpadnie, to w myśl maksymy: *Gedanken sind zollfrei* wszystko wygadują i wypisują sobie swobodnie *a scripta manent*. Lekarska wiedza stwierdziła, że pod wpływem tak zwanego *natrium amytal* (preparat zbliżony do weronalu i luminalu), jak lekko-chorzy umysłowo łatwo wpadają w sen, tak znów normalnie zdrowi wpadają w gadatliwość i wszystko wtedy rozpowiadają co im „ślina na język“ przynosi.

Oba narody, które swojem koguciem zaperzeniem dają dziś takie widowisko kolosalne reszcie ludzkości, robią wrażenie jakby od rana do nocy łykały całemi tonami to *natrium amytal*. Co za ekshibicjonizm! Czego nie wypaplały w ostatnim kwartale! Jak się nie zdemaskowały! Jak ścigali się tam do mety absurdu i pyknicy i schizofrenicy i asteniey i katotonicy i niemieccy i żydowscy! Czego to jednym i drugim się nie zachciewało a czem to jedni i drudzy nie grozili i sobie wzajem i światu. Takiego ekshibicjonizmu wojowniczego u dwuch zapaśników równocześnie jeszcze kula ziem-

ska nie słyszała. Inne narody i nacje na świecie to a to robią, to a to mają, ale z tem wszystkiem nie wyjeżdżają na plac i na popis, tylko spokojnie, cichutko sobie siedzą chwaląc Opatrzność, że im się dobrze wydarzyło.

Taka mała Belgja ma w kolonjach swoich terytorjum o 34 (trzydzieści cztery) razy większe niż kraj macierzysty, ale nie uważa za wskazane ciągle tem kluć w oczy i pysznić się.

Taka Ameryka ma gęstość zaludnienia 15 ludzi na 1 kilometr kw. (Niemcy 125 ludzi na jednym klm.), nie puszcza już do siebie ani jednego cudzoziemca, ani jednego izraelity, ale jednak potrafi i meetingi humanitarne urządzać i protestować raz po raz przeciw eksmisjom (u innych) i nie domaga się wrzaskliwie jeszcze nowych kolonij i nie brząka mieczem teatralnie.

Nie brząka też ostentacyjnie mieczem i W. Brytanja, jej mężowie stanu nie wygłaszają rodomontad, a jednak zbroi się od stóp do głów forsownie i solidnie.

Nawet Il Duce z Rzymu, który poprzedniemi laty tak groźnie grzmiał na wszystkie boki i strony chwaląc tylko miecz i karabin, zwykły i maszynowy (oraz tanki wszelkiego fasonu), od dłuższego już czasu przestał wygrażać pięściami horyzontom no i swoim ludziom nie pozwala gadać i pisać o aneksjach, o nadczłowieczeństwie Romanów, o straszliwym losie, który czeka wszystkich rywali, konkurentów oraz antagonistów.

Jedni tylko w Europie Niemcy a drudzy na świecie Izraelici upajają się do nieprzytomności swą potęgą. Gauführer von Hotzenplotzen i mówi i pisze nadal, że nie może zasnąć bez Szlezwiku Holsztynu, bez Eupen i Malmedy, bez zagłębia Saary na zachodzie, a na wschodzie chce zagarniać bałtyckie *ponystates* (tak je

nazywają Anglicy od małych dziecinnych koników) i cały Wschód Europy przegrupować od Berlina do Bagdadu, po staremu. Z drugiej strony wygadują niemożliwe trzy po trzy rozmaici katotonicy zbyt impulsywni, *par exemple* pan Fiszel Rotenstreich (nie poseł!): „16 miljonów żydów zmusi wnet Niemców do wejścia na inną drogę"! no i różne tym podobne metafory i habakuki.

Jedną z ulubionych marot czy manij prześladowczych *(Zwangsgedanken)* jest jak dawniej u pangermanów tak teraz u ludzi cierpiących nieco na może przemijający delirium antiswasticum. że rozmaici tacy a tacy muszą wywodzić się z narodu wybranego. Jeżeli już zdolny. to napewno. Niemcy o tem kilka dzieł grubych a *gründlich* skomponowali: Renaissance włoski cały. Disraeli twierdził o takiem pochodzeniu... Napoleona i Mozarta. Były próby z Kolumbem. Eli Faure niedawno starał się tego dowieść o Montaigne'u (z maranów portugalskich) i o Monteskjuszu. Swego czasu figlarnie anektowało się d'Annunzia, właściwe nazwisko Rapagnetta (więc Rappaport?) i Anatola France'a.

Dość upornie i nie bez taktyczno-strategicznej iluzji kolportuje się często takie myty o tych, którzy niekoniecznie pod sercem noszą naród dziś z Niemcami poważniony. Kiedy hitleryzm nadchodził. próbowano takich igraszek z berlińskim Rosenbergiem i z wiedeńskim — Frauenfeldem, jako że oba nazwiska brzmiały nadwiślańsko. Ostatnio jedna ze szmatek bulwarowych puściła taką wersję o żydowskiem pochodzeniu Hitlera, co skwapliwie pochwycił organ „do specjalnych poruczeń" z ul. Marszałkowskiej. To samo nazwisko noszą przecież różni żydzi... I pismo, które tyle set wierszy

w ostatnich latach poświęcało uwłosieniu „rudemu", tym razem pisało:

Należy zatem przypuszczać, iż przodkowie Hitlera stosunkowo niedawno porzucili wiarę „ojców swoich" i przyjęli protestantyzm. Hipotezę podkreśla jeszcze bardzo „niearyjski" wygląd „pięknego Adolfa": czarne oczy i czarne włosy.

Skwapliwie pochwycił tę wersję genealogiczną „Nasz Przegląd" dodając jeszcze detale z praskiego „Prawa Lidu" o Hitlerach we wsi czeskiej „Polna":

Dalej żył tam jeszcze w tym czasie Abraham Hitler ze swą żoną Rachelą, którzy mieli pięcioro dzieci, oraz Jakób i Elżbieta Hitler, którzy mieli jedną córkę Klarę. Od r. 1827 nie pojawia się już nazwisko Hitler w księgach żydowskiego urzędu metrykalnego w Polnej i prawdopodobnie rodzina ta wyprowadziła się stamtąd. Wiadomość ta budzi tem większą sensację, że oficjalny rodowód Hitlera cofa się wstecz jedynie do dziadka i babki, nie mówi natomiast nic już o jego pradziadku.

Omyłka w całej kalkulacji polegała tym razem na tem, że nazwisko Hitler jest nazwiskiem przybranem. Właściwe nazwisko rodzinne brzmiało bardziej z austrjacka: Schickelgruber. Z nazwiskiem Bonaparte czy Mussolini można robić błyszczącą karjerę choć jest czterozgłoskowe. Z nazwiskiem Schickelgruber... wykluczone. Można było obrzezawszy niejako zostawić samo Gruber. Wybrano Hitler. No i trzeba przyznać, że już się jakoś utarło. I ludziska powoli się przyzwyczajają. I już zaczynają powtarzać jedni, że nie taki djabeł straszny jak go malują, a drudzy (i to w Paryżu) znajdują, że wprost czarujący no i pacyfistuł w każdym calu. Jedni z pierwszych zmodulowali swoją ocenę Anglicy od

skrajnego: pereat! przechodząc do dyskretnego (jak zawsze) hosanna!

Tutaj też przy okazji pozwolimy sobie nadal twierdzić z uporem, że znany kompozytor Ryszard Wagner jednak nie pochodził z narodu wybranego, aczkolwiek drugie nazwisko tej rodziny Wagner było Geyer. Są Geyerzy starozakonni, ale był też i... „Florian Geyer", bohater dramatu Hauptmana...

Również błędny jest pogląd, jakoby bohaterka obrony Trembowli (1675), której poświęcona jest we Lwowie „ulica Zofji Chrzanowskiej" była koniecznie pochodzenia semickiego. Aczkolwiek bowiem jej mężowi było naprawdę na imię Samuel, to jednak to niczego jeszcze nie dowodzi (Zborowski też Samuel). Nazwisko jej brzmiało Fersen, von Fersen, ze znanej niemieckiej rodziny kurlandzkiej. Historyk z „Naszego Przeglądu" p. S. Pomer jest tedy w błędzie. Nie szkodzi! Więcej szkodzi, że ulica we Lwowie jest „Zofji", a Samuelowej Chrzanowskiej było na imię Anna Dorota. Mniejsza z tem. Byle ta Trembowla naprawdę była „obroniona" i nasza.

A jak tam w Trembowli dzisiaj?

HORMONOLOGJA.

Bardzo mało zajmują się tem u nas, a tymczasem ta cała nauka o hormonach zapowiada się bardzo ciekawie i otwiera przed ludzkością jakieś już najbajeczniejsze i najfantastyczniejsze perspektywy. Raz dla odmiany repertuarowej zajmiemy się tym tematem, po przeczytaniu kilku dorywczych i pobieżnych szkiców z tej dziedziny biologji i antropologji.

Garść wieści i wiadomości z laboratorjów, klinik i pracowni kilku uczonych, poświęcających się tym arcyciekawym badaniom, których rezultaty w drugiej połowie XX wieku niezwykle mocno wpłyną na kształtowanie się dalszego bytu ludzkości.

Przedewszystkiem notatka z pracowni biologów londyńskich: Badano tam zagadkę przebarwiania się skóry małego, dziwacznego zwierzątka. Kameleona. Sprowadzono ich kilka tysięcy. Teraz dłuższy czas robiono z kameleonami rozmaite specjalne doświadczenia. Okazało się, że kameleony chowane i zamykane w pudełkach, biało wyściełanych, po 30 godzinach b i e l e j ą: te same, zamykane w pudełkach czarnych, w godzin dziesięć czerniały jak węgiel. Otóż ten to eksperyment n i e udawał się po wycięciu kameleonowi pewnych g r u c z o ł ó w podskórnych, *ergo* te właśnie gruczoły musiały wpływać na zdolności mimetyczne (mimikryzacyjne) ka-

meleonów. Następnie eksperymenty polegały na tem, że aplikowane ludziom zastrzyki podskórne substancji gruczołów mimetycznych z kameleonów pozwolą na odbarwianie skóry ludzkiej. Nie żadne żarty, ale czysta prawda. *Ergo:* w przyszłości będzie można przeprowadzać odbarwianie skóry u ludzi ras niebiałych, *coloured peoples.* W następstwie i konsekwencji dalszej tak żółci jak czerwonoskórzy, jak murzyni, (110 miljonów) będą mogli poddawać się masowo zastrzykom z substancji gruczołów mimetycznych. Rasy kolorowe zbliżą się pod względem ubarwienia skóry do rasy białej. Oczywiście kameleonów na te cele wnetby zapewne zabrakło. Musi się tedy wytworzyć sztuczna hodowla kameleonów, fermy z kameleonami, wylęgarnie masowe kameleonów. Jest to muzyka dalekiej przyszłości, ale w antycypacjach tego, jak ludzkość będzie się rozwijała w wieku XX i XXI, przyszły Wells już te rezultaty doświadczeń z gruczołami podskórnemi kameleonów uwzględnić będzie musiał.

Bardzo ciekawe są dalej rezultaty, jakie osiągnięto w badaniach t. zw. hormonów. U nas się ten dział odkryć jakoś bagatelizuje, a tymczasem to, co się o tem czyta, przedstawia się bardzo interesująco. Tutaj dużo przyczynił się do rozwoju tego działu wiedzy nasz rodak, dr. Kazimierz Funk. Mało u nas o nim się wie i mówi, gdyż prawdopodobnie nie pochodzi z wybranej rasy. Hormony są to jak wiadomo, wydzieliny różnych narządów ustroju ludzkiego, tak we krwi jak i w sokach tkankowych. Organizm ludzki produkuje konieczną dlań ilość tych wydzielin, hormonów. Hormony bywają pono męskie i żeńskie i nijakie (jeżeli chodzi o hormony seksualne). Dr. K. Funkowi udało się w jego laborato-

rjum biologicznem wyosobnić właśnie hormon męski, którego drobina zawiera 16 atomów węgla, 26 atomów wodoru, 2 atomy tlenu. Wydobycie i wyosobnienie hormonu męskiego jest tak trudne i kosztowne omal jak wydobycie... radu z t. zw. pechblendy. Potrzeba było pono 25 tysięcy litrów zdrowego moczu męskiego dla wydobycia minimalnej cząsteczki grama. Badania laboratoryjne dr. Funka przeprowadzają dalej prof. Beniamino (w Nowym Jorku), docent niemiecki dr. Butenand i dr. Doppler. Podczas gdy wszystkie odkrycia dwóch hałaśliwych izraelitów, dr. Woronowa z Odessy i Steinacha z Wiednia, okazały się pospolitym i ordynarnym humbugiem, to już praktykowane w N. Jorku przez prof. Beniamino zastrzyki preparatu z hormonu M. wpływać mają na dosłowne odmłodzenie, ale oczywiście tylko w zakresie ograniczonym t. j. wzrostu wagi, wzrostu zdolności do pracy, wzrostu energji i samopoczucia, poprawy snu i t. p. Są atoli hypotezy, stawiane przez tych hormonologów, że zastrzyki tych preparatów z wydzielin hormonowych będą mogły wpływać i na w z r o s t ludzki, czyli że ten dział medycyny, rozwinięty w XX wieku, będzie regulował i decydował o fizycznym rozwoju osobnika ludzkiego. Niskich będzie można l e c z y ć na wysokich, karłowatych na olbrzymów. *Si non e vero* oczywiście *e ben trovato*...

Najciekawsze atoli odkrycia są jeszcze z tej samej dziedziny, to jest także z badań nad gruczołami ludzkiemi. Jest to odkrycie t. zw. g r u c z o ł u s t r a c h u, względnie gruczołu odwagi.

Oczywiście rzecz się dzieje w Ameryce: laboratorjum prof. Charles Louis Mixa oraz eksperymenty dr. miss Adams. Uczony biolog odkrył gruczoły nad nadnerczem

ludzkiem, które normalnie produkują pewne wydzieliny wewnętrzne. Otóż wstrzymanie wydzielin gruczołu na nadnerczu wywołuje tak zwane uczucie strachu. Strach u człowieka ma być niczem innem, jak wstrzymaniem odpływu wydzielin gruczołu nadnercza do organizmu. Eksperymenty polegały na podwiązywaniu gruczoła na nadnerczu, co w osobniku ludzkim wywoływało natychmiastową reakcję t. j. uczucie strachu. Równocześnie atoli, ponieważ te wydzieliny gruczołu na nadnerczu wpływają na rozwój stanu psychicznego, będącego zaprzeczeniem poczucia lęku i strachu, wskutek tego logicznie wypływało, że injekcje *serum*, sporządzonego z tych wydzielin, sztucznie zaszczepia impulsy odwagi, zuchwałości i agresji. To też te eksperymenty zaryzykowała dr. miss Adams i to w pierwszem rzędzie na żabach, poczem na myszach, wreszcie na kogutach. Rezultaty miały okazać się wprost frapujące. Niemrawe żaby i tchórzliwe, płochliwe myszy nabierały niesłychanego wigoru i napastliwości, koguty zaś dochodziły w wojowniczości do obłędnego szału. Z doświadczeń tych okazało się więc, że stan zaczepności i wojowniczości jest u wszelkiej kreatury stanem normalnym, natomiast stany pasywności, depresji, pokojowości, nieagresji zaliczają się do stanów chorobowych, spowodowanych zatrzymaniem wypływu wydzielin gruczołów na nadnerczu. Injekcje takie z czasem będzie można stosować i... dla ludzi. Biernych i apatycznych będzie się leczyło na aktywnych, dzielnych, dziarskich, zaczepnych, a safandulskich, nieudaczników, pionków, lizusów i wprost tchórzów będzie się pewnemi zabiegami (injekcjami) przekształcało na ryzykantów, hazarderów, ekspansjonistów.

Jeżeli w tej dziedzinie dojdzie się wnet do pozytywnych rezultatów, będzie można psychicznie przerabiać nie tylko jednostki, ale grupy, ale *collectio*, całe stronnictwa, całe zespoły. Partje, które naprzykład uprawiają opozycję li tylko myślą, mową, pismem i drukiem, po masowych injekcjach (wydzielin z gruczołu nadnercza) przejdą zaraz do „grzeszenia uczynkami", do akcji czynnej, do działania...

Jak tedy z tego widzimy, na postępy i rozwój hormonologji oraz na naukę o gruczołach powinno się baczną zwracać uwagę i ze stanowiska polskiej publicystyki „umiarkowanej". Bądź co bądź, to jest też jedna z nauk i wiedz o wielkiej przyszłości...

Płci nadobnej i słabej też przydadzą się takie injekcje, odbierające uczucie „strachu" przed panami świata.

PIERRE RAMUS, WRÓG KOBIET.

Wreszcie, wreszcie, po dwóch, czy po trzech miesiącach srogiej kaźni, wypuszczono z wiedeńskiego „Fledermausowskiego“ więzienia męczennika za dobrą sprawę, świątobliwego młodzianka, Pierre Ramusa. Właściwie to on się nazywa trochę inaczej. Ale jeżeli po wojnie światowej tyle tysięcy, tyle kroci tysięcy „młodzieńców żydowskich“ zmieniło pośpiesznie swoje nazwiska (w Polsce zeslowiańszczyło się przeszło 10 tysięcy), to dlaczego nie miał Rudolf Grossman przekształcić się w tajemniczo i malowniczo brzmiącego „Pierre Ramusa“? W tem dźwięku „Ramus“, jest coś i egipskiego i rzymskiego i hinduskiego i egzotycznego i klasycznego: „RAMUS“.

Grossmanów bywa stosunkowo dużo. W każdem mieście europejskiem, względnie wschodnio-europejskiem omal tyle Grossmanów żywie, co Rajchmanów. Pospolitość aż skrzeczy. W każdej książce telefonicznej cała strona, tak jak Cohnów, Rapaportów, Menkesów, Stieglitzów, Kapelnerów, Cahanów, Goldmanów. Całkiem co innego „Ramus“. A już jak dodać imię „Pierre“, nie pospolite niemieckie „Peter“ ale Pierre, to całość wygląda bardzo efektownie, fonetycznie omal radjofonicznie...

Pierre Ramusowi stała się w życiu ciężka krzywda.

Akurat w tym czasie, kiedy młodociany, ale już znakomity reformator miał ochotę czy apetyt oficjalnie wystąpić ze swoim programem wybawienia ludzkości z tarapatów i opresyj. akurat w tym czasie zapakowano go do ordynarnego kryminału na chleb i wodę i czekoladki. wiedeńskie „pralinees". które mu przynosili wielbiciele i zwolennicy. Nie mógł tedy brać udziału Pierre Ramus w pierwszym europejskim Kongresie Ligi Reformy Seksualnej. na którym właśnie miał wypowiedzieć swoje credo i może zyskać aplauzy i sławę. Szkoda to wielka, ale może jeszcze nie niepowetowana.

Kohngres odbył się tedy bez współudziału Pierre Ramusa. Pomimo tego cieszył się wielkiem powodzeniem i przyniósł jak najdodatniejsze rezultaty. Odbył się nie tyle w Bernie szwajcarskim, ile w morawsko-czechosłowackiem Brnie. Nic to mu jednakże nie zaszkodziło. Jak ongiś do Wittembergi Marcina Lutra. tak w listopadzie do Brna, słynnego działalnością twórcy Eugeniki księdza biologa Mendla zjechali się z najdalszych krajów i miast, pierwsi Reformacji Seksualnej apostołowie. Coprawda. nie było największych tuzów, na których zwykle dość swobodnie i bezceremonjalnie powołują się pomniejsi i bardzo mali. Nie było tych, co nieco za poważnie i za głęboko tym kompleksem problemów się zajmują; nie było Margarety Sänger z New Jorku, ani sędziego Lindsaya z Filadelfji. ani Russela ani Dory Russel. Nie mieli czasu, czy zbagatelizowali czy też nie konwenjował im zespół głównych działaczów seksuologji zbyt... jednolity.

Może byliby przyjechali, gdyby zgłosił swój referat na Kongresie Pierre Ramus?

W każdym jednak razie znaleźli się przecież w Brnie tacy uczeni, jak dr. Kaufmann (Berlin), dr. Neufeld (Karlsbad), dr. Rosenthal (Wrocław), dr. Zofja Lazarusfeld (Wiedeń), dr. Spielman, dr. Steiner, dr. Weisskopf, nawet z Chin przybył wenerolog dr. Li-Szin-Tong, a Warszawę reprezentował niestrudzony dr. Rubinraut oficjalnie a kilku pono delegatów incognito(?). Co zaś najważniejsze, że był sam wielki protoplasta i Mojżesz reformy seksualnej z Berlina, dr. Magnus Hirszfeld, z głównymi działaczami i „asystentami" swego „Instytutu". Ogólnie tylko zauważono i dotkliwie dała się odczuwać nieobecność jednej z najbardziej sugestywnych i bohaterskich apostołek... t. j. Doroty Tylickiej-Krzywickiej, tembardziej, że w Kongresie wzięła udział słynna pani Jansen, która poradnię świadomego macierzyństwa założyła w samochodzie, w jakim objeżdża całą Szwecję, zapuszczając się aż do Laplandów i Eskimosów.

Nie da się stwierdzić, czy nie właśnie haniebne uwięzienie we Wiedniu takiego autorytetu neoseksuologicznego, jak boy Grossmann, nie wpłynęło na tak liczną absencję i z Polski, i z Ameryki... Pomimo atoli tylu nieobecnych *(„Les absents sont toujour tort...")* dwa najważniejsze referaty mogły być i wygłoszone i poddane długiej *„coram publico"* (Brno) dyspucie.

Pierwszy z nich był, jak łatwo się domyślić o piekle mężczyzn, czyli o tragedji „mniejszości seksualnej", czyli o dolach i niedolach homoseksualistów, o uchyleniu barbarzyńskiego paragrafu 128 w kodeksie niemieckim. o absolutnej konieczności tolerancji dla pederastji, tak jak się ostatecznie toleruje filatelistów, esperantystów, wegetarjanów i t. p.

Drugi ważny poruszony problem nowatorski, przedyskutowany i uchwalony w sensie raczej przychylnym (co może nawet zdziwić czy oburzyć barbaryjskich wsteczników, filistrów-łyków, katolyków, no i oczywiście, naszych endeków, czy niemieckich papendeków), to była kwestja czy należy nadal walczyć z tak zwanym „*ipsyzmem*" i czy t. zw. „*ipsacja*" u nieletnich jest szkodliwą w następstwach, czy należy tępić „*ipsomanję*" w młodzieży barb-aryjskich plemion europejskich, czy też i w dziedzinie, a raczej w nałogu „*ipsacji*" propagować pewną reformę, pewną tolerancję, pewien postęp!!

Ponieważ jesteśmy w Warszawie, więc zgóry zastrzec się tu musimy, że nic a nic nie ma to wspólnego z naszym IPSEM z Placu Marszałka Saskiego. W języku naukowym Reformacji Seksualnej ipsyzm jest to neologizm, w miejsce starego jak świat (i Stary Testament) terminu, oznaczającego lekkomyślną manjerę biblijnego Onana. Za tolerancją i bezprzesadnem zwalczaniem tego nałogu, z punktu widzenia nowej seksuologji nie tak znów niebezpiecznego i szkodliwego zdrowiu jak to wmawiano w poprzednie generacje ozwały się na Brneńskim Kongresie liczne głosy z tego aeropagu w którym przeważali: doktorzy Spielmann, Kaufmann, Weisskopf, Rosenthal, Lazarusfeld, Hirschfeld i t. p.

Zdaje się, że i dr. Abraham „asystent" z „Instytutu" berlińskiego Magnusa Hirschfelda, stał tym razem po stronie... Onana.

Śmiało tedy mógł sobie na tle tego bardzo nie Arjopagu, ale Areopagu, wystąpić ze swoim własnym programem ratowania ludzkości Rudi Grossman, onże

„Pierre Ramus", temci bardziej, że nie jest to sobie jakiś normalny kapcan, luftmensz czy szajgec o zwyrodniałych kryminalnych instynktach, ale bądź co bądź „ostatni uczeń Krapotkina"... teoretyk i ideolog anarchizmu, świetny mówca na mykwemetingach, przed wojną publicysta radek-alny i „redaktor" pisma „*Wohlstand für Alle*" (Dobrobyt wsiem), podczas wojny pacyfista i dezerter (z przekonania), po wojnie autor broszury: „*Erkentniss und Befreiung*" i fanatyczny propagator „*birthcontroll*", świadomej regułacji urodzin. Kiedy go we wrześniu aresztowano korespondent krakowskiego „Nowego Dziennika" (— sic) a Grossmana znajomek pisał o tem nie bez melancholji:

„Warto jeszcze dodać, że anarchiści wszystkich krajów i kierunków politycznych — mnóstwo bowiem jest w anarchiźmie odcieni od indywidualistów do komunistów — pierwsi wypowiedzieli się zasadniczo za neomaltuzjanizmem, t. j. za świadomą regułacją urodzin. W tym duchu działa np. w Zurychu bardzo popularny lekarz dr. Fritz Bruppacher, autor całego szeregu dzieł z tej dziedziny. Anarchiści, którzy zwalczają parlamentaryzm, widzą po części w samopomocy społecznej obok rewolucyjnej akcji masowej jedną z dróg wiodących do wyzwolenia klasy robotniczej. Neomaltuzjanizm w myśl ich teorji może więc być narzędziem walki klasy robotniczej o swe wyzwolenie..."

Stąd tedy bierze się ta protekcja i to poparcie, jakie wybrany naród czy międzynaród in corpore we wszystkich stolicach europejskich daje szabes-bojownikom o „regulację urodzin". Ale to tylko etap, stadjum przejściowe postępu reformacji. Taka reforma dobra jeszcze i aktualna dla zacofanej i rozendeczonej War-

szawy. Pierre Ramus poszedł o krok dalej. Jemu już nie chodziło i nie rozchodziło się o tolerancję dla ipsacji i dla pederastji, ale o coś jeszcze ważniejszego, bo o ulżenie jeszcze jednemu „pieklu mężczyzn"... piekłu o... alimenta... „Chwila szału, folga ciału". „Lecz kto płacił alimenta, ten to sobie popamięta"... „Pomnij o skutku namiętny filutku"... „Teraz gimnastyka, a potem klinika"...

I wtedy to Pierre Ramus, autor „*Wohlstand für Alle*" wpadł na ideę... sterylizacji. Nie ograniczył się słusznie na teorji, na szarej teorji i na propagandzie, ale odrazu rzucił się w praktykę. Dla zmniejszenia piekła, dla ułatwienia nieba. Spermatozoom wojna! krótka lecz niezubłagana! Im mniej królów, tem więcej jak króliki, mnożą się ludziska! Co rok to prorok nowej seksuologiki! Żubry giną, mrowią się insekty. Za dużo tych bliźnich! Co robak, to rodak!

Gdzie się to wszystko zmieści, gdy się na kamieniach rodzą?

Stanowczo musi być pauza w masowej produkcji! Swoją drogą „strajk macic" *(Gebärmutter streik)*, a swoją drogą i mężczyznom trzeba pomóc... Należy ich tedy ukapłonić. Proceder czyli zabieg będzie kosztował 82 i pół szylinga. Te pół dlatego, żeby trudniej było zgadnąć, a łatwiej resztę wydać.

Czy taka idea była całkiem nowa, ekscentryczna, zdrożna i karygodna? Czy bez precendensów? Otóż nie! Już w pewnym kraju w pewnem państwie, no oczywiście, że w Zjednoczonych Stanach, całkiem poważnie i naukowo debatowano nad sterylizacją płci brzydkiej. Liga Poprawy Rasy domagała się tego najstanowczej. Obłąkani, recydywiści, matoły, tudzież

obojnaki, czyli dwupłciowi (rzadka species) powinni być urzędowo, legalnie sterylizowani czyli ukapłonieni. Obliczono, że w Ameryce w ten sposób usterylizowanoby przeszło dziesięć (10) miljonów nieudaczników, ssaków, czy ssamców. Tą drogą obezwładniłoby się, unieszkodliwiło i zapobiegło rozmnażaniu ludzkich degenaratów i destruktów. Następna generacja ludzkości byłaby już i zdrowa i piękna i co więcej byłoby jej wogóle mniej...

Tak rozumował humanitarnie i jasnowidząco wiedeński reformator. Poczem zaczął tę ideę realizować. Wynajął kilku „naganiaczy" (między nimi obywatela polskiego nazwiskiem „Akentjew"). Zabieg wabił się naukowo „*vasektonją*", recte: sztuczne pozbawianie płodności. Na „Poradnię" wynajął jakąś pokoiczynę. Poczem rękawy zakasał i zaczął „pracować". Dokonał operacyj jak jedne fiakierblatty czyli ikace wiedeńskie twierdziły, na 50-ciu egzemplarzach, jak inne na 5.000 typów w obu wypadkach z dużem powodzeniem. Z „Poradni" Pierre Ramusa wychodziły mężczyzny lekko, raźno, jakby ich kto na sto koni wsadził, gwizdając sobie walca z „Kongres Tańczy". Interes zaczął prosperować o ile w tych czasach coś wogóle może. Nie upłynęło atoli wiele wody w Dunaju, jak dowiedział się o tych reformach męskich *Fiscus* austrjacki i zaczął kombinować, jaki na takiego, mówiąc po chłopsku „miśkarza" i której „kategorji" nałożyć podatek.

Niestety, przedtem jeszcze nałożono Grossmanowi kajdanki. I reformator poszedł do kozy, o tyle podobnej do kozy Gandhiego, że też zaczął zaraz głodówkę. Na dobitek... całym tym pomysłem zainteresowali się i... hitlerowcy i to do tego stopnia, że jeden z nich wy-

stąpil z projektem (sic!) na Kongresie kryminologów we Frankfurcie (sic!), aby w przyszłych Niemczech *(das dritte Reich)* dla poprawy rasy germańskiej (sic!) pewien procent współobywateli (w. M.) odrazu poddać... vasektonji.

Bądź co bądź jednak Pierre Ramus za ofiarną służbę swej idei coś jednak wycierpiał. Jak Galileusz też ongiś cierpiał. Inni galileusze natomiast nie cierpią... A ten Grossmann jednak, choć co nieco w więzieniu za swoje sterylizowanie znajomych za swój odcinek seksualnej reformacji cierpiał.

Kto tam wie, czy za lat 50 ten jego proceder nie wejdzie w modę...

Mniej sympatyczni są tylko męczennicy, bojownicy i cierpiętnicy, którzy za swe apostolstwo tylko... czerpią... coraz większe tantjemy i profity czerpią.

Tacy są u nas.

DOKTÓR JAWORSKI, PRZYJACIEL KOBIET.

Kto zacz i jakie ma zasługi dla ludzkości doktór Steinach, o tem wie każde dziecko nowoczesne.

Również każda chłopczyna dorastająca wie dzisiaj, jakie zasługi położył na obie łopatki doktór Woronow. Zdaje się, że i Piotrusia pani Krzywicka uświadomiła szczegółowo już o tych metodach. Natomiast ani Piotruś ani Warszawa ani rodacy zdaje się nie mają pojęcia nic nie zasłyszawszy o doktorze Jaworskim i jego systemie.

Tamci dwaj cudotwórcy należą bowiem do gatunku, do *species humana*, która zna się dobrze na profitach i na professjach ostrej, offenzywnej reklamy, solidarnej i solidnej. Byłe nazwisko nie wyszło ludziom z pamięci ani godzina! Eddie Cantor albo Mally Picon! Krótko a węzłowato! Byłe codzień! „Reklamujcie! reklamujcie! a coś tam w głowach zawsze zostanie!".

Ilu postawił na nogi „prof." Steinach, to niewiadomo ani też gdzie przebywają i jak im się powodzi. Taksamo o namacalnych rezultatach kuracji „prof." Woronowa także mało wiadomo. Przebąkują o tym i owym gentlemanie, że właśnie wrócił z Wiednia, wygląda o 20 lat młodziej i gotów jest do każdej akcji na poczekaniu. Ale jak się takiego spytać co prawdy na tem, to się okaże, że był tylko w Kosowie czy też Inowrocławiu, czuje się doskonale, spadł z cielska, ale co do tego, to w sa-

mej rzeczy spassował już dawno i żadnych szans nie przewiduje. Osoby, któraby wróciła z mitycznej kliniki dr. Woronowa i okazała się notorycznie niebezpieczną dla niewieściego otoczenia, nikt jako żywo nie widział i nie dotykał.

Owszem w kurjerkach o tem się raz po raz to i owo i widzi i czyta. A to, że dr. Woronow przeniósł się z Wiednia do Paryża a dr. Steinach z Paryża do Wiednia. Od czasu do czasu także i wywiady grubo intrygujące, a to o postępach nauki zwanej *homotransplantacją* względnie *heteroplastyką*, a to znowu o sprowadzeniu z Afryki 20-tu klatek z morowymi szympansami, a to znowu takie wesołe kawałki (i wzmianki) o tych lub owych gruczołkach, przeszczepianych z tego na tego lub wreszcie o tych takich hormonach, które ostatnio są wogóle bardzo w modzie (hormon od śpiączki, hormon od śmiechu, hormon inteligencji).

Drukowanego tedy w tej dziedzinie bywa dość dużo i barwnie. Ale żeby tak zdarzyło się napotkać pasażera, który przed kuracją był kaput, a po kuracji wrócił do nas jako ten legendarny osieł względnie byczek albo wogóle normalny kogut z czerwoniastym grzebieniem... no, to o tem mowy niema, to się nie zdarzyło, poprostu wykluczone *(ausgekluczt)* czyli fikcja, fantom.

Owszem o operacjach implantacji, transplantacji i autotransplantacji czytało się i czyta gdzieś, coś, ciągle, ale typa czyli gościa, któryby z fazy jak to mówią impotentnej jako ten Faust (Goethego) wrócił (mówiąc naukowo) do stanu hypermaskulinizacji względnie wirilizacji i dawał tego naoczne dowody, no to niema i nie było w promieniu kilkutysięcy mil kwadratowych.

Wprost przeciwnie, jeżeli widomą oznaką tak zwa-

nych rzezańców (nie rzezaków), rzezańców czyli eunuchów na Wschodzie (Turcja, Persja, Irak) bywa to głównie, że cienko śpiewają, to w pewnej mierze teraz rzezańcami takimi bywają omal wszyscy, gdyż wszyscy śpiewają cienko.

Wiadomo było od zoologów, że każdy goryl jest hypermaskulinarny. Więc co się z nimi ceremoniować, kiedy się sprzeciwiać nie mogą. Brać im tedy to, co brakuje ramolizującym kapitalistom i koniec. No i w roku 1918-tym odbyła się rzekomo pierwsza próba, już nie czytana ale generalna „wszczepienia rozpołowionego jądra w mięśnie brzuchowe po poprzedniem podwiązaniu nasieniowodów"... jak to brzmiało naukowo, czyli „wzmożenie działania gruczołowego w kierunku produkcji hormonów płciowych".

Co się potem z pacjentem czy z pacjentami podziało ani nauka nie mówi, ani w kurjerkach nie pisało.

Doktór Jaworski z Paryża, nasz rodak, niema wswych odmładzawczych zabiegach i metodach nic wspólnego z tymi dwoma, powiedzmy sobie delikatnie transplantatorami, znachorami. konowałami czy konowałcami. oryngutatami. Doktór Jaworski. o którym często czyta się w paryskiej (a nigdy w polskiej) prasie, odmładza sobie po staremu, idąc po linji słynnego biologa dr. Brown Secquarda.

Nic się tam nikomu nigdzie nie przeszczepia, tylko się poprostu wstrzykuje taki wyciąg ze zwierzęcych gruczołów, po dawnemu, co wystarczy na dziesięć lat (po 12 do 16-tu zastrzyków), a po dziesięciu można sobie kazać kropnąć znowu, przyczem żadnego niebezpieczeństwa szybkiego zmałpienia (zezwierzęcenia) oczywiście niema.

Taki jegomość po zastrzykach eliksiru dr. Jaworskiego nie robi zaraz awantur, nie rzuca się na niedołatki, nie napastuje sekretarki, nie kładzie zaraz ręki na kolano manicurzystki, ale też także nie porasta na rękach włochami, nie rży, nie wierzga nogami, nie staje dęba na widok kąpiącego się pensjonatu. Żyje sobie dłużej o kilka lat, pozwala od czasu do czasu na to i owo i tamto, ale w miarę, taktownie i bez gorylowych manier.

Inna rzecz znowu, czy i takie przedłużanie życia *ad infinitum* nie powinno być wogóle zakazane.

Dużo i na ten temat stało ostatnio w kurjerkach. W Europie wogóle linja życiowa zbyt się wydłużyła. W porównaniu z tym stanem. jaki był 50 lat temu przeciętna długość wzrosła od łat 12 aż do 14, najdłużej w krajach skandynawskich a także w Italji. Wskutek warunków higjenicznych, postępów medycyny, odżywek rozmaitych, zostało przeciętne życie przedłużone, Matuzalemów coraz więcej, społeczności się starzeją. na państwa spadają ciężary emerytur i rent inwalidzkich a dla młodej generacji zmniejszają się szanse zdobycia stanowisk, zajęć i pracy, konkurencja trudniejsza.

Czy konkurencja trudniejsza także *in rebus eroticis*, w to należy wątpić. Nawet mocno postawieni na własne nogi przez dr. Jaworskiego samcowie i samsony. dysponujący dużemi złożami złota gentlementle nie są znów tak niebezpieczni a to głównie z powodu: kawa, czarna kawa...

Pisało o tem niedawno znów w jednym takim kurjuerku. Odkrycia o kawie dokonał niejaki Stieve, prof. H. Stieve i opublikował to w naukowem piśmie niemieckiem „Forschungen und Fortschritte":

„Prof. Sticve wykonał swe doświadczenia na królikach męskich i żeńskich, podając im codziennie duże dawki kawy ziarnistej. Po 4—6 tygodniach samiczki stały się bezpłodne, a samczyki straciły potencję. Po zaprzestaniu podawania kawy zwierzęta odzyskiwały po pewnym czasie płodność, wszystko wracało do normy..."

Co w kawie działa szkodliwie na płodność: kofeina czy jakiś inny składnik? Prof. Stieve rozstrzygnął to pytanie podając jednym królikom kawę pozbawioną kofeiny, innym samą kofeinę. Okazało się, że ta grupa, która otrzymywała kofeinę była bezpłodna.

A więc kofcina! Oto nieprzyjaciel rodu męskiego! Cóż pomoże eliksir doktora Jaworskiego takiemu, co żłopie kawę czarną łapczywie a bez sensu? Choćby wziął i szesnaście zastrzyków, może żyć dłużej jako ten niepotrzebny balast socjalny, ale pociecha z niego żadna lub marna.

Ci zatem, co nie mogą sobie pozwolić na jazdę do Paryża i na kurację u dr. Jaworskiego, niech przynajmniej przestaną obezwładniać się, samotrzebić, eunuszyć się czarną kawą...

W każdym jednak razie po odkryciach i eksperymentach prof. Stieve, jedna zgryzota z ostatnich czasów spada nam z karku, a mianowicie, to topienie i palenie zbiorów kawy w Brazylji. Znów w Rio tyle a tyle tonn w wodę, santosem palą w piecach, w Sao Paulo cegły z kawy robią, 12 miljonów worków, 360 miljonów klg.

A niech topią i niech palą! Jeżeli prof. Stieve ma rację, to niech niszczy całe zbiory z tego roku.

SAMSON WŚRÓD FILISTYNEK.

Tak się stalo, tak się zdarzylo, że obywatel Jakób Wojciechowski, posiedziciel realności z Barcina (Wielkopolska) znalazł się w stolicy dzielnych Sarmatów i bawił tu przez dni kilka.

Wojciechowskich jest dużo. Nawet Jakóbów Wojciechowskich znalazłoby się kilka tysięcy. Ale ten z Barcina to jednakże jeden jedyny, singular, unikat. Napisal o nim niedawno cale studjum psychoanalityczne Frank L. Schoell, tłumacz Reymonta *(L'Europe Centrale* 31 Oct.).

Kiedy swego czasu bardzo poważny Instytut Socjologiczny w Poznaniu rozpisał ankietę i przeznaczyl nagrodę za najglębiej i najszczerzej napisaną autobiografję, żywot poczciwego człowieka pracy, fizycznej pracy, przysiadł sobie fałdów przedziwny autodydakta, co to nic z jednego pieca chleb i nie z jednym czlowiekiem beczkę soli przejadl i pracując dniami i nocami, gryzmoląc wszystko, co tylko zapamiętal i co mu ślina na język przyniosla, dał w rezultacie *opus unicum*, najszczegółowszy pamiętnik, memorial i zarazem wyznania *hard-labour-mana*, takie *silva rerum*, jakie dawniej pisały cześniki, stolniki, miecznniki. Instytut socjologiczny w Poznaniu pierwszą nagrodę przyznal Jakóbowi Wojciechowskiemu i slusznie zrobil. Przedzieranie się przez

tysiące zawad, przeszkód, przeciwności, z nizin egzystencji, całkowicie prymitywnej, żywiołowe, przekorne, czasami aż podstępne parcie pierwotniaka ku światu kultury, ku słońcu wiedzy, ku wyższemu *standard of life*, dzisiaj, w epoce integralnej niwelacji, przewalania się warstw i klas mogą nawet bardzo rafinowanego czytelnika nie tylko interesować, ale mogą mu nawet zaimponować. Całość przeczytać nie jest rzeczą zbyt łatwą, ale moc fragmentów i epizodów biograficznych, posypanych jeszcze solą rozmyślań i refleksji narzuca się i zostaje w pamięci przez rozmach narracji no i przez fascynującą siłę, promieniejącą od *self-made-mana*, mającego nawet coś z *squatterów* i pionierów amerykańskich. Najciekawszy atoli jest w tym raptularzu konkursowym proces polszczenia się robociarza i przebieg wydobywania się narodowo indyferentnej jednostki z powijaków i... obwijaków prusaczyzny, tylko — katolicyzmu i szczerze powiedziawszy mocarstwo — niemieckiej poddańczej mentalności. Jest to jakby spadkobierca siły moralnej sławnego Drzymały, a wnuk „Bartka Zwycięzcy"; nowy Prus wykroiłby z grubego tomu niejedną „Placówkę". Jako zaś nowe źródło optymistycznej wiary w hart i wytrzymałość naszego *collectivum* narodowego, naszej masy w jej dolnych, iłowych formacjach zasługuje Jakób Wojciechowski nie tylko na recenzje, ale i na wdzięczność i na szacunek.

Tymczasem dowiedzcież się, spółcześni, jaką to sobie zabawę i „plejzyrek" zrobiła z obywatela Wojciechowskiego warszawska Reformacja Sexualna i jej Luter, strejk *der Gebärmutter* apostołujący...

Nudzą się. Zblazowani są. Dziwić im się trudno i nie godzi. Stolica Sarmacji, ongiś przed wiekiem bywała

podobno wesoła, bogata, barwna, z cudzoziemskim dopływem. Stolica Sanacji zbiedniała, znudziała, zgaliejanizowana, wnct jakiś olbrzymi Leżajsk czy Mościska, skąd tylu mamy dygnitarzy i excelleneyj. Dożywotnio skazani jesteśmy na samych swoich: etranżery z flotą galopem przejeżdżają extracugami do Sowietów („cytadela socjalizmu") nie wychylając nawet głowy z wagonów, żeby przypadkiem palką lub batem nie oberwać.

Elita rządząea, nie rządowa konieeznie, jakoś sobie tam radzi i jeszcze z dyplomacją na rautach i na lunchach poziewa, potańczy, pobrydżuje. Elita intellektualna poza zgryzotami finansowymi nie ma żadnych emocyj na europejską skalę. Nie zaglądnie do tej naszej stołeeznej dziury na uboczu na dlużej ani Josefina Baker ani Greta Garbo, ani Krisznamurti ani Mahatma Gandhi, ani żaden wielki myśliciel, ani żaden słynny reporter, ani Einstein, ani Einstejnach, Maoryski także nie, z Tahiti także nikt. Nawet fordansery są już tylko z krajowym paszportem i z normalnie sanacyjnemi metodami bytowania.

Elita intelektualna tedy pozbawiona funduszów i forestierów i wogóle pełnego, normalnego dopływu zagraniczej pożywki kulturalnej (książki drogie) nudzi się śmiertelnie, jalowieje i parszy... (gdy się czlowiek robi starszy). A że Reformacja Seksualna jcst tejże elity awangardą, więc się nudzi najpierwiej i najmocniej. Na „Dziesięciu z Pawiaka" już wszyscy byli, na „Dziesięeiu ułanach" wszyscy byli, potem przyjdzie film o r. 1914, potem dźwiękowiee p. t. „Więzień z Magdeburga", potem „Belina do Berlina"! potem: „Osiemnasta bitwa świata", potem: „Przepędzenie Moskali", potem: „Bolszewik pognębiony", potem: „Jak to było pod Wil-

nem?", potem: „Szwolcżerzy! Szwoleżerzy!" itp., itd., ale dla intellekualów i mózgowców to wszystko nie tak znowu interesujące. Czytanie coraz to nowszych protestów pisarzy świata przeciw „dzisiejszej Polsce", to też nie bardzo już zabawne. Poradnia już jest, możnaby... może pomyśleć o krematorjum dla poradniaków... Ale razem, w sumie, w kupie, w saldo; no to wszystko jednak co to dłużej gadać: nuda, piekielna nuda, goła nuda, naga nuda, czyli jak znawcy mówią: „zepsienie"... ogółowe zepsienie („Polska bryndzą bogata").

Na tak nastrojoną konjunkturę zjechał, na takie stadjum bezkresnej szarzyzny na Olimpie natrafił zjeżdżający z rewizytą do Reformacji Seksualnej poważny i spokojny sobie człowiek ciężkiej fizycznej pracy, autor dziś już słynnego pamiętnika Jakób Wojciechowski z Wielkopolski.

Pytanie teraz, gdzie takiego gościa w stolicy zaprowadzić, co mu pokazać, czem jego pęd do wiedzy i światła nietylko wzmocnić, ale olśnić, jak wpłynąć na dalszy jego rozwój umysłowy? Gdzieby tedy wielkopolskiego robotnika powiedli wstecznicy, klerykali, gdzie Poznaniaka endecy (małomieszczanie i zacofańcy), gdzie socjaliści, gdzie wegetarjanie, gdzie Najpierwsza Brygada (i Agudasy) i gdzie wreszcie Reformacja Seksualna? Zastanowić się trzeba przez chwilę, gdzieby na ten przykład zataszczyli i z kim poznawali narodowcy jednego z poetów chłopskich n. p.: Więcka, albo Ferdynanda Kurasia, albo wreszcie takiego Franciszka Magrysia...

Tego ostatniego, to naprawdę godziłoby się uczcić specjalnie, sądząc po tej jednej dobrej nowinie, jaką się z „Kurjera Lwowskiego" zaczerpalo...

Także napisal „Pamiętnik“. Wydali go we Lwowie, z przedmową prof. Bujaka. Urodził się w r. 1846, a więc lat ma 85. Ale rzeźki, śmigly i jak rydz zdrowy. Sam się czytać nauczył. We wsi swojej Handzlówce (Łańcucki powiat), ongiś tkactwem się parał, potem gospodarzył jak mógł. Poczem kolejno założył i wybudował: szkołę, kółko rolnicze, mleczarnię udziałową, wreszcie kościół. Dużo w życiu przecierpiał. Wszyscy najdrożsi mu pomarli. Antyalkoholikiem całe życie był, co niech mu Chrystus wybaczy, który w Kanie Galilejskiej wino cudownie rozmnożył. Przez całe zaś życie Franciszek Magryś wiersze i... artykuły do pisemek ludowych wieśniaczych pisywał, zaczem kolega co się zowie, wreszcie w jesieni życia „Pamiętnik“ świeżo wydany. A jeżeli w Wojciechowskiego „Pamiętniku“ jest coś z wagabundy, z „wanderbursza“, z filuta i kostery, coś jednem słowem... Szekspirowskiego, coś z tych, co grają teatr amatorski w „Śnie Nocy Letniej“, to Magryś (sądząc po pierwszej wiadomości z „Lwowskiego Kurjera“) to raczej stateczność, powaga, włodarz, działacz, linja Bartosza Głowackiego, Borynowa potęga, Piastostwo, nadchodzący suwereni *dopo Mussolini* po dyktaturze *(ma subito!* jak dopisują Włosi dzisiaj na wszystkich tablicach ulicznych, gdzie stoi: *via Mussolini).*

Gdzież tedy normalne stołeczniki, społeczniki zaprowadziłyby, z jakimi środowiskami obznajomiły i czem się w stolicy pochlebiły, gdyby tu zaprosiły Więcka, Kurasia, no a przedewszystkiem Franciszka Magrysia z Handzlówki?

Swego bowiem Drzymałę, swego Wojciechowskiego zaprowadziłaby Reformacja Seksualna..., zgadnijcież wstecznicy! Gdzie?

Nie może, nie trafi się nic charakterystyczniejszego, nic coby lepiej zdemaskowało skretynienie moralne pewnych literackich „mankietniczków", niepoczytalność ich gestów i gustów, ich złe maniery i zły smak towarzyski no i wreszcie i arogancję tej utalentowanej mieszczucherji skroś schyłkowej, rasowo podejrzanej frankistoskiej i meteczej!

Przyjeżdża syn chłopski, robociarz, socjalnie nadał proleta, ale poważnego „Instytutu Socjalnego" laureat, ale nieugiętej mocy i chłopskiej i Wielkopolskiej niejako symbol. I oto „genjalna" Reformacji Seksualnej banda prowadzi Wojciechowskiego do... Bandy, do Oazy, do Adrji, na Dantona, na Villona! Ot i najautentyczniejsza „najistotniejsza" „Warszawka", nowa Warszawka... To miała do pokazania i sprezentowania chłopu wielkopolskiemu. Jeszcze mogła sprezentować go w ministerstwie oświaty hrabiemu Potockiemu z Pieczar i *l'abbé* Żongołłowiczowi z „Petersburka", a potem: jndancingi i girlaski i „Dantona" i „Villona" a potem „Perskie" czy „Morskie Oko". Gdyby egzystowała jeszcze „*rue de Bagage*", toby tam pojechała cała Reformacja Seksualna... dla studjów. Zapomnieli tylko mandolinistek z Płocka od archimandryty marjawickiego sprowadzić. Cygańskiego chóru nie było. Do Marcelina zadaleko i za kosztowne. Więc tylko „Oaza" i „Adrja" jako to co ma stolica Polski dla premianta „Instytutu Socjologicznego" najważniejszego!

I przez tydzień cały był Wojciechowski robociarz *en rouge*. Podawali go sobie z rąk do rąk jak rzadki okaz „Angory". Na wyścigi zapraszali na śniadania jak Kiepurę. Oglądali od stóp do głów, ściskali ręce i obmacywali bicepsy jak Irokeza lub Komancza markizy i vi-

comtowic... przed Bastylją. I bawili się jego zakłopotanym prymitywizmem, powiedzonkami naturalistycznemi i cytatami z... Manon Lescaut i z Fourberies de Scapin... W szał radości ich wprawiał, że już się nauczył coś z Lindseya i coś z Russella. Wiankiem niezgrabnego, kanciastego ale „jakże zabawnego" (z tem melanżem wielkopolszczyzny i „paryzjanizmu") otoczyły starszejsze Bachantki i spłowiałe Amazonki bojujących o jeszcze dalsze reformy i deformy piór gęsich. Tej i tamtej już się zaczęło „zwidywać", że jest hrabiną Idalją, czy Salomeą... a on „Kozakiem", co ją może porwie na „mocarny" grzbiet i da poznać gdzieś wreszcie niebywałe dreszcze i sensacje... Ten znów literata przypomniał sobie przy okazji... „Szwejka" a tamten nawet... „Rasputina". Dla nadania powagi „wiedzowej" recepcjom i owacjom były też i jakieś „docenty", pożal się Boże... warszawskie..., partyjnicy „Reformacji Seksualnej"...

Można sobie teraz wyimaginować z jakiem pojęciem, z jaką koncepcją „Warszawy", wracał do swego Barcina z tej Grand Mykwy Wojciechowski Jakób. o ile go jeszcze nie zdołali do szpiku zdeprawować, wydzielinami swojej mętalności zainfekować, swoją awersją do polskiej Wandeji przepoić. Ci sami Paryżanie Wielkopolan bowiem nienawidzą. Nauczył ich tego (o ile Judosłowian jeszcze uczyć czego potrzebował), Kraków, Kraków N. K. Enu., „Czas", Zielonego Balonika, I-K-A. C. A., Urbana (od urbs — miasto).

Jak też teraz będzie się czuł w Barcinie, w szarym Barcinie dotychczas tam szczęśliwie sobie bytujący pan Kuba? Jakże, z góry będzie musiał patrzeć na „zacofanego" proboszcza taki co poznał tyłu fordencerów Reformacji Seksualnej? Wiezie ze sobą kufer ze setką de-

dykacyj na książkach od najsławniejszych krajowych celebrymarzy i jeszcze ostatnie resztki katzenjameru. Jakże mu się brzydki, prozaiczny, purytański wyda teraz po „Oazach" i „Adriach" ten Poznań, który Wojciechowski dawniej tak kochał? Tu się na nim poznali, ale w Warszawie jeszcze więcej chyba, bo go omal na rękach nosili byle tylko do Zboru przystąpił! A jak to się galantnie dla niego wydekoltowały Freudystki warszawskie (od strony pleców) i Einstejnistki i Steinachówki! Gdzie to takie w Barcinie możnaby zobaczyć? Chybaby do Berlina trzeba by znów jechać, do Admiralspalastu, do gełdziarskich pałaców przy Kurfürstendam... No i co się to tak martwić i gryźć tymi takimi Hitlerowcami i tem że fabrykí gazów trujących pracują teraz w dzień i w nocy! Co się tam żołądkować i defetyszyć (jako te żółciowe Endeki strachajły ględzą), skoro w jaśnie oświetlonej Warszawce są takie „Adrje" i takie „Oazy" i tak można na obiadkach przy damach sobie mówić wciąż o ciąży i przerywaniu, i już przy zupie o tem i o *ovum* i hormonach i różnych venerjach paniedziejski a potem zboczyć nieco w konwersacji do różnych zboczeń erotycznych...

Otóż tak nie jest *citoyen* Wojciechowski! Źleście poprostu wpadli i niepotrzebnie i pod fałszywym adresem. Za to żeście w Waszym „Pamiętniku" poświęcili nieco więcej miejsca zwierzeniom jak to mówią zwierzęcym. żeście dali tam i wspomnienia erotyczne grubo zresztą i niezbyt wonnie malowane, to Was Wojciechowski zaraz Reformacja Seksualna wzięła za swego człowieka i pod swój patronat zagarnęła w nadziei, że ich nadal będziecie bawili świństwami i podrażniali ich zmachaną zanikającą *libido sexualis*. Źleście trafili Wojciechowski.

To nie była prawdziwa Warszawa! To była Warszawka! Takasama Warszawka jak ten Berlin z przed Marca r. 1933, opisany i uwieczniony tak świetnie w powieści o „Fabianie", takasama jak ten New-York w powieści Bromfielda: „Dwadzieścia Cztery Godziny".

Przyjedźcie Wojciechowski jeszcze raz, ale do Warszawy!

ZBRODNIA SENNORY RODRIGUEZ.

W maju skazano w Paryżu na śmierć przez powieszenie francuską hrabinę, która zamordowała swego męża Araba; wyrok o świcie wykonano.

W lipcu skazano w Madrycie na śmierć przez rozstrzelanie generala Jose Cavalcante za spisek monarchiczny z sierpnia r. 1932.

W czerwcu w tym samym Madrycie literatka Aurora Rodriguez zastrzeliła swą córkę jedynaczkę, zastrzelila we śnie, śpiącą. Niewiele o tej zbrodni czytalo się w prasie europejskiej a nic kompletnie w prasie naszej. Nie napisala do swoich kurjerów nic o tak drastycznej aferze korespondentka Zofja Kramsztyk. Fetowani przez madrycki „Patronato Nacional de Turismo" przygodni wojażerzy też jakoś ani słówkiem nie pisnęli o tak skróś „literackiej" tragedji, no a przecież nie na to zapraszają dzisiaj w imieniu swych rozmaitych partackich rządów rozmaite „patronaty" do rozmaitych źle rządzonych, zbulweryzowanych, zwulkanizowanych krajów i kraików, aby potem albo nic albo skąpe o nich laurki wypisywać. Nie zainteresowaly się też straszliwą zbrodnią literatki hiszpańskiej te literatki polskie, które właśnie przepiękną Hiszpanję wybrały sobie jako teren swych nowych utworów, to jest panie Anna Kowalska (we Lwowie) i Aurelja Wyleżyńska, autorka „Z duszą Twoją na ramieniu" *(sic!)*.

A tymczasem zbrodnia hiszpańskiej pisarki zasługuje chyba specjalnie na... dostrzeżenie i... wyróżnienie. Nie sposób też, aby turyści obwożeni przez madrycki „Patronato“ nie o tej aferze nie wiedzieli. Madryt ma wyjątkowo wspaniały pałac-klub dla dziennikarzy z gościnnym hotelem, który powstał fundowany przez miljonera Echevariettę, ale z inicjatywy publicysty Jose Francos Rodrigueza. Takiesame nazwisko nosi osławiona zbrodniarka; nie jest możliwe, aby wyczyn dzieciobójczyni zatajono przed gromadą reporterów obstalowanych we wszystkich krajach europejskich, celem wybielania przed światem zabrudzonej bratobójczą wojną domową republiki „de trabajadores“...

Otóż tajemnica zakonspirowanego zamilczenia tkwi w tem, że wiedźma, która zamordowała we śnie rodzoną córkę należy do obozu dziś „rządzącego“ Hiszpanją. Tylko dzięki aferom i awanturom niemieckim, na które udało się czynnikom poszkodowanym skoncentrować uwagę całego świata, te potworności i ohydy, które dzieją się w Hiszpanji pozostają w cieniu i nie wywołują oburzenia w opinji publicznej. Jak atoli „rozbudowują“ republikę Iberyjską jej dzisiejsi okupanci, jak tam rządzi ta mafja masońska, do jakiego stanu doprowadziła kraj, który nawet za dyktatury może dziś uchodzić za El Dorado, o tem świadczyć mogą choćby telegramy ostatnich dni lipca, roku 1933:

Według nadeszłych informacyj z Madrytu, sytuacja społeczna i polityczna w Hiszpanji „uległa komplikacjom“. W związku ze zwołanym wielkim wiecem właścicieli ziemskich do Salamanki, generalny związek robotników prowincji Estramadura ogłosił strajk powszechny. W mieście doszło do strzelaniny między robotnikami

a stronnikami właścicieli ziemskich. W Bilbao wykryto spisek, mający na celu podpalenie starożytnej katedry. W Madrycie w zastraszający sposób rozwija się bandytyzm. Akty teroru zanotowano w Barcelonie i Sevilli. Udział w rządzie stronnictwa. komplikuje jeszcze upór socjalistów, którzy nic nie chcą ustąpić ze zdobyczy socjalnych, zbyt obciążających budżet państwa.

Według doniesień z Madrytu, w niektórych częściach Hiszpanji doszło ponownie do krwawych rozruchów. W ostatnich dniach mnożą się ponownie wypadki podpalania kościołów. W Barcelonie doszło do starć między socjalistami a anarchistami, przyczem jeden z przywódców socjalistycznych został zabity. W Santa Maria wybuchł bunt więźniów spowodowany zastrzeleniem jednego z więźniów, usiłującego zbiec. Zrewoltowani więźniowie byli przez kilka godzin panami położenia i zdemolowali całkowicie więzienie...

I tak dzień w dzień, tydzień w tydzień, miesiąc w miesiąc z małemi przerwami już zaczyna się trzeci rok permanentna rewolucja, *bellum omnium contra omnes* a *homo homini lupus*, ohydne widowisko ciągłych bratobójczych rzezi, mordowań, podpalań, wysadzań, strajków chłopskich. Ostatnio anarchja przerzuciła się już i na wyspy Kanaryjskie, na Tenerifę (Santa Cruz), a w Madrycie pod rządami lichego ongiś literata Azany całkiem jak w Chicago uzbrojeni gangsterzy w biały dzień w południe napadają bandami na banki i wywożą kasy. Nieszczęsnym krajem zadłużonym straszliwie, gospodarczo rujnowanym, wyczerpanym i krwawiącym ze wszystkich ran gubernuje i dyryguje awanturnicza trupa czy kompanja radykalnych socjalistycznych niedouków, esperymentatorów, kawiarnianych statystów, notorycz-

nych alkoholików i morfinistów (sic!), obcesjonalnie opętanych tylko jedną *folie*, jedną furją prostackiej nienawiści do kleru i duchowieństwa.

Jak Catylina nienawidził Cycerona tak ci ludzie z przedmieść, ministrowie wychowani w bodegach, synowie wołopasów, bastardzi grandów, potomkowie marranosów zioną tępą i zoologiczną nienawiścią do każdego padre, do każdego fratre. Argumentacja knajpiana przy taniem winie nie przychodzi im zbyt trudno, gdyż przewiny kleru, a przedewszystkiem jego pasywność, ospałość trafiały się i tutaj dość nagminnie. Pyskacze więc tematów wiecowych, a skryby wymyślań i psioczeń do artykułów miały sporo. Powywlekali więc co mogli i każdą kość niezgody z zapałem wyglodzonych kundli obgryzali do cna.

Mając w kortezach większość arytmetyczną przeprowadzili co im się tylko żywnie zachciało, przedrzeźniając Bismarkowski „Kulturkampf" i reformy Combesa, przyczem temu wydawało się, że jest hiszpańskim Gambettą, tamtemu, że Luzattim! Oddzielili kościół od państwa, przeprowadzili skopjowaną ustawę o kongregacjach, skonfiskowali liche zresztą majątki tylu a tylu biskupstw i klasztorów, zlikwidowali wyższe i średnie szkolnictwo, wzięli na własność państwa kościoły i kaplice, odebrali dobra książąt Alby, a zostawili dobra spadkobiercom księcia Wellingtona (Anglja kazała). Na miejsce szkół duchownych i klasztornych wprowadzili koedukację, uświadamianie płciowe małoletnich, reformy Wiktorji Kent i wędrujące po wsiach kina donny Zuluetty, „ostatni krzyk" nowej pedagogji. Nadto jakby dla usymbolizowania bałaganu sprowadzili z odczytami Aleksandra Kiereńskiego, potem Vanderveldego

(Lala Speyer) wreszcie 60 reporterów z Europy, aby rezultaty dekatolizacji i laicyzacji rewanżując się za Porto i Xeres wychwalali.

I otóż właśnie podczas tej wizyty dziennikarskiej *(Patronato de Turismo)* zamordowala sennora Rodriguez swoją śpiącą 19-letnią córkę. Zamordowala ją za to, że młodziutkie dziewczę, które pod pseudonimem „Hildegarda" już pisywało do dzienników wolnomyślicielskich i komunizanckich, nagle zakochalo się w katoliku wierzącym. Pod jego wpływem „Hildegarda" zerwala z rządzącą mafją masońską i przeszla do katowanej opozycji katolickiej. Za to „nawrócenie", za to przejście do hiszpańskich „liszeńców" (endeków) starzejąca się megera zamordowala w nocy śpiącą swą jedynaczkę! omal dziecko!

Aby móc jako tako zdać sobie sprawę z możliwości jakichś psychologicznych pobudek tej odrażającej zbrodni, trzeba przedewszystkiem zwrócić uwagę na ten panujący dziś w Hiszpanji stan ogólnego podrażnienia, rozjudzenia i zajątrzenia bezecnej walki religijnej. Winowajcą tej psychozy sadystycznej jest omal wyłącznie prasa i to przeważnie brukowa, która niespodziewanie znalazla się w jakichś tajemniczych rękach i do której przedostali się jacyś tajemniczy „spaniole" emigranci z Paryża i ze Salonik...

Jej haslem: Heil Lenin! doloj burżuazja!

Największą przeszkodą w sowictyzacji Hiszpanji: katolicyzm i duchowieństwo.

Widząc już teraz dokladnie, jak to Hiszpanja stacza się w przepaść, umiarkowanie postępowe elementy spoleczne, przeszly na calej linji do opozycji. Nadto zaś mamy tam do zanotowania caly szereg jaskrawych

i ostentacyjnych nawróceń. Pogodził się z kościołem jeden z wodzów socjalistycznych, przez całe życie zajadły wróg katolicyzmu, Alfonzo Gonrales z Granadine. Generał-gubernator Biscayi Ambia, który sam pozamykał kilkanaście klasztorów i kościołów, uległszy cięższemu wypadkowi samochodowemu na łożu boleści też się pogodził z klechami. I nigdy jeszcze podczas Świąt Wielkanocnych i Bożego Ciała stare katedry i kościoły nie były tak pełne i to inteligencji, demonstrującej katolicyzm inteligencji, jak teraz, kiedy w odpowiedzi na bezceństwa ochłokratów, kiereńszczyków i marranosów Papież rzucił na rząd tamtejszy ekskomunikę.

Te wszystkie względy musiały też działać na chory mózg histeryczki, i grafomanki Aurory Rodriguez. I to całe piekło w które pośrednio wtrąciła Hiszpanję zbyt długo przetrzymywana dyktatura, pchnęła ją do jednej z najohydniejszych zbrodni, jakie notuje kronika ludzkości.

W jesieni morderczyni stanie przed Trybunałem. Wtedy się przekonamy, czy są jeszcze sędziowie w Hiszpanji.

Dotychczas nie stanęła. Jest Grudzień.

LA FEMME IN NAZI-LAND.

Ludność Bołszewji dnia 1 stycznia r. 1932 wynosiła cyfrę 166,165.700. W porównaniu z poprzednim spisem ludności z dnia 1 stycznia r. 1926 ludność Bolszewji wzrosła o 16 miljonów 134 tysiące. Wzrost tej cyfry stoi w związku z faktem maxymalnej mnożności narodów zamieszkujących europejską część Związku Republik Radzieckich. Ten najwyższy przyrost przedstawia się w cyfrach: na 1000 rodzi się 427, umiera 21. Jest to największy przyrost na całej kuli ziemskiej (21.7% promille). Nie ulega zatem kwestji, że liczba ludności w Sowietach przekroczyła dziś cyfrę 170 miljonów.

W ostatnim numerze naszych „Wiadomości Statystycznych" (nr. 11), dane za czwarty kwartał r. 1932 o naszym ruchu naturalnym ludnościowym są już wprost groźne.

Wbrew stałym, uporczywym, ignoranckim optymistycznym, sugestjom prasy stołecznej i prowincjonalnej, Polska weszła już w krąg narodów wymierających. Jest do skonstatowania nagły, niespodziewany fatalny spadek urodzin i fatalny spadek przyrostu.

W r. 1925 przyrost naturalny wynosił 18 (pro mille) przy 17 zgonach, a 35 urodzeniach.

W r. 1932 przy 15 zgonach jest już tylko 29 urodzin a przyrost naturalny wynosi 14.

Dodajmy tu do tej nieprzyjemnej rewelacji z „Wiadomości Statystycznych“ (nr. 11) i to jeszcze że tę nawet skromną cyfrę przyrostu naturalnego (14) zawdzięczamy głównie wschodnim połaciom kraju, gdyż w zachodnich województwach oraz w miastach wielkich (Warszawa, Łódź, Poznań, Kraków), cyfra urodzin jest znacznie mniejsza. To, z czego dotąd byliśmy dumni, to jest renomę wyjątkowej rozrodczości zawdzięczamy głównie naszym mniejszościom wschodnim, to jest Białorusinom, Rusinom (Ukraińcom), Litwinom i Żydom. Rdzenna polska ludność pod względem spadania cyfry urodzin zbliża się już do opłakanego stanu reszty zachodniej Europy. Jest to bardzo ważny problem, którym teraz będą musiały się zająć nasze sfery miarodajne i nasza opinja publiczna.

Imponujący, ale i niepokojący przybór ludności w Sowietach przypisywać należy w pierwszym rzędzie oczywiście świeżości i młodszości rasy wschodnich Słowian, ale już w drugim rzędzie racjonalnemu unormowaniu całego życia sexualnego wbrew wszelkim legendom, jakie przetrwały jeszcze z pierwszych lat rewolucji sowieckiej, kiedy anarchja płciowa i eksperymenty z małżeństwem i rodziną święciły dosłowne orgje. Z tych czasów rozpasania i rozwiązłości pozostały już tylko anegdoty i opowieści w literackich utworach zmagazynowane. Już sam Lenin występował najostrzej przeciw wszelkiemu „ułatwionemu życiu“, reformacji sexualnej i „rozwodnieniu“ małżeństwa. Od roku 1926 datuje się wogóle powrót do normalnej struktury życia rodzinnego. Prostytucja została wogóle zdławiona i zgnieciona. Handlu żywym towarem, który tak straszliwie rozrósł się u nas obecnie niema wogóle ani śladu. Pogląd na

kobietę, jako na „szklankę wody“ i objekt funkcji fizjologicznej nie istnieje. Cywilne małżeństwo zawarte w Z. A. S. S. może potem legalnie być podparte ślubem w cerkwi, gdzie także chrzcić można dzieci. Rozwód dozwolony tylko po trzech latach pożycia małżeńskiego. Alimenta autorowi dziecka odtrąca się z pensji i z zarobków. Sztuczne poronienie dozwolone w pierwszych trzech miesiącach tylko za oficjalnem pozwoleniem lekarza — a wogóle obostrzenia bardzo liczne i bardzo ścisłe.

Jedna z radykalnych warszawskich Walkiryj otrzymała przygodnie materjał informacyjno-agitacyjny tyczący się rzekomo „kolosalnego“ rozrostu i rozwoju teatrów dla dzieci i młodzieży w Republice Rad, a więc jakieś wydawnictwa, albumy, ilustracje, programy, agitodruki z Narkomprosu i z sowieckiego „Państwowego Instytutu dramatyczno-muzycznego“. Co z tego wkrótce nie wyszło? Poprostu pean! Ogorzałość od... miesiąca, Ameryka odkryta... *lux ex Oriente*... olśnienie!... no i zaraz reprymendy zacofanemu „narodowi“: Uczyć nam się! Naśladować! Wstyd, że my tego nie mamy! Od jesieni trzeba to wszystko pokopjować! Tam cywilizacja! Tam kultura! Tam przyszłość!

W Warszawie pono teraz *hausse* na różnych Chenkinów. Z utalentowanie wyjącego Litwaka zrobili jakiegoś Charlie Chaplina i Carusa równocześnie. W teatrach kicze sowieckie jeden po drugim. Aparatczyki nadwiślańskie zaczynają się nastawiać „światopoglądowo“ na kurs prosowiecki. Ich damy także. *All-right*. Ale poco zaraz tłuc i łamać meble jak mówi rosyjskie przysłowie. Poco zaraz o kilka oktaw wyżej, jak *par exemple* te panie z expressiaków i porranniaków: Krahelska, Szy-

manowska, Kuszelewska, a ostatnio pani Strzelecka. Już gotowe paniusie *(precieuses radicales)* zaaranżować nam w przyszłym sczonie ciężką piłę z fanatyczną propagandą wszystkiego, co sowieckie, jeżeli się temu profilaktycznie nie zapobiegnie i dam piszących z ich ekstazami (menopauza) zgóry na miejscu nie osadzi, nie zgasi i do porządeczku nie wezwie.

Pani Strzeleckiej okropnie się spodobało w Sowietach tamtejsze teatralne podejście (sic) do dziecka i młodzieży. Jest już 45 teatrów ruchomych, objazdowych w centrach i na rubieżach, a będzie ich wnet 450 poczem 4.500 a za pięć lat 45.000 (w cyfrach Narkompros nie oszczędza). Okropnie się pani Strzeleckiej spodobała „Szeherezada" dla dzieci i Artystyczny Balet dla dzieci i ich recenzje, listy, krytyki i wogóle całe sowieckie „ podejście do dziecka". Czy przedtem przeczytała w tej dziedzinie ważne dzieło Eugenjusza Devaud: „*La Pedagogie scolaire en Russie Sovietique*" należy wątpić. Ale obrazków i ilustracyj przeglądnęła w nadesłanej jej „olbrzymiej (kolossal) literaturze", jak pisze, bardzo dużo. Ale co dużo to za mało. Teatr był zawsze i po wszystkie czasy sztuką, stojącą u Rosjan („Moskali") na najwyższym stopniu doskonałości. W Moskwie dzisiejszej jest nawet „Teatr dla głuchoniemych". Dzieci w różnym wicku mają też istotnie swoje teatry, swoich autorów, swoje sztuki i ułatwiony dostęp do emocyj artystycznych. Bardzo ważne to i bardzo potrzebne. Tylko że czasem dzieci, uczęszczające do tych teatrów, potem, wróciwszy do domu, nie mają co jeść i często marzną i często nie mają w co się ubrać i... i gołe, z wycieńczenia masowo tu i ówdzie wymierają.

„Szeherezada" w teatrzykach dla progenitury apa-

ratezyków (i jewrejów) może być widowiskiem śliez- nem, a oświecanie artystyezne na tak wielką skalę czemś olśniewającem kulturalnych prymitywów i debiutantów z nad Wisły, ale przedtem jednak lepiejby tam było do... oświetlenia fabrykować... lepsze... lampy... naftowe. Dlaezego? Bo *rebionki*, *komsomałczyki* po Szecherezadzie wracają do *kwatir* domowych do *żytploszczadi* i co tam zastają?

Felietonista-satyryk z „Prawdy" (Koleow) pisze:

„W fabryce „Metallampa" wyrabiają naftowe lampy, których inaczej jak „potworami" nazwać nie można. „Potwór" jeszcze nie zaczął pracować, a już wstrętny płyn rozlewa się po jego bokach. Naezynic jest podziurawione. W drugiej minucie po zapaleniu knota potwór wydaje chmury duszącego dymu, pokrywa się tłustą sadzą i rozpala się do czerwoności. Chcecie postawić śmierdzące to stworzenie za okno, aby nie zepsuło wam resztki czystego powietrza w pokoju. Ale jak potwora przenieść? Lampa nie posiada ucha. Dlaczego naftowe lampy fabryki „Metallampa" nie mają uszu? — Znieśli je w interesie raejonalizaeji".

I Koleow poucza:

„Ostatni już czas, aby w szesnastym roku rewolucji fabryki potrafiły wyrabiać dobre rondle, łopaty nadające się do praey i szczotki do zębów"...

Ot i co pani Strzeleeka! najpierw: dobre łopaty! dobre rondle! szezotki do zębów! To najpierw, z tem najpierw „podejście do dzieeka", a potem dopiero „podejście" z... Szecherezadą"... względnie z... „Gretehen". Najpierw kaszka „Herculo" i płatki owsiane *(Quaker Oats)*, a potem dopiero... kawior. Najpierw normalne lampy naftowe dla tych poczwarnych, ohydnych, za-

śmierdlych „*kwatir*", nor, cel, jaskiń, gdzie pięć osób śpi na jednem łóżku, a potem dopiero „efekty świetlne" w haremach Szecherezady (dla dzieci!), to lepsze podejście do dziecięcia. No, a przedewszystkiem podejście do dzieci bez papierosów w ząbkach! O Walkirje!

A tego właśnie uczą ludzkość dzisiejsze Włochy i od pól roku dzisiejsze Niemcy ale nie Sowiety.

Bardzo wyczerpujących szczegółów o stanowisku kobiety w Sowietach można wywiedzieć się w dwóch poważnych publikacjach niemieckich zasługujących na polecanie t. j. Famina W. Halle: „*Die Frau im Sowietrussland*" (Paul Zsolnay-Verlag) bogato ilustrowane (drogie!) oraz „*Das Eherecht im Sowietrussland*" dr. Grigory Solowicjczyk (Hans-Busch-Verlag, Leipzig). Sądząc zaś z różnych recenzyj uzupełniających niejako obrazem żywota i sytuacji niewiasty w Sowietach byłaby książka znanej angielskiej dziennikarki Elli Winter („Lincoln Steffens") o „Czerwonej Cnocie" w Sowietach. To zaś o czem informują dwie książki niemieckie, to w jednym lapidarnym ustępie niejako streszcza nasz świetny podróżnik i narrator p. A. Janta Połczyński, pisząc (str. 163) co następuje.

„Niech nikt sobie nie wyobraża, że kobiety w Sowietach są latwe i że miłość chodzi po ulicach tylko rękę wyciągnąć jak u nas. Poziom moralności jest tu naogół wysoki... Podniesienie poziomu moralności uważamy za zupełnie konkretne osiągnięcie we współczesnem życiu Sowietów, sięga głębiej i dalej niż zniesienie prostytucji. Nie wiem jak tam starsi ale młodzież, którą spotykałem, traktuje te sprawy prawie surowo a w każdym razie bardzo poważnie".

Jakby na potwierdzenie tych rewelacyj Janty Pol-

czyńskiego w ostatnich miesiącach „Liga Młodych" w swej „Komsomolskiej Prawdzie" wydrukowała odezwę omal że skrajnie purytańską:

„Komunizm potępia stanowczo nieuporządkowane życie seksualne, poza małżeństwem... Jedynem rozwiązaniem problemu seksualnego jest ścisły i trwały związek małżeński, oparty na miłości, a wynikły z przyjaznego obcowania, harmonji duchowej oraz wzajemnego pociągu i zainteresowania".

Widzimy więc z tego, jak olbrzymie zmiany zaszły od czasów, kiedy doskonały powieściopisarz sowiecki Borys Pilniak (nawiasem mówiąc pochodzenia niemieckiego, nazwisko Gronau) wyszydzał bez pardonu bałagan sexualnych ustosunkowań i rozpasań reformackich, kiedy to i styl wyzwoleniu płciowemu kobiety rosyjskiej nadawały szykowne strojnisie, komisarskie towarzyszki Kołłątajowa i Łunaczarska.

Teraz ideał kobiety w Sowietach jest całkiem inny. Dla jednych będzie nim nieustraszona pilotka Wołkowa, dla innych ta, co wzięła udział w ciężkich podróżach podbiegunowych na łamaczach lodów... Jeszcze dla innych, dla całkiem innych ta nieustraszona żona komisarza Bubnowa Abrikosówna co pod nieobecność męża poszła ochrzcić dziecko dygnitarskie w cerkwi, a dla której mąż zawezwany przez Centralny Komitet Partji do natychmiastowego rozwodu, odpowiedziawszy: nie! poszedł do dymisji, w odstawkę.... w niełaskę... Najciekawszą atoli kobietą dzisiejszych Sowietów jest zdaje się nie pilotka Wołkowa a pisarka Wojnowa. Jednem dziełem jedną powieścią odrazu wybiła się na pierwsze miejsce. Nie jest tych literatek w Sowietach tak wiele, jak u nas, ale piszących mężczyzn legjon, ty-

siąc, a jednak wszystkich zakasowala A. J. Wojnowa. I jak Wolkowa wśród pilotów, tak Wojnowa wśród pisarzy rekord osiągnęła najwyższy. Ani Seifulina ani Olga Forszt czy Marutta Saginian nawet się z Wojnową mierzyć nie mogą, a koledzy po piórze muszą „ruki pa szwam“ trzymać. „Powieść“ jej szczęśliwym trafem też już można czytać po niemiecku w nakładzie Paul List-Verlag, Lipsk, w tłumaczeniu Grocnera, gruby tom omal 600 stron.

Jest to sowiecki Podfilipski. Żywot, myśli, zasady, metody życiowe przeciętnego wzorowego aparatczyka, karjerowicza, obrzydliwca, ale popisowego, modelowanego. Satyra w formie autoapologji. W Sowietach najpierw puszczono wolno te „Fałszywe klejnoty“, nie dopatrzywszy się, nie wywąchawszy żadnej niebłagonadiczności. Obaj szpicle literaccy Awerbach i Litwaków już dawno zostali zlikwidowani. Inne „głowotiapy“ z cenzury nie poznały się na ironji i sarkazmie. I dopiero kiedy satyryczna spowiedź łajdaczyny Mieszkowa zaczęła zyskiwać olbrzymie powodzenie, wreszcie ją capnięto, skonfiskowano, a autorka wolała na jakiś czas opuścić imperium Kaganowicza i Kalmanowicza.

Na Sowiety jest to satyra dotychczas najtęższa i najbardziej... męska. W prostej to linji spadkobierczyni, wnuczka Sałtykowa-Szczedryna, Kryłowa, Gogola, Gribojedowa, Ostrowskiego, Sołłoguba; Awerczenko czy Zoszczenko przy Wojnowie prosto: bawidamki. Nasze wpatrzone w lux ex Oriente piszące panie koniecznie jak z Sołowiejczykiem tak z drugiej strony i z Mieszkowem Wojnowej coprędzej zapoznać się powinny. Nasze aparatczyki też w tem sowieckiem zwierciadle coprędzej przeglądnąćby się mogły...

Skąd zasię taka w pisarce wewnętrzna na Sowiety pasja głęboka a zatajona, skoro kobiety w Sowietach jednak na wyższy gradus żywota tam postawione?

Oto na pytanie... odpowiedź, może powierzchowna, nietrafna, taka ot sobie hypoteza figlarna!

O materjały na suknie w Sowietach trudno i skweres i rarytas. Na kartki 10 metrów na osobę wydają. Przeglądy mody sowieckiej (sic) już i urządzają się ale co to za desenie na manekinach (sic), pożal się Boże! Wełniane bluzki, a na nich samochody ciężarowe, maszyny, traktory nadrukowano!... Albo znowu cały materjał na suknie w cyfry z postępu i sukcesów piatiletki (sic)! Albo materjał wełniany z mapami (sic), konflikt japońsko-chiński (sic).

W tym sezonie, w takich deseniach musiały paradować i podobać się towarzyszom młode kobiety nietylko z dziur prowincjonalnych.

Cóż więc dziwnego, że najostrzejszą dotychczas satyrę na Sowiety, w tyle zostawiając Bułhakowych i Afinogenowych napisała kobieta.

A jak to Eldorado dla pani Strzeleckiej wygląda w oczach innej kobiety, która zna Sowiety *ex autopsia?:*

„Towarzyszu Jagoda, stoicie na czele G. P. U., a więc organizacji, która sprawuje faktyczną władzę w Sowietach. Jesteście nieubłagani dla niesubordynacji we własnych urzędach. Wasz kolega, towarzysz Bojar, naczelnik obozu koncentracyjnego w Kemy, oświadczył, iż stosowane są przez was na miejscu 2 metody celem utrzymania dyscypliny: zmniejszenie racyj żywnościowych dla internowanych i... RA-TA-TA, czyli kula w tył głowy. Lepiej też od każdego innego wiecie o tem, ja-

kie jest prawdziwe położenie zarówno wolnych obywatcli Z. S. R. R., jak nieszczęsnych więźniów".

Tak się zaczynał list otwarty towarzyszki dziennikarki miss Rhea G. Clyman, drukowany z końcem lutego r. b. (1933) w londyńskim „Daily Express".

Jagoda!... idylliczne nazwisko, jak się okazuje niezbyt idylliczna figura. Mało o niej relacjonujc do Warszawy korespondent „Gazety Polskiej" p. Otmar. choć temat jednak bardzo ciekawy...

Miał swego czasu nastać kurs libcralniejszy także i w G. P. U. i „linja" bardziej humanitarna. Dużo wtedy mówiono o kandydaturze na szcfa byłego komisarza oświaty. Był Bubnow od oświaty, potem szefem P. U. R. Bardzo ważnc dostojeństwo: „Politiczeskoje Uprawlcnjc Rewwojen Sowietów". Czem G. P. U. dla cywilów, dla rządzonych (ziemszczyzny), tem P. U. R. dla armji. Dużą popularnością się cieszył, godny człowiek Bubnow, urodzony Wielkorus, i już... już miał stanąć na czele G. P. U. Tymczasem incydent z prywatnego i domowego życia. Wyjeżdża gdzieś daleko od Moskwy. Przcz ten czas żona, Abrikosówna z domu (znana przed wojną kupiecka familja) bierzc synka do cerkwi i chrzci golubczyka po staremu, ale tajnie.

Jewreje wywęszyły. Robi się bolszoj skandal. Telefony w ruchu. Taki dygnitarz! taka szyszka! taka licznost! synczka chrzcić w cerkwi? zgorszenie!!!

Bubnow wraca. Wezwanie na Kreml. Posiedzenie Centralnego Komitetu Kontroli Partyjnej (coś w guście permanentnego Trybunału Honorowego). Werdykt: macie się Bubnow rozwieść! A na to szef Pura: Nie.

Skandał. Po stronie Bubnowa staje premjer Skria-

bin (Molotow), toże szyszka. Wobec tego tylko: nagana. Ale o szefostwie G. P. U. już ani mowy.

A że to było za czasów „królowej Ester", więc wnet kierownikiem P. U. R. zostaje towariszcz Gamarnik (wyznania M.), a na czele G. P. U. nadal trwa towariszcz Jagoda (wyznania M.).

Dalszy ciąg listu miss Rhea G. Clyman:

„Przez was został podpisany rozkaz o mojem wydaleniu i aresztowaniu, które nastąpiło w Tyflisie. Jako pobudkę tej represji, oświadczyliście oficjalnie, iż rozmyślnie podałam znacznie większą cyfrę aresztowanych więźniów w Z. S. R. R., malując w czarnych barwach warunki ich życia. Takie oskarżenie może fatalnie odbić się na mojej karjerze dziennikarskiej. Dziennikarzowi cudzoziemskiemu przebywającemu w kraju, którego języka nie zna, można byłoby wybaczyć niedokładność informacyj. Nie może to wszakże dotyczyć mnie — znam bowiem doskonale język rosyjski i 4 lata spędziłam w Rosji Sowieckiej. Niech więc sądzą moje przewinienia czytelnicy „Daily Express".

Czy możecie zaprzeczyć „Towarzyszu" Jagoda, temu, iż na Niedźwiedziej Górze w Kemi, znajduje się na robotach przymusowych 20.000 aresztowanych, przeważnie inteligentów, inżynierów, adwokatów, lekarzy, profesorów, księży i t. d.?"

Czy słyszycie co mówi miss Rhea G. Clyman, Europejczycy, zaczytani w dziennikach wrzeszczących przeraźliwie o... o wszystkiem, tylko... tylko nie o tem, co się dzieje w Sowietach?

„W ciągu letnich miesięcy, zajęci byli kopaniem olbrzymich rowów, na jesieni i zimą pracują w lasach, w odległości 200 km. na północ od Leningradu. Żadnej

płacy za swą pracę nie otrzymują. Powinni otrzymywać racje żywnościowe, a przecież niedawno wydał pan rozkaz rozstrzelania 8-miu własnych urzędników za potajemną sprzedaż żywności, przeznaczonej dla aresztowanych".

Czy o tem wie Genewa? Czy tem się interesuje Liga Narodów?

„A może nieprawdą jest „Towarzyszu" Jagoda, iż zimą 1929 roku przesiedlił pan przymusowo z południowej Ukrainy do Tundr Syberyjskich, gdzie niema ani pożywienia, ani dachu nad głową 3.500 rodzin „kułackich" czyli tych włościan, którzy nie chcieli wstąpić do Kolhozów? Może nieprawdą jest, iż w ciągu 2 miesięcy 1 i pół tys. ludzi zmarło tam na tyfus? Może nieprawdą jest, iż wszystkie nowe miasta w Sowieckiej Rosji budowane są przy pomocy bezpłatnej i przymusowej pracy, że cała polityka likwidacji „Kułaków" była ściśle wypracowaną metodą zdobycia bezpłatnej siły roboczej?".

Czy o tem wszystkiem doszły wiadomości do „Ligi Obrony Człowieka i Obywatela?".

„Czyż nie prawdą, iż robotnicy w Iwanowo-Woznieseńsku rozpoczęli strajk na znak protestu za wykreślenie z list żywnościowych kobiet i dzieci? Czy nie jest prawdą, że wysłane dla uśmierzenia rozruchów oddziały czerwonej armji odmówiły posłuszeństwa i przeszły na stronę głodujących robotników?

Czy będzie miał pan odwagę zaprzeczyć, „Towarzyszu" Jagoda, że w rejonach przemysłowych najcięższej pracujący robotnicy otrzymują tylko kartofle i czarny chleb, że mięso i tłuszcze wydaje się tylko w kooperatywach G. P. U.?" Zapytuje miss Rhea G. Clyman.

Czy o tem wszystkiem doszla wiadomość do takich „przyjaciół ludzkości jak Francesco Nitti, jak sen. Borah, jak mecenas Torres w Paryżu, jak Romain Rolland, André Gide, Dreiser, Shaw, Einstein, Toller?

„Czyż nie jest prawdą, że na wasz osobisty rozkaz aresztuje się starców i kobiety, trzyma się miesiącami w więzieniu, żądając oddania zachowanych resztek jakiejś biżuterji lub waluty? Czy nie jest prawdą, że nietylko każdy cudzoziemiec, ale nawet najwybitniejsi dygnitarze sowieccy pozostają pod tajną inwigilacją G. P. U.? i t. d....".

Tak pisała w „Daily Expressie" w otwartym liście do Jagody miss Rhea Clyman. Tak tedy jest obecnie w Sowietach.

Przypatrzmyż się jak teraz u naszego drugiego sąsiada, u sąsiada po lewej ręce?

Niemcy dzisiejsze, które możnaby sobie w przystępie sarkazmu nazwać z afrykańska Nazilandem, liczą obecnie 66 miljonów ludności. Przeszło 66 natomiast książek i broszur stanowczo już wyszło w sprawie katastrofalnego ich *Gebuhrten-rückgangu*. Ściślej mówiąc liczą 65,300.000, do czego trzeba dołączyć z oddzielonego Zagłębia Saary 830.000, a więc w sumie 66,100.000. Jest to zatem mniej o 1.700.000 od cyfry z r. 1914, w którym to roku cesarstwo liczyło 67.8 miljonów.

W porównaniu z 16 czerwca r. 1925 ludność Niemiec wzrosła (bez Saargebietu) tylko o 2,700.000.

W ogólnej cyfrze dzisiejszej ilość mężczyzn wynosi 31.700.000, podczas gdy ilość kobiet omal o dwa miljony więcej, bo 33,600.000. W Prusach, które w całości liczą obecnie (16 czerwca 1933) ludności 39,958.000, na

mężczyzn przypada: 19.448.000 podczas gdy na płeć, powiedzmy sobie piękną: 20.509.000.

Jest więc tam o czem myśleć, jest nad czem się zadumać, gdy się dziś jest patrjotą niemieckim. Rasa zaczyna być coraz wyraźniej feminine, coraz mniej masculine. Rodzi się zatem problem nowy polityki ludnościowej: czy kobietę, niemiecką, ze względów obronnie (względnie zaczepnie) militarnych umężczyźnić to jest dalej wyzwalać, pchać w życie publiczne, w uniwersytety, warsztaty, w kadry gimnastyczne przysposobienia wojskowego, dawać jej bagnety, uczyć łucznictwa i lotnictwa, jednem słowem: maskulinizować?...

Czy też cofnąć rozwojowo ku stadjum możliwie zbliżonemu do przedwojennego, do stanu K. K. K. *(Kirche, Kinder, Küche)* do partjarchalnego matrjarchatu. wycofać z pracy fizycznej i biurowej, oczywiście i polityeznej, oddać z powrotem ognisku domowemu.

Przechylono się rzecz prosta ku zasadom i programowi faszystowskiemu. Odstraszająco i odstręczająco działał bezdenny moralny upadek Ameryki Północnej z jej paranoją obyczajową, rozwścieklenieniem sexualnem, zbydlęceniem mas, z kultem buldogów i dogów męskich, z wampiryzmem dziewic amerykańskich tlamszących się ze studenterją od 14-tej „wiosny" życia. Przypomniano też sobie, że w ultrapostępowej, progressywnej, demokratycznej, laicystycznej, wolnościowej Francji, kobieta nie jest politycznie zrównaną z najmizerniejszym epicierem, kelnerem, cambrioleurem, apaszem, że nadal nie ma prawa wybierania ni wybieralności do ciał czy izb prawodawczych i że przecież w styczniu roku Pańskiego 1933 senator Tissier zapewniał i zaprzysięgał, że ta Bastylja będzie stać nadal i że nigdy się Francuzkom żad-

nych praw politycznych nic da; lotniczkami, chemiczkami, adwokatami, chirurgami to owszem — ale do „*Folies Bourbonnes*" do senatu nigdy, do „Akademji Nieśmiertelnych" też nigdy: *la femme* nie może być nieśmiertelna, nawet i właśnie w narodzie... Joanny d'Arc!!!!

W samych początkach ruchu narodowo-socjalistycznego, w Monachjum, gdy nazich było najpierw siedmiu potem dwunastu, gdy założyli swój „Związek walki czynnej" i zbierali się w swoich... Oleandrach, z pierwszą pomocą Nazi-Sozi, finansową i moralną, pośpieszyły tylko dwie kobiety *(cherchez la femme):* pani Gertruda von Seydlitz, uciekinierka z Bolszewji „Kurlandka" i pani Bechstein, żona słynnej firmy fortepianowej. Były wtedy eufermy biedne, jak te myszy kościelne i bez damskich subsydjów nie ruszyliby z miejsca. Musi też być coś z wpływów tych „prababek" rewolucji „drobnomieszczańskiej" (jak zgodnie ją przezywają Poliakow, Sokołow i sam Trocki!), w tej dziedzinie polityki wewnętrznej, ludnościowej, eugenicznej, która bezpośrednio wiąże *la femme* z „*dass ewig Weibliche*"...

Dodać tu jeszcze trzeba jeden detal: Lekarski organ urzędowy „Korrespondenz für Rassenpflege" wygadał czy wypapłał świeżo że w dzisiejszych (przeindustrjalizowanych i shisteryzowanych) Niemczech jest statystycznie biorąc: 10 tysięcy epileptyków, 75 idjotów, 100 tysięcy kretynów czyli matołów, 250.000 obłąkanych zamkniętych w szpitalach oraz omal sześć (6) miljonów „*geistig minderwertig*" niepoczytalnych, w sumie więc omal 7 miljonów destruktów. Jest więc znów nad czem myśleć i czem się niepokoić, będąc patrjotą niemieckim. Toż są przecież już cyfry zbliżone do pro-

centów amerykańskich! Dodać do 7 miljonów umysłowych kalek 6 miljonów bezrobotnych, no to coś tu w Niemczech jest w dużym nieporządku czy jakaś „*polnische Wirtschaft* czy istotnie *Untergang des Abendlandes*"?...

W te straszliwe orkusowe ciemności wypadają zbawcze promienie *lux ex Roma*. Trzeba w tempie najgwałtownicj przyśpieszonem leczyć teraz to olbrzymie chore cielsko zakażone bezecnie tandetnymi eksperymentami znachorów i kurpfuszerów gminowładczych. Mussolini dał gotowe wzory, modele, recepty. Tylko brać i akkomodować „*zum deutschen Wesen*" *(soll die Welt gesen)*.

In puncto: *le femme:* Żadncj amerykańskiej *birthcontrol*. Prof. Henry Farifield Osborn (New York. Muzeum Przyrody), zaleca regulację urodzin wyraźnie dla ratowania superkapitalizmu amerykańskiego przed możliwościami rewolucji socjalnej. Profesor Osborn wyraźnie poucza: przerwać mnożenie się motlochu i wylęgarnie malkontentów. *Caviar for General*" jak w Hamlecie; środki zapobiegawcze dla wszystkich! W 17-tym wieku, jak pisze Bebel („Kobieta i socjalizm") panowie feudali wprost zabraniali bywało swoim podwładnym pod ciężkiemi karami i małżeństwa i coitus; teraz tego nie potrzeba, ale rodzenia dzieci można zakazać — pouczają reformatorzy neomaltuzjańscy, uczeni „amerykańscy". Tu wprost przeciwnie. Jak w Italji. Wszystkie poradnie zamknięte. Przerywanie ciąży zakazane. Sprzedaż środków zapobiegawczych wzbroniona. Literatura propagandowa zniszczona. Wszystkie organizacje seksualnej reformy rozwiązane. Nie tylko to: żadnych Maratonów tańca! żadnych konkursów piękności i żadnych wyborów królowych (miss Germania), które

degradują kobiecość do poziomu objektu piękna i są przedwstępem do exportu do handlu żywym człowiekiem.

Na to miejsce zaś obciążenie podatkowe kawalerów i bezżennych. Dalej surowa kontrola eugeniczna wstępujących w związki małżeńskie włącznie nawet ze sterylizacją wenerycznie nieuleczalnych, matołów, kretynów i zbrodniarzy-recydywistów.

Ważną jest także propaganda małżeństwa przez państwo subsydjowana, ważną ze względu na dużą przewagę płci niewieściej w cyfrze ludności. Odpowiedni program marjażowy opracowało ministerstwo skarbu. Przewiduje ten program 200.000 małżeństw stypendjalnych, co musi zmniejszyć też cyfrę bezrobotnych o 200.000. Można się z tej planowej gospodarki rozrodczej i nieco pośmiać, ale nie od rzeczy przynajmniej się z tem zapoznać.

Informują o tem dwa warszawskie pisma wpatrzone z wzrastającem rozczuleniem w promieniejącą na horyzontach pięcioramienną gwiazdę Dawida i wyszydzające dzień po dniu wszystkie inowacje hitlerowskie. Jedno pisze tedy:

„Ostatnie lata, lata ciężkiego kryzysu, przyniosły wybitne zmniejszenie się przyrostu ludności w Niemczech. Nowe rozporządzenia oddając kobietę domowi rodzinnemu, pozbawiając ją pracy zawodowej, usilują cofnąć niemiecką rzeczywistość do dawnych przedwojennych czasów.

Drogi, jakiemi usiluje się działać praktycznie, są dość ciekawe. Każda kobieta, która w okresie od 1-go czerwca 1931 do 31 maja 1933 pracowała przynajmniej sześć miesięcy, wychodząc zamąż może uzyskać od pań-

stwa pożyczkę do wysokości 1.000 marek. Musi się tylko zobowiązać, iż nie będzie pracować, dopóki pożyczki nie spłaci i dopóki mąż jej nie będzie zarobkował więcej niż 125 marek miesięcznie. Tysiąc marek pożyczki prawie bezzwrotnej jest dzisiaj zawrotną sumą dla wielu Niemców. Rząd Rzeszy przewiduje, iż tą drogą wyciągnie z fabryk i z handlu około 150.000 kobiet i stworzy z nich typ dawnej niemieckiej gospodyni".

Inne pismo zaś jeszcze ściślej prezentuje warunki pod jakiemi Niemka dzisiejsza wycofana z ciężkich robót dostaje ten swój posag na zamęście:

1) przyszła żona musi wykazać iż pomiędzy 1.6 31 a 31.1 33 była na posadzie w Niemczech,

2) przyszła żona musi porzucić pracę najpóźniej w dniu ślubu,

3) przyszła żona musi złożyć zobowiązanie, że nie przyjmie żadnej pracy, dopóki jej mąż będzie zarabiał conajmniej 125 marek miesięcznie,

4) oboje małżonkowie muszą być obywatelami niemieckimi,

5) oboje małżonkowie muszą posiadać pełne prawa obywatelskie,

6) oboje małżonkowie muszą wykazać, że nigdy nie byli nieprzyjaźni dla nacjonal-socjalizmu,

7) wykluczone jest niearyjskie pochodzenie jednego z małżonków,

8) wykluczone jest przeniesienie się małżonków po ślubie zagranicę".

Można się więc, jak powiadamy, pośmiać nieco gdy Niemki obecnie zmieniają imiona na Hitlerine, lub gdy Margarety zrywają z fryzurą „Bubikopf", a z powrotem zaczynają zapuszczać długie „kosy" (warkocze),

pośmiać z tych i z tym podobnych reform, przeobrażeń i metamorfoz. W każdym jednak razie dobrze się też z pewnymi nowaliami in puncto: *la femme* w każdym razie zapoznać w myśl maksymy starorzymskiej: *et ab hoste doceris* (ucz się jeszcze od wrogów).

Kto wie czy zarazem to co dobre i pożyteczne i z tej strony nie przyjmiemy, jak zresztą przecież coś tam przyjęliśmy i od faszyzmu włoskiego, którego pierwszych chwalców czy chwalcę (nie bez zastrzeżeń) obrzucało się cacanie zgnilymi nieco śmierdzącymi jajami.

Tak się prezentuje kwestja kobieca w Eurazji...
...A tak znowuż w Nazilandzie.

A jak u nas?

MATULIWNA.

Kiedy się miało lat dwadzieścia kilka, do ulubionej lektury należały dzieje walk wyzwoleńczych rozmaitych mniejszych lub większych, w niewoli tkwiących narodów. Najpierw tedy wszystko, co się tyczyło „*Italia fara da se*", poczem głównie dwie równe sympatyczne, a całkiem do siebie niepodobne nacje, to jest Czesi i Irlandczycy. Z czasem zaczęło się kolekcjonować wszystko, co gdzie kto kiedy o tych narodach napisał. Poczem weszło się w korespondencje z działaczami, a potem jazdy do Pragi i niedługi zresztą pobyt w Londynie, poświęcony głównie wejściu w kontakt z kilku bojownikami i działaczami Erynu, którzy mieli swoją siedzibę przy *Adelphi-Terrace*. Irlandzkiej pasji patronował ś. p. prof. A. Parczewski, który dzięki swoim pracom o początkach chrześcijaństwa w ziemi św. Patryka został nawet h o n o r o w y m d r u i d e m, o czem zresztą zupełnie zapomniano w jego nekrologach. Owocami zainteresowań i rozmiłowań w tych dwu narodach, dobijających się ciężko niezawisłości po k i l k u s e t latach niewoli, bywały liczne prace, studja, szkice, *essay*'e rozsiane po tygodnikach („Głos", „Świat", „Życie", „Tygodnik Ilustrowany") i w pismach codziennych (wstyd dziś przyznać się których), a nadto odczyty tajne, wygłaszane często ze ś. p. Brzozowskim po rozmaitych prywatnych

mieszkaniach w Warszawie, w Łodzi, w Zakopanem i w innych mieścinach. Raz po raz to o Czechach to o Irlandczykach. Honorarja bywały skromne (15—25 rubli), ale satysfakcja moralna duża: krzepienie serc, masowanie karków, wykazywanie tego, że inne narody więcej, ciężej i dłużej cierpiały niewolę, a nie tracą nadziei.

Po latach, po omal trzydziestu i Czesi i Irlandczycy doczekali się wreszcie niezawisłości, Czesi takiej, na jaką w pełni zasłużyli, a Irlandczycy też takiej, jakoże są szczepem bardzo narowistym, trudnym w cuglach, kłótliwym, indywidualistycznym, no i nieco za dużo spożywają alkoholu, co też ujemnie wpływa na konsolidację po długim okresie niewoli.

Mając takie umiłowania do ludów wyzwalających się, nie spuszczało się też oka i z jednego jeszcze szczepu słowiańskiego, cyfrowo cztery czy pięć razy większego od Czechów, a przeszło dziesięć razy liczniejszego od Irlandczyków, przyczem gatunku ludzkiego, wyjątkowo utalentowanego, dynamicznego i prężnego, od którego atoli normalnego Polaka stale musiały odstręczać: odśrodkowe ich dążenia na ziemiach polskich oraz patronat Berlina. Kiedy Polska nastała a rządząca od początku koterja, gardząc zachodniemi dzielnicami: Pomorzem (Haller), Górnym Śląskiem (Korfanty), Wielkopolską (Dmowski, Trąmpczyński, Seyda), „musowo“ chciała odłupywać od Rosji Ukrainę, zabierając się do tej akcji ze zwietrzałemi, wyświechtanemi doktrynami i „racjami stanu“, wyciągając z knajpy tego biedaka Petlurę i pasując pijaczynę na hetmana i na „geroja“, wszystko, co się tyczyło i wiązało ze sprawą ukraińską, mogło obrzydnąć człowiekowi z kretesem.

Przydać tu trzeba jeszcze i ten obłędny, chory apetyt niektórych Rusinów na oderwanie od Polski jej ziem. Dalej eksperymenty różnych naszych wojewodów i para-polityków, te zygzaki niefortunne to z cukrem, to z batem, potem ten znów szal terrorystyczny, którego się Ukraińcy nauczyli i który z zapałem kopjowali... Najsympatyczniejsza nawet nacja, ale tak się sprawująca, człapiąca wilczemi klami i odrazu infekowana megalomanją prześladowczą, musiała wreszcie nawet sympatykowi utajonemu jednak do cna obrzydnąć.

Ale lud został, lud mnożny, zdrowy, inteligentny. Trzeba przyznać, że w chwili obecnej dostaje od losu bolesne cięgi. Wszyscy ich opuścili i wszyscy wypierają się protegowania ich ambicyj państwotwórczych. I ten Rosenberg i ten Hugenberg zamiast pomóc, oddali im niedźwiedzią przysługę. Teraz już wszystkie cztery państwa sąsiadujące z sobą, a mające mniejszości irredencko-ukraińskie, słusznie będą zgodnie i czujnie pilnowały, by Ukraińcom rogi nie za szybko odrosły. W każdym jednak razie u nas, na tem terytorjum, gdzie mieszkają, wiedzie się nawet ich separatystom lepiej, niż naszym tamtejszym patrjotom i autochtonom. Nawet o „pacyfikacji" mogli już chyba zapomnieć, skoro władze administracyjne traktują ich odtąd raczej w rękawiczkach. Swoich pism perjodycznych mają 87, a i z pijawkami żydowskiemi wolno im bezceremonjalniej dawać sobie rady, jak tym liszeńcom Endekom...

Natomiast po drugiej stronie granicy, w Sowietach prześladowanie, represje, terror. Zapowiadało się kiedyś ślicznie: „samostanowienie aż do oderwania". To oderwanie w praktyce okazało się pojęciem oderwanem, abstrakcyjnem. Najpierw omal namawiali ich, zmuszali.

aby zostali Ukraińcami, narzucali im język w szkołach i ciskali się w pasji, że ukrainizacja powoli idzie. A kiedy zaczęła iść znów za prędko i za głęboko, nagle zwrot, zmiana kursu, hece, dymisje, procesy, „rewizor z Petersburga“ (Postyszew) i G. P. U. na scenę.

Ofiarą zmiany i nowej „linji generalnej“ padł poeta Mikołaj Chwiłowyj.

W raju Marxowskim nie pierwszy to samobójca, bo już przed nim Majakowskij i Jesienin. A wogóle życie literatów w obróżkach, odkomenderowywanych to tu, to tam, karconych, obrzczywanych — nie do pozazdroszczenia. Chwiłowyj wziął zanadto serjo i szczerze „samoistijność“ Ukrainy w Republice Rad, tak jak to pojęli z pośród innych działaczy, dziś uwięziony Szumskij, lub dziś już nieżyjący b. komisarz oświaty, stary, 60-letni bolszewik... też samobójca: Skrypnik. I głosił sobie Chwiłowyj swobodnie hasła: tyłem do Moskwy, licem ku Europie i wogóle *lux ex Occidente*. Ale podczas gdy lwowscy separatyści, (ciągle z Polski niezadowoleni) swobodnie sobie mogli wykrzykiwać: *Heil Lenin! Moskwa Mnohaja Lita!* i ciągotami do Kremla infekować całe zastępy młodych generacyj rusińskich, to do biednego Chwiłowyja, za jego ostatnie „Myśli przeciwrządowe“, wzięto się brutalnie i z dzikiemi szykanami. Nie pomogły biednemu poecie kajania się i odwoływania i skrucha. Zaczęto mu deptać po piętach i wreszcie zdecydowano jako „selkora“ wysłać gdzieś w oddalone krainy, może do „Tadżikistanu? (jest taki). Wolał się zrzec tych emocyj i w przystępie znużenia psychicznego i rozpaczy odebrał sobie życie...

*
* *

Poeta J. Czechowicz tłumaczy na polski język poezje innego rusińskiego poety Pawła Tyczyny.

To bardzo dobrze i na czasie. Wogóle byłoby wskazane, żeby cokolwiek zapoznawać się zwolna z kulturalnym rozwojem tego plemienia czy szczepu, który żyje pod naszym państwowym dachem i z którym od wiek wieków jesteśmy związani nierozerwalnymi nigdy węzłami. Bliscy nasi sąsiedzi, to jest Litwa i Czechosłowacja aktywnie, żywo i systematycznie zajmują się i opiekują tak naukową produkcją Ukraińców (Rusinów) jak też ich twórczością artystyczną i literacką i folklorem i sztuką ludową.

W dodatku do dzieła Meilleta: „*Les langues dans l'Europe nouvelle*", opracowanym przez strasburskiego uczonego, prof. L. Tesniéra *(Statistique des langues de l'Europe)*, wylicza prof. Tesniére 120 języków europejskich, z których 83 języki przypadają na.. Sowiety. Językiem rosyjskim mówi według obliczeń prof. Tesniéra: 70,254.000, językiem rusińskim (ukraińskim) 33.945.000. Językiem polskim zaś 23,170.000. To są obliczenia statystyczne z r. 1930...

Na mapie językowej naukowo poważnego geograficznego wydawnictwa angielskiego: „*The Citizens Atlas of the World*" dzierżawy ruskie (ukraińskie) sięgają omal pod samą Warszawę, na południu pod sam Tarnów, Nowy Sącz, Limanowę...

W popularnych propagandowych wydawnictwach, pisanych w językach niemieckim, francuskim, angielskim i t. p. (głównie za pieniądze podobno kanadyjskich ukraińców), cyfra Rusinów, zamieszkujących państwo polskie dochodzi do 7 miljonów zgórą...

I w Pradze i w Kownie istnieją ogniska czy ekspo-

zytury propagandowe kulturalnego rozwoju rusińskiego (ukraińskiego). U nas z powodów ściśle politycznych i normujących wszelkie ustosunkowania wzajemne... anormalnie, niema się literalnie najmniejszego pojęcia, co się tam pisze i co się tworzy w omal siedmiomiljonowym „kompleksie" naszych współobywateli.

Kuriozalność tego stanu dochodzi do tego, że w stolicy Polski zaczytują się damy i panny w powieściach jakiegoś Ascha czy Asza, podobno ozdobionego Virtuti Restituti, (który swego czasu szkalował armję polską, w amerykańskiej żargonowej prasie), natomiast nic się nie wie n. p. o grupie malarzy ukraińskich, (rusińskich), która niedawno miała wystawę wspólną w Paryżu (w Galerie Leon Marseille) przez krytykę z dużem uznaniem przyjętą.

Nic się nie wie n. p., że ukraiński (rusiński) kompozytor V. Kostenko, napisał operę na tle powstania Listopadowego p. t. „Karmeluk" sympatycznie do nas się odnoszącą, graną już w Moskwie, Charkowie i Odessie. Ale Tansmana się zna i słucha i na „Dybuku", zresztą bardzo ciekawym, wszyscyśmy bywali, podczas gdy nigdy do naszych uszu nie doszło, że jest sobie komedjopisarz satyryczny Mykytenko, którego „Sprawę honorową" możnaby śmiało zaryzykować na scenach polskich.

Godziłoby się powoli nam samym zapoznać się z tem wszystkiem, nie czekając, aż nam to jako nowy świat a raczej modny towar sezonowo-duchowy zaczną na rynek narzucać, nasi międzynarodowi pośrednicy i faktorzy, dla siebie oczywiście zgarniając procenty z „odkrycia". Niech sobie politycy układają nadal polityczny *modus vivendi* jak im się podoba i jak im się

udaje, w tym wypadku raczej od wypadku do wypadku... Natomiast inicjatywę kulturalnej osmozy, wymiany i współżycia powinny wziąć w swoje ręce czynniki kulturotwórcze w Polsce, oczywiście nie te. które mają na swojem conto mniejsze lub większe „pacyfikacje" i nie te dla których pojęcie „kultury" jest identyczne z symbiozą duchową elity z izra-elitą i z.:. rządem.

Przed wojną zapoznawanie się nasze z pierwocinami i początkami twórczości rusińskiej (ukraińskiej) literackiej było dość intensywne. Wśród Młodej Polski cieszył się dużem uznaniem W. Stefanyk, którego nowele tłumaczył lwowianin entuzjasta W. Moraczewski. Wzorując się nieco na Sienkiewiczu, dał potem Bohdan Łepki historyczną trylogję o Mazepie. Trzechsetletnią rocznicę hetmana, unieśmiertelnionego poematem Byrona i dramatem Słowackiego, obchodzono uroczyście w zeszłym roku w maju wystawą pamiątek we Lwowie, przyczem jakoś przepomniano o tym epizodzie... kiedyto hetman przebywał w Wiszniowcu na zamku pani Dulskiej! wojewodziny Dulskiej! Oprócz Bohdana Łepkiego, zajmowano się w grupach radykalnych, także działalnością Iwana Franki. „Świat Słowiański" prof. Marj. Zdziechowskiego drukował stale referaty z umysłowego ruchu rusińskiego (ukraińskiego)... Na uniwersytecie Jagiellońskim wykładał o piśmiennictwie bratniego narodu prof. Tretiak... Gruntownie zaczął zajmować się tym problemem etnicznym i geopolitycznym Leon Wasilewski... Entuzjastycznie przyjęto grany z tendencją... „Sen Srebrny Salomei"... Nawet kompozytor rusiński (ukraiński) Mikołaj Łysenko miał swych interpretatorów i admiratorów. Orkan z wielkim zapałem „nawiązywał" i nawiązywał... Wreszcie przyszło „Wesele"

i Wernyhora... „Ktoś nam znany“, „ktoś kochany“, „ktoś zdawna oczekiwany“...

Wojna europejska poczem wojna z Ukraińcami, wówczas „kwasem pruskim“ do cna zatrutymi, porozrywała wszystkie nici i wszystkie włókna. Dzikie eksperymenty Sanacji, jej zygzakowata linja polityczna („Zukker und Peitsche“), to przymilania i mizdrzenia, to znów osławiona „pacyfikacja“ dopełniły reszty i oziębiły poniżej zera. Ale jednak, ale *malgré tout* zapoznawać się z nimi, znać ich i interesować się nimi i trzeba i należy, a są tereny, dzierżawy, międzypola (*nomanslandy*), na których nawet pewne, jak Czesi nazywają: „styki“ są do pomyślenia, a więc literatura, muzyka, malarstwo, muzealnictwo, sztuka ludowa, teatr. Zajmują się ich kulturalnym rozwojem już nie tylko Czesi i Litwini, ale Anglicy (lord Cecil, Dickenson, Baxton), zajmują Francuzi (poseł E. Evain, Margueritte). Zawsze protegnje ostentacyjnie Berlin, a ostatnio i prasa kanadyjska i amerykańska dość dużo miejsca poświęcały raz po raz ich kulturalnym przejawom i „wyczynom“.

Warszawa natomiast nic a nic.

Niekiedy zachęta musi przychodzić ze strony najmniej spodziewanej. I niekiedy laik i w tych rzeczach nie-spec musi wskazać drogę kompetentnym i zainteresowanym. Nie wie i nie przeczuwa Warszawa, że oni mają nietylko w Ukrainie Radzieckiej w Kijowie, obok Akademji Nauk wspaniałe Muzeum Ukraińskie, ale że i we Lwowie przy ulicy Mochnackiego, zasobne Muzeum Sztuki Ludowej i Religijnej pełne interesujących eksponatów starej sztuki cerkiewnej i chłopskiej. Oglądaliśmy katalog Muzej Mystectwa Kijowskiego — wspaniałe wydawnictwo *in octavo*, 48 plansz, reprodukcje

Velasqueza, Cranacha, Tiepola, Fr. Halsa (portret Deskartesa), ikony z 14-wieku. Miało się w ręce przegląd artystyczny, wydawany we Lwowie „Mystectwo“ (2 i 3) wspaniale wydane, moc jednobarwnych reprodukcyj dekoratora M. Andrijenki-Necytajły, Butowicza, Omelczenki, S. Hładki, M. Selskiego, emalierki M. Dolnickiej, Sokołowa, J. Muzyki, panny Skoropadzkiej (córki atamana), D. Burlaka futurysty, dwuch braci Hluszczenko; nowoczesne kościelne religijne malarstwo reprezentują: O. Nowakowskij, Chołodnyj, T. Korzun, V. Peszczański. Tworzą oni razem grupę Assocjacji Niezależnych Ukraińskich Artystów ANUM (M. od Mystectwo), którzy wystawiali także w Paryżu, dobrawszy sobie znanych już w Paryżu rzeźbiarzy Fedira i słynnego Aleksandra Archipenkę.

O pewnej ich lojalności świadczy to, że na II-gim Ukraińskim Zjeździe w Pradze w lecie (pod prezesurą Smal-Stockiego) wygłoszono referat o „Ukraińcach w Krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych“. Jeden z tych braci Hluszczenko, Michajło, wydał też album z 33 portretami literatów z Ukrainy Radzieckiej i naszych „naddniestrzańskich“ z Rusi Czerwonej (portretował też i kilku literatów paryskich). Okazuje się więc, że już jest aż 33 pisarzy rusińskich, godnych uwiecznienia przez wybitnego i znanego artystę. Będzie to zapewne znów niespodzianką i odkryciem Kolumbowem dla warszawskich elit tej sanacyjnej i tej... ipsowej... Nie należy wogóle dłużej „zatajać“ przed Warszawą, że przecież w języku rusińskim drukuje się po tamtej stronie 1.126 wydawnictw w 7.250.000 egzemplarzach, a że po tej stronie w samem województwie lwowskiem wychodzi już 68 pism w języku rusińskim drukowanych. Również

chyba nie należy zatajać, że w ośmiu latach ostatnich powstała wielka „Encyklopedja Ukraińska", licząca 50 tomów. Nie należy też nie poinformować stolicy o tem, że we Lwowie już wychodziło pięć miesięczników naukowo-literackich.

Bardzo poważnie prezentuje się „Literaturno-Naukowyj Wistnyk" pod redakcją doskonale z europejska zorjentowanego Dymitra Doncowa, ostro walczącego z partykularyzmem i szowinistycznym szalem prowincjonalnym. Potem są „Dzwony" organ zdaje się metropolitalny i „Postęp" radykalno-klerykalny pod dyrekcją Nazaruka, poczem inklinujące ku Wschodowi umiarkowanie „Nowe Szliachy" pod dyrekcją ojca i syna Kruszelnickich, poczem goręcej czerwone, omal krasne „Wikna" (okna) z pewną, wyraźną infiltracją czy penetracją semicką.

Przesadne zapały dla Sowietów w tej grupie powinny mocno ostudzić takie książki, jak publicysty M. Danki o Ukrainie radzieckiej p. t.: „*Die Nation in Sowietketten*" lub Jurczenki „Wspomnienia z wysp Sołowieckich" (Tryptyk), obie kwalifikujące się do tłumaczenia na polski. Wartoby się też zapoznać z wydanymi w Pradze Pamiętnikami generała Pawlenki, który brał udział w polskiej wojnie z Sowietami w r. 1920 w VI-tej armji. Wśród dramatystów społecznych ciekawy jest podobno Gawluk, wśród muzyków Kulis (Sonate Pathetique grywana w Europie); z uczonych historyków możnaby sobie przypomnieć o prof. Hruszewkim (obecnie w Kijowie), który dał dziewięciotomową monografję Chmielnickiego. Chmielnickij zaś bądź co bądź chyba niezwykle interesująca i „modna" postać: w Polsce był za wzmocnieniem prerogatyw królewskich,

za autokratyzmem, w... bandach swoich miał kilkanaście tysięcy szlachty polskiej!... a nawet Cromwell! Cromwell z nim korespondował. Niedawno tę korespondencję wydobyli na światło.

Z pobieżnego i przygodnego zarysu widzimy tedy, że jest w tem wszystkiem „nowy świat" do odkrycia, do poznania, do wyrobienia sobie zdania o wszystkich możliwościach i ewentualnościach w przyszłości i o status kulturalnem dzisiejszem. Jest starorzymska zasada: *et ab hoste doceris*. Uświadamiać się i informować stale o rozwoju kultury rusińskiej (ukraińskiej) można i trzeba bez przesadnego afektu. Oni nas z wszelkich sentymentów, ongiś tak egzaltowanie manifestujących się u naszych poetów i pisarzy i powieściopisarzy od Zimorowicza począwszy a na Wyspiańskim skończywszy, wyleczyli definitywnie. I jeszcze odstręczają nadal ślepo i zaciekle, aczkolwiek wśród wyższych inteligenckich dziesięciu tysięcy zdarzają się takie przeboje objektywizmu i realizmu myślowego, jak n. p. bardzo pochlebna ocena książki R. Dmowskiego „Świat Powojenny i Polska" (w piśmie: „Nowa Zorja") lub takie zdanie jednego z leaderów dr. St. Barana wypowiedziane w Sejmie „nawet polska narodowa demokracja z Dmowskim na czele pozytywniej odnosi się do naszego problemu".

Kulturalnych tedy mostów nie tylko palić, czy zrywać nie należy, ale raczej tu i owdzie próbować stawiać choćby nad przepaściami posępnej i nieprzyjemnej rzeczywistości. Nie spadnie nikomu z głowy korona szlachecka, jeżeli zwiedzi lwowskie Muzeum, gdzie nagromadzono do dwustu ikon, niektórych z XV wieku. Jeżeli się znajdzie tom nowel tak dobrych, jak ongiś Stefanyka „Klonowe Liście" warto je przetłumaczyć

choćby dla tych, co się nie delektują tysiącem już przetłumaczonych kryminaljów, fekaljów, koprolaljów. Chadzamy tłumami na sowieckie filmy (podczas gdy polakożerca, redaktor „Nowego Czasu" p. Paljew we Lwowie odmówił demonstracyjnie na zaproszenie filmowej premjery), to moglibyśmy od biedy i jakąś sztukę ukraińską zobaczyć na scenie, czy też film ukraiński skomponować i nakręcić. Antologję młodej poezji ukraińskiej też możnaby strawić bez dławienia się. Urządzili wystawę rzeźb i obrazów w Paryżu, gdzie nie robią z owsa ryżu, to i w Warszawie obejrzelibyśmy sobie spokojnie. Ukraińskie chóry już wielokrotnie cieszyły się wprost frenetycznymi oklaskami i sukcesem. Już choćby to samo dowodzi, jak spokojnie i kulturalnie odnosi się metropolja Polski do ukraińskich (rusińskich) przejawów kulturalnych potępiając w dzisiaj miarodajnych sferach równomiernie tak przymilanie, cackanie, mizdrzenie (zucker), jak również odsuwając od siebie współodpowiedzialność za sprowokowaną potem cackaniem i cukrem... „pacyfikcję".

Imperjalizmu zaś stanowczo jest też więcej po tamtej stronie, może narazie tylko w statycznym stanie drzemiącym, ale całkowicie usprawiedliwiającym nieprzyjemny, grasujący jeszcze epitet: hajdamaka.

Ponieważ przeglądnęliśmy prasę i perjodyki, więc uwzględnijmy także taki organ asocjacji O. U. N., noszący tytuł „Junak", z którego Lipcowego numeru polska prasa amerykańska zamieściła mały wyjątek. Głos czy „zew" tego „Junaka" zabrzmiał następująco:

„My pójdziemy dalej po drodze, wskazanej nam przez tradycję. My zdobędziemy Kaukaz i za Kaukaz. Nasze sztandary zawisną w Erzerum i dalej na Wschód,

nasze pancerne okręty będą broniły naszego portu we Władywostoku. My będziemy tymi, którzy poniosą prawdziwą europejską kulturę na Daleki Wschód z orężem w ręku, tak, jak niegdyś Krzyżacy szerzyli ogniem i mieczem Chrystusową wiarę. To nie jest fantazja, pamiętajmy, że w całym Turkestanie i Syberji bez liku jest ukraińskich kolonij, a olbrzymia przestrzeń zielonego klina to nasze etnograficzne terytorjum. Na Zachodzie postawimy granicę nad Wisłą, na południe na Dunaju. Bo my nietylko chcemy być wolni na etnograficznem terytorjum, my chcemy być silni i sławni, chcemy stworzyć imperjum, które będzie trzęsło europejskim kontynentem. Takiem imperjum my być możemy, bo mamy do tego wszystkie przyrodzone dane, tylko więcej wiary, woli i ochoty".

Tego chce „Junak". Taki „program" ma „Junak"! Tak jak Krzyżacy ogniem i mieczem chce iść Junak po Władywostok, po Erzerum, nad Wisłę i nad Dunaj. Apetyt tedy maładiec ma niczem Mazepa lub Chmielnicki razem. Niechże się potem Junakierja naddniestrzańska nie dziwi, że Polacy z nad Wisły muszą trzymać proch w suchem miejscu. I nie dziwi, że potomkowie Mohortów czasami tracą i świętą cierpliwość i krew zimną. Wiedzą bowiem dobrze, że minęły bez powrotu te czasy, w których kniahyni Wyszniewiecka rodziła syna, na dźwięk którego imienia samego: „Jarema", truchlało wszystko, co żyło między Dnieprem, a Bugiem a... Sanem... Wiedzą że rozbudził się lud, że stanął na nogi naród i że rozpoczął się nieunikniony, normalny, biologiczny proces z powijaków wyzwalania.

Pomimo tego atoli i właśnie dlatego życie duchowe i kwitnienie kulturalne Rusi Czerwonej czyli Ukrainy.

jest to coś, z czem nieodzownie bliżej i systematyczniej poznajomić się godzi już teraz, zanim tem zajmą się patentowani komiwojażerzy, faktorzy. pośrednicy, „schadcheny".

*
* *

We Lwowie będąc, zaszedłem sobie do muzeum Rusińskiego. Dawny pałacyk. zdaje się Szeptyckich a przed wojną mieszkał tam pruski konsul. W „muzeum" skarby, poprostu skarby i to w wielkiej obfitości. Sztuka cerkiewna i sztuka ludowa. Całe „carskie wrota", ołtarze, obrazów bizantyńskich moc, prześliczne stare żyrandole i lichtarze, sztandary, broń, kielichy, roztruchany, sprzęt domowy, tkaniny. ceramika, wyroby z kutego żelaza, ornaty, kapy, no wogóle moc objektów przepięknych, wszystko ustawione i ułożone we wzorowym porządku, nowocześnie. z dużym smakiem i umiejętnością.

W książce pamiątkowej muzealnej pozapisywani turyści i goście. Cudzoziemskich nazwisk sporo, polskich skąpo. A to nie dobrze i nie mądrze. Jak można nie zaciekawić się dla sztuki tego narodu, który pod naszymi dachami z nami mieszka i dole i niedole nasze wspólnie z nami znosić musi? Jak można zapominać o tem. że sztuka. a w tym wypadku sztuka muzealna. dawna. passeistyczna. to jest ten wymarzony teren wspólny nomansland. na którym schodzić się i do porozumienia dochodzić mogą ci, co tworzą właściwą narodów elitę. Pamiętam dobrze, że kiedy 25 lat temu opanowała mnie psychoza irlandzka, kiedy zagłębiłem się w badaniu kultury i obyczajów tego. tak bratniego nam i podobnego

narodu Celtów, doszedłem w Londynie do przekonania i stwierdzenia naocznie tego, że promotorami, entuzjastami, organizatorami, patronami i co więcej najrzetelniej serdecznymi przyjaciółmi irlandzkiej sztuki, poezji, muzyki, folkloru, zabytków i ludowej wieśniaczej odrębności byli przeważnie... Anglicy! Irlandczycy urodzeni tacy, jak Shaw, Moore, Yeats nawet z tego pokpiwali, ale tamci odstraszyć i odstręczyć się nie dali. Odrębność i oryginalną wytwórczość szczepową tych Keltów protegowali głównie Anglicy i oni ją... uratowali.

Czerwono-ruskie, czy ukraińskie muzeum lwowskie przy ul. Mochnackiego, powinni zwiedzać i poznać wszyscy nasi kulturalni *prominents*. Niezwykle interesujące, zasługują na to przynajmniej, by je nie sabotować.

Ale to mimochodem. Ważne i wskazane ale o tem mimochodem. Na razie nie w tem rzecz, a w tem rzecz, że była w tem muzeum także pośmiertna ekspozycja obrazów niepospolitego malarza rusińskiego Chołodnyja. Pejzażów przemiłych moc z Pokucia, „Lemkowszczyzny", z Karpat z pod „Lwowi", a nadto portretów sporo. Wśród portretów i atamani i siczowniey i działacze i prowodyry i hajdamaki, może i strzelcy i jakieś bardzo złe posępne twarze i jakieś bardzo sympatyczne, jak wszędzie. Katalog objaśniał kto zacz. Piszących, uczonych, literatów konterfekty także. Nawet i czeski poeta Bezrucz znalazł się tutaj na honorowej ścianie... niewiadomo, z jakiej racji...? A także piszące Ukrainki, a wśród nich jedna twarz jakaś, nawet nie bardzo ładna, ale bardzo smutna, przygnębiona życiem, jakaś jakby zmaltretowana, a dziwnie suggestywna. To musi być chyba rodzący się gdzieś na uboczu wielki talent...

I kiedy ostatnio czytałem sobie kilka prac o nowem piśmiennictwie ukraińskiem w polskich i niemieckich tygodnikach literackich, ni stąd ni zowąd uczepiła mi się *idee persecutive*, majak myślowy, że ta bezbrzeżnie smutna, jakby schorowana, twarz kobiety-pisarki z muzeum z Wystawy Chołodnyja, to musi być chyba ona, to ta Matuliwna, Antonina Matuliwna, poetka. Od tej przypadkowej, może błędnej assocjacji, już się nie może... wyzwolić człowiek. Tak stanowczo — ta smutna molodycia, to jest pisząca Matuliwna, poetka. A może nie? A dla mnie tak, lub tak być powinno.

I oto, co się człowiek o niej dowiaduje. Należy do grupy najskrajniejszej, skróś proletarjackiej, nieprzejednańców. To prawdziwa „Czerwona" Ruś, omal krwawa. Grupa nazywa się „Hornna", czy coś takiego. Wydają sobie „perjodyk" Wikna (Okna) no i tam także pono reportaże z żywota ostatecznej biedoty i nędzy, prozą i wierszem. Musi to być bardzo prymitywne i fotomontażowe, tendencyjnie klasowe, pewnie i nie artystyczne, może i gminne, nawet wulgarne, ale sądząc z prób tłómaczonych na polskie, niemieckie i czeskie, talenty są, zdecydowanie mocne talenty, a może z tego za lat 25 będą znakomitości? Są wśród nich już nawet tacy, co piszą na scenę: Maślak (mieszka w Pradze). Jarosław Gala, sądząc po tytułach („Don Kiszot z Ettenheim", „Ładunek", „Weronika", „99%") jakiś ciekawy i więcej zachodni... Jedni z nich wydają swe książki, swe tomy nowel lub poezji we Lwowie, a inni w Kijowie, a inni naprzemian, to w Charkowie, to we Lwowie, a inni już nawet wyemigrowali do Charkowa... na stałe, do „Ziemi Obiecanej". Mirosław Sopiłka, Wasyl Bobyński, Stefan Tudor. Pospieszyli się i w sam czas.

gdy byli zagrożeni wyemigrowali i już „swobodnie“ piszą sobie na Lachów teraz co się wlezie???

A co robi poetka Antonina Matuliwna? Ta się spóźniła. Nie miała czasu czy możliwości, czy środków, czy zdrowia, aby uciec za granicę na Wschód. gdzie inni pouciekali. A że widocznie coś przeskrobała, coś przesadziła, więc poszła do więzienia....

W Łucku.

Siedzieli tam już i inni literaci młodzi z tej „Czerwonej“, dosłownie Czerwonej Rusi, siedział podobno nowelista Kalyńczuk. poeci Hawryluk, Szajan. Pasant... Ale siedziała. w Łucku siedziała za kratami, liryczna poetka Antonina Matuliwna.

I niechto znów irytuje eleganckich towarzyszów Standego i Watego, oj Dana — Dana (Weintrauba) i Peipera i innych z „Nowej Kroniki“ burżujków w proletarjackich maskach gazowych. wygodnie sobie na „*grand Soir*“ i nową rewolucję czyhających. a jakże do męczenników i cierpiętników idei w niczem niepodobnych... a jednak nie sposób. nie sposób w rzecznictwie Antoniny Matuliwnej kilka słów tu nie wypowiedzieć.

Ta poetka musiała się pewnie dużo rozczytywać w kilku polskich pisarzach. którzy są chlubą naszej literatury. Zapewne czytała Zycha: „Rozdziobią nas kruki. wrony“. Zapewne czytała Danilowskiego, Słońskiego. Andrzeja Struga. Dąbrowską? Może w ostatnich czasach zaczytywała się w kwartalniku polskim: „Niepodległość“ tak żarliwie apoteozującym „romantyzm“ z lat 1905—1909? Zapewne czytała biografje heroiczne Okrzei. Montwiłła. Barona? Zapewne nasłuchała się o czynach i działaniach „Katajamy“. „Wiktora“, „Czesława“, Jura Gorzechowskiego i tylu. tylu innych. dziś

polskiemu narodowi i państwu przewodniczącyeh? Więc tedy młody, chłonny mózg wrażliwej, zapalnej, fanatycznej molodyci zbyt się przejął tą lekturą i zaczął naśladować w pisaniu tych naszych czerwonych, z których jesteśmy dziś tacy dumni. I wzięła to wszystko zbyt dosłownie, zbyt gorąco do serca Antonina Matuliwna. I zaczęła w tym duchu pisywać sobie wierszyki Antonina Matuliwna. I nie zdolała dość wcześnie razem z innymi kolegami przenieść się za Dniepr do... Raju proletarjackiego Antonina Matuliwna. I teraz gdy tamci na „wolności" sowieckiej (Chwilowyj!...), tu poszła w Łucku za kraty biedna smutna Antonina Matuliwna.

ARABKI! ARABKI!

A więc jest postęp! jest postęp! nie samo tylko średniowiecze „barbarzyńskie" zapada nad światem, nie rozpętał się tylko orkan reakcji i wsteczniictwa, ale są tu i ówdzie jednak nowe objawy szybkiego postępu przeobrażeń, odnian i unowocześnień. Nie grzęźnie świat tylko w zastoju i nie cofa się wstecz na całej linji, ale gdzieniegdzie idee buntownicze i wyzwoleńcze triumfują, i postęp idzie nawet jakby siedmiomilowymi butami z bajki.

Naprzykład te Arabki! Arabki!

Pozornie właściwie nas nic nie obchodzą. Kiedyś przed wojną i one były tu modne nad Wisłą i poszukiwane za każdą cenę. Nie żywe oczywiście ale malowane. Był taki okres w sztuce, kiedy renomowane szermetry ze wszystkich tematów najchętniej wybierały sceny z życia rycerskich Arabów i smukłych Arabek. W Zachętach i w „Salonach", gdzie rej wodzili Żmurko i Styka, często wisiały obok siebie „Perła Szejka" i „Porwanie Fatimy". „Bey na bachmacie" obok smakowitego aktu młodziusiej Arabki, „co ma śliczne chrapki", jak brzmiał refren piosenki. Często gęsto też można było oglądać „Harem w namiocie", „Branki w jasyrze", „Kupno niewolnicy", gdzie przed rozwalonym na poduszkach, palącym „nargilę", brodatym sprośnym paszą stało obnażone do pasa cie-

mnocieliste dziewczę zasromane i smętne, że je tak wobec publiki wystawiają na handel.

Niewiele tam się zmieniło w doli i niedoli „smukłych jak gazele“ panienek z Arabistanu. Tak jak bywało przed wojną, tak i teraz anno Domini 1933 emir Transjordański sprowadza sobie dziewczynki aż z Abisynji i płaci po 100 funtów szterlingów za „sztukę“. Notablowie zasię z Palestyny i krajów okolicznych zaopatrują się w małżonki na wyspie Cypr, płacąc rodzicom panny młodej po 50 funtów. No i wogóle całe bytowanie tych uroczych często i czarownych hurysek nie jest do pozazdroszczenia. Na obrazach malowanych pełne i pulchne, spowite w kaszmiry, jedwabie, fulary i obwieszone najdroższemi perłami kałakuckiemu; w rzeczywistości biedaczki są smukłe bo wygłodzone, są półnagie bo nie mają za co sprawić toalet, karmią się poprostu daktylami i figami, a z wykształceniem i alfabetem, to też nie bardzo, bo w całej Palestynie np., na 100 wsi arabskich, żeńskich szkół elementarnych jest tylko 8, a wogóle z dzieci arabskich tylko jedna piąta część do szkół chadza...

To też już wyczerpała się cierpliwość i tym Arabkom. Już się tam i zwiedziały, że cały świat Islamu się „budzi“, z letargu, że przez miljonowe masy mahometan przechodzą jakiś dreszcze i wstrząsy, że w Hindustanie w wielkich miastach odbywają się jakieś olbrzymie meetingi (Bagdad), na których jeszcze zakwefione muzułmanki opowiadają o „piekle kobiet“ w raju mahometan.

Już i do zapadłych siół w Samarji czy w Galilei dochodzą dziwne opowieści o tem, co się zaczyna dziać w... Tunisie... w Algierze i Iraku *(Fellache Erwache!)*,

Jednego i tegosamego dnia 3 czerwca takie dziwne, pozornie nie konkordujące z sobą... telegramy... (można się o tem było nasłuchać nawet na... poezcie w... El Arish...):

„Według doniesień z Bombaju doszło dziś w niektórych częściach Indji do poważniejszych rozruchów. W Delhi powstańcy-muzułmanie otoczyli dzielnicę europejską i zajęli tak groźną postawę, że musiano zawezwać posiłków wojskowych. W toku likwidacji wrogich demonstracyj doszło do wymiany strzałów, których ofiarą padli liczni zabici oraz ranni. W Srinagar w Kaszmirze doszło do starcia pomiędzy rewolucjonistami a policją. I w tym wypadku dopiero silny oddział wojskowy zdołał przywrócić spokój. W czasie akcji wojskowej kilkanaście osób zostało zabitych oraz kilkadziesiąt rannych".

To w Azji! A tegosamego dnia z dalekiej... Afryki:

CASABLANCA. W ub. piątek wybuchły poważne rozruchy w Rabacie, na tle awantury, w czasie której zabito pchnięciem noża pewnego Araba. Ponieważ w awanturze tej brali udział Żydzi i podejrzenie padło na nich, że zabili Araba, tłumy. przybyłe z dzielnicy arabskiej, zaczęły bić Żydów, oraz gromić ich sklepy. Bójki przeniosły się i do śródmieścia europejskiego. gdzie zniszczeniu uległo parę sklepów i kawiarnia, do której chronili się Żydzi. W zamieszkach tych został ciężko ranny policjant. wiele osób jest poturbowanych i pobitych.

Dwa dni przedtem były groźne awantury w Constantinie pod Casablancą, a teraz znowu w Rabacie? Mają tam więc dość dużo do czynienia garnizony angielskie w... Delhi i garnizony francuskie z Casablanci...

Czy tedy nie bez kozery, nie słusznie nie mądrze i nie przewidująco bronił w Genewie minister angielski konieczności utrzymania aeroplanów jako narzędzia bojowego w „krajach kolonjalnych z ludnością mniej cywilizowaną?"...

Doszło więc i do uszów Arabek to i owo z tego, co się plecie na tym Bożym świecie. Islam zrywa z „Kismetem", ze śpiączką, z ospałością, gnuśnością. Jakieś chyba mikroby w powietrzu podrażniały jakąś nową świadomość i aktywność narodową religijną, rasową w skupinach, w gromadach, w tłumach, w krociach. Nie mogło się to nie udzielić i płci słabej. Zresztą mają oczy, to widzą, mają uszy to słyszą. U ich mężów, braci, synów nędza i bieda straszliwa. W małym kraiku do 40 tysięcy rolników bezrobotnych. Najbogatsi po wsiach muchtarowie (sołtys) marzą tylko, żeby sprzedać ziemię tym, co dźwięczą i kuszą dolarami. Więksi latyfundyści (effendi) skrachowani, bankrutujący, jak wszystka wszędzie szlagonerja ugodowi frymarczą ziemią na całej linji. Jakżeż tu podobnie brzmią dwa słowa: Hakata i Hatikwa. Emir Transjordański chciał nawet bardzo wielki geszeft ubić, ale się przedwcześnie wygadały któreś żargonauty prasowe w... dalekiej Warszawie i wybuchła dzika heca. Teraz już nikt nikomu nic nie sprzeda bo grożą!... kapturowcy!... sykarjusze! „Rycerze półwyspu Arabskiego" ze sztyletami za pasem..., ci sami, co to urządzają owację przed konsulatami, z których zwieszają się sztandary z jakimś dziwnym poprzełamywanym krzyżem... Swastyką!

Arabki biedne, choć tam jeszcze analfabetki i sprzedawane i kupowane, już raz po kobiecemu rozciekawione, wywiadują się o wszystkiem... i porównują swoją

nędzę z temi, jak z bajki, jak na drożdżach powstałemi miastami, z temi hotelami, samochodami, autostradami...

Tyle światła olśniewającego z tych elektrycznych lamp! W Tel-Awiw był taki karnawał... A w bankach podobno tyle leżących pieniędzy, jak teraz nigdzie w Europie... Te panny przywędrowane grają w białych flanelach w tenisa, te panie mają prawa głosowania do rad miejskich, wybierają. są wybierane... tańczą na werandach hotelowych. A one, Arabki, fel-laszki tutejsze, tubylcze, pozbawione nawet praw wyborczych, ubezwłasnowolnione, wydziedziczone, traktowane jak parjaski, jak zadżumione parjaski.

Więc oto raz postanowiły skorzystać z okazji. Otwierano uroczyście nowy wspaniały gmach amerykańskiej Y. M. C. A. Do Jerozolimy przybyli najwięksi „wezyrowie", jacy są na świecie: fieldmarechal generał Allenby, zdobywca Palestyny, i sir Philips Cunliffe-Lister, sekretarz stanu dla spraw kolonjalnych. Jerozolima uflagowana. Galówka. Samochody tam i z powrotem. Garnizon w odświętnych mundurach. Orkiestry grają. Samoloty nad miastem.

I wtedy stało się coś bardzo, bardzo postępowego, o czem pisma, zawsze najbardziej najskrajniej. najezujniej postępowe, nic a nic jakoś nie raczyły napisać. I pani Miriam Wollman-Sieraczkowa (korespondentka sjonistycznej polskiej prasy) także: nie.

Na ulice Jerozolimy wyszły uszykowane w szeregach... Arabki. Bez kwefów i bez zasłon, wyemancypowane, nowoczesne. I na znak protestu maszerowały milcząco falangami i przemaszerowały przed pałacami, gdzie mieszkali dygnitarze z Londynu... *Non-Coopera-*

tion... Najbiedniejsze, najnieszczęśliwsze istoty, w XX. wieku jeszcze kupowane i sprzedawane, zaaranżowały sobie same pierwszą polityczną demonstrację, o której wieści oczywiście rozeszły się po Iraku, po Syrji, po Hedżasie... po całym muzułmańskim świecie.

Nie tak łatwo tedy tam pójdzie nad Jordanem, jak się o tem przedwcześnie zanadto i zagłośno krzyczy i wiwatuje. Możnaby o kilka oktaw ciszej wykrzykiwać hosanny. I niekoniecznie potrzebne te „zdzierania flag" przez „nieznanych sprawców". Chwilową satysfakcję to czyni, żądzę zemsty zaspakaja, ale łączy na wieki 100 miljonów Germanów z 200 miljonami Islamu. Może z tego być wnet bigos wielki i galimatjas niemały (Berlin-Bagdad)...

Dotychczas znaliśmy Arabki przeważnie z obrazów Żmurki lub Styków ojca i syna.

Teraz wchodzą na widownię światową jako czynnik polityczny! Ktoby się tego spodziewał po „Perłach Szeika", „Gwiazdach haremu", „Ulubienicach Padyszacha" i t. p.?... Ano postęp...

UNDSET A NAŁKOWSKA.

Kto zacz jest Tomasz Mann, nie potrzeba szeroko się rozwodzić. Laureat Nobla. Powieściopisarz, tłumaczony na wszystkie języki świata. Autor „Buddenbroków", „Toni Kröger" i wielu innych powieści i nowel, z których ostatnia p. t. „Zauberberg", tłomaczona na polskie zyskała sobie u nas szeroką popularność. Wyszła o nim świeżo krytyczna źródłowa praca p. Leona Templera w osobnej odbitce, przedtem wstęp do powieści: „Mario i Czarodziej"; p. Templer zapowiada w tej rozprawie jeszcze większą monografję wyczerpującą o T. Mannie... Czy napisze?...

Otóż ten to Tomasz Mann (dziś na banicji w Paryżu) dał do noworocznego numeru socjalistycznej „Münchener Post" (r. 1932), bardzo interesujące i rewelacyjne uwagi o Katolicyźmie dosłownie tej treści:

„Ja nie odczuwam żadnych obaw: my przezwyciężymy kryzys demokracji. Republika, może i nie bez błędów w swoim dzisiejszym kształcie, jest dobrą podstawą dla przyszłości i byłoby katastrofą dla kultury i nietylko niemieckiej kultury pozwolić na zwalenie demokracji przez jakieś obłędne eksperymenty. Jestem wrogiem socjalizmu narodowego, ponieważ od tych ludzi kultura nie może się niczego spodziewać. I jestem przekonany, że na gruncie zagraniczno-politycznym to narodowe po-

gaństwo nic nie wygra, a jego „zdobycze“ mogą być tylko wewnętrzno-polityczne. Ale nie wierzę, aby narodowi-socjaliści dorwali się do steru. Mocne siły przeciwstawne mogą się wziąć do dzieła. Obok marxizmu także i katolicyzm, niemiecki katolicyzm.

Sam jestem protestantem, pochodzę z północy, gdzie wyszedlszy z pietystycznych pogłębień, spogląda się nie bez życzliwego lekceważenia na katolicyzm i jego działającą powierzchownie i na zmysły kościelność *auf seine kirchliche und sinnliche Ausserlichkeit.*

I oto patrzmyż: niemiecki katolicyzm wykazuje, jak znów jego „pogaństwo“ jest tylko zewnętrzne i jak ten katolicyzm duchowo reprezentuje to co uniwersalne, to co właściwie chrześcijańskie, i jak to on może być warownią niemieckiej wolności i tamą przeciw nawale barbarzyństwa, podczas kiedy właśnie nacjonalna i reakcyjna jest duchowa treść poganizmu *(der heidnische Einschlag des Protestantismus geistiger Natur völkisch und reaktionär ist)*“.

Also sprach Tomasz Mann.

Ażeby zrozumieć doniosłość tej rewelacyjnej enuncjacji najznakomitszego dziś powieściopisarza niemieckiego, trzeba tu dodać, że suchy, sztywny, oficjalny protestantyzm północy jako główny zarzut południowemu (bawarskiemu) katolicyzmowi stawiał zawsze jego działającą na wzrok i słuch liturgję, obrzędowość, bogactwo i przepych sztuki i muzyki kościelnej, jednem słowem t. zw. „pogaństwo“ (Luter) katolicyzmu.

Dziś najznakomitszy pisarz Niemiec współczesnych widzi w protestantyzmie współczynnik niemieckiej, nacjonalnej *(völkisch)* reakcji, a w katolicyzmie, j e d y n i e w k a t o l i c y z m i e, odnajduje tylko to, co

właściwie chrześcijańskie, odnajduje warownię *(Bollwerk)* wolności i tamę przeciw nawale barbarzyństwa *(ein Damm gegen den Ansturm der Barbarei).*

Enuncjację noworoczną T. Manna w Warszawie prześlepili czy przegapili jedni, a przemilczeli drudzy. Nie dostrzegły jej jakoś sfery literackie Warszawy, aczkolwiek T. Mann, prezes Pen-Clubu niemieckiego, był przecież gościem warszawskich literatów i dotychczas każdą jego ważniejszą enuncjację podawało się jako słowa ewangelji.

Ale nietylko to jedno przemilczeli.

W warszawskim świecie literackim jest, jak wiadomo, dużo entuzjastów H. G. Wellsa. Całkiem najsłuszniej. Niecierpi nas, ma do Polaków formalnie jakąś odrazę, bagatelizuje, przemilcza („Historja świata"), ale rozrzucił ze swego rogu obfitości tyle dziel myślowo ekscytujących, tyle antycypacyj, tyle dał powodów do rozważania, do zastanawiania się, nad wszystkiemi zagadkami i tajemnicami, że każda jego książka, płytsza, czy głębsza, pośpieszna, czy opracowana, to dla czytelnika poprostu przeżycie.

Przedostatniem jego dziełem było: „The World of William Chissold". Referatów i sprawozdań z tego było moc po wszystkich pismach. Ale ani w jednej nie było tego, co najważniejsze w tej książce, t. j. jednego zdania.

„Jedyny chrześcijański Kościół, który się ostoi na ziemi, to rzymski-katolicki Kościół. Silny i karny, rozwija się stale. Umie on niezliczoną ilość dusz obronić przed wpływami modernistycznych złudzeń".

Dosłownie: „modernistycznych złudzeń"! Tego zdania w „The World of William Chissold" nie do-

strzegli u nas nigdzie. Jeszcze w „Wojnie Przyszłości“, występował sir Herbert przeciw Papieżowi i wyrażał się z bezgranicznem lekceważeniem o katolicyzmie; w przedostatniej książce twierdzi, że tylko katolicyzm jedyny ostoi się.

Trzecie przemilczenie z Meksyku. Konwersja na katolicyzm dawnego wodza bezbożników exprezydenta don Plutarcha Callesa.

Nie tak dawno Ciemnogrodzianie z kawiarń warszawskich wszystko stawiali na Callesa. Oto człowiek! *Voilà l'homme!* A tu niespodzianka. W Brazylji stawiają na wielkiej górze olbrzymią statuę Chrystusa, coby do wściekłości i ataków wodowstrętu doprowadziło p. Ulaszyna z „Wiadomości Luterańskich“ i Uziemblę z „Jutra Rzeczypospolitej“. A w Meksyku? Jeszcze gorzej.

Najpierw sobie należy przeczytać powieść p. Watry Przewłockiego: „Mexicana“ o potwornych bestjalizmach z lat poprzednich.

A potem się dowiedzieć, że nie tak dawno w tymże Meksyku, w Guadelupe, która jest Częstochową Meksykanów, odbyły się uroczystości czterechsetlecia cudu objawienia się Matki Boskiej Indjaninowi takiemu a takiemu. Pielgrzymów zjechało się do 500.000. Arcybiskup Diaz Mszę odprawiał. Cały korpus dyplomatyczny z Meksyku asystował. I był piękny moment, który zaobserwowała prasa amerykańska, że poseł japoński podał rękę posłowi chińskiemu na... katolickiej *missa solemnis.* Ale jeszcze nie w tem rzecz, a w czem innem. Jakie to organy grały? Otóż panie Ulaszyn, czy też panie Uziemblo... grały organy nowe, nowe organy, zafundowane dla bazyliki w Guadelupie przez... don Plutarcha Callesa!....

Dalej przemilczano w Warszawie, (stolicy katolickiego państwa), że kiedy umierał stary ale nie zgrzybiały umysłowo, nieprzejednany wróg Kościoła i Chrystjanizmu „wielki" Clemenceau znaleziono na jego biurku rozwartą L. Pastora „Historję Papieży", jeden z tomów. Okazuje się, że w ostatnich miesiącach bezbożnik-Tygrys (Réné Benjamin: „*Clemenceau dans la retraite*") w tem tylko zaczytywał się i to zgłębiał: najwyższy kunszt wiecznej watykańskiej dyplomacji...

Przemilczano dalej przejście na katolicyzm jednej z najsławniejszych dziś powieściopisarek świata.

Nagrodę Nobla (taką samą, jak T. Mann) bierze kobieta. Więc i w Polsce zaczyna się moda na Sigrid Undset. Tłumaczą „Krystynę, córkę Lavransa", tłumaczą „Pani Hjelde", piszą o niej studja, szkice, essaje, zaczyna się snobizm norweski, analogje z Kossak-Szczucką. Charakterystyczne, że wydawnicza reżyserja anonimowa nie zaleca do tłumaczenia powieści najważniejszej o Jenny... Wszyscy atoli zatajają jedno. Tak, jakby się umówili, jakby istniała tajna zmowa, to jest to,

że ta laureatka Nobla (1894), mając lat 42, w pełni władz umysłowych i dojrzałości przeszła na katolicyzm, że w sprawie swojej konwersji napisała kilka listów otwartych do społeczeństwa norweskiego i że kiedy jej norweski Pen-Club ofiarował wieniec laurowy, złożyła go na drugi dzień w kaplicy katolickiej w Oslo u stóp statuy Najświętszej Marji Panny.

Dlaczego to się zataja? dlaczego się zataja, że trzej laureaci Nobla, że trzy tak potężne umysły w dzisiejszej Europie, t. j. Wells, Mann, Sigrid Undset tak zdecydowanie na różny zresztą sposób, z różnych przyczyn

i z różnorodną dynamiką oświadczyły się za katolicyzmem? Dlaczego zataja się odrodzenie katolicyzmu w Anglji, w Ameryce, we Francji, w Niemczech, we Włoszech? Dlaczego zataja się, że najprzedniejsze, najnowocześniejsze, najbardziej humanitarne, jutrzejsze idee wychodzą z głów pisarzy o katolickiej koncepcji świata (G. K. Chesterton, H. Belloc, Massis, Martineau, Maritain)?

A teraz weźmy pod uwagę i porównajmy ze sobą dwie wysokiej miary nowości sceniczne z roku 1931, to jest ostatni utwór starego G. B. Shawa i pierwszy debiut sceniczny pięknej autorki polskiej.

„Dom Kobiet" pani Nałkowskiej, zasługuje ze wszechmiar na odsunięcie go w sferę pozapartyjnych rozrachunków i komeraży. To dzieło na serjo dojrzałe i doskonałe.

Gdyby autorka nie miała już wyrobionego autorytetu rasowej powieściopisarki cała krytyka podziwiałaby bez zastrzeżeń przedewszystkiem wzorową architekturę, skroś dramatyczną strukturę tych trzech aktów właśnie nigdzie nie przegadanych, nie napuchłych a zwartych w djalogowym kunszcie i ścisłych.

Pani Nałkowska postawiła przed sobą bardzo trudne zadanie: przeprowadziła i zrealizowała cały plan z maestrją rutynowanego władcy sceny. Jestem głęboko przekonany, że ten czysto psychognostyczny wizerunek „*des ewig weiblichen*". a zarazem mocny w argumentacji akt oskarżenia płci męskiej. przetłumaczony na języki obce, osiągnie duże sukcesy artystyczne i moralne nie tylko w Niemczech. ale i w Italji. ba nawet w Paryżu i przyczyni się walnie do zrehabilitowania na-

szej u nich tak bardzo bagatelizowanej twórczości dramatycznej.

Ta injekcja intellektualizmu, jaką w miarę zastosowała w swym utworze pani Nałkowska, podnosi wartości jego znacznie ponad poziom polskiej produkcji teatralnej.

Nie może też nie imponować ten utrzymany misternie przez cały ciąg dramatyczny ton, jednolity ton melancholji, unoszącej się nad tym całym klasztorkiem świeckim, nad tem smutnem *gyneceum* żałobnie zakwefionych „ofiar" kobiecych.

Z dużą precyzją utrzymana jest w sztuce ta atmosfera upiornych reminiscencyj i skazańczego wegetowania, karmiącego się wspomnieniami o tych, co już odeszli.

Można podziwiać plastykę i rzeczywistą trójwymiarowość tych świetnie odkrytych indywidualności kobiecych, ich istotność i konkretność, ale nie sposób też nie delektować się śmiałem i pewnem uruchomieniem procesów psychicznych, jakie w danych warunkach między nimi zaistnieć musiały.

Najpryncypalniejszy urok atoli tej delikatnej, a w melodji bogatej symfonji leży w jej dwóch lejtmotywach, które w powtarzających się akordach przewijają się od początku do końca: przeszłość w naszej samowiedzy co czas jakiś zmienia gruntownie swoje oblicze i okazuje się całkiem inna... To pierwszy. A drugi jest ten: bezwzględną jest tylko niewiedza człowieka o człowieku... człowiek nigdy nie zna bez reszty nawet tego, który mu jest najbliższy... Każdy jest „sam wśród ludzi".

Tych dwóch motywów Solveigi Nałkowskiej, zagra-

nych w tej jej sztuce pierwszej i pierwszorzędnej już się nie zapomina, gdy się raz było na tym koncercie gry aktorskiej, reżyserji wzruszającej i twórczości dostałej, wytwornej, szlachetnej i górnej.

Z „Domu Kobiet“ wychodzi się z podwójnem wrażeniem i uczuciem radości, że znów od czasu „Niespodzianki“ Rostworowskiego literatura polska dramatyczna zyskała tak wielki atut i smutku nad bezmiarem niedoli kobiecej, bezbronności kobiecej, niewoli kobiecej. Ostatecznie bowiem tem słońcem, wokoło którego obracają się te wszystkie księżycowe dusze jest jednak tylko ten Adam, gromkim, imperatywnym głosem nawołujący zafascynowaną, zamagnetyzowaną Ewę. Tylko jego wierność daje jej gwarancje szczęścia, słoneczność harmonję doczesną.

Poza nim, dla tych niewolnic uczuciowych jest chaos, jest pustka, nicość, przepaść szarzyzny. Dlaczego tak i czy jest tak, czy taką jest rzeczywistość? One są wszystkie razem i każda z osobna głęboko, niezawinienie nieszczęśliwe. Jak tedy dalej toczyć się będzie życie tym mizantropkom, tym inwalidkom miłości, tym opuszczonym sierotom? Chyba tylko wegetatywnie i boleśnie.

A dlaczego tak?

Tego nikt prawie nie zauważył. Nikt prawie nie zwrócił uwagi na to, że w tym dziwnym polskim podmiejskim dworze, wśród tych siedmiu Polek nie słyszało się ani razu słowa Bóg! ani słowa: kościół, wiara, religja, życie za grobem. Zdaje się, że żadna z nich nigdy się nie modli, nie szuka otuchy, pokrzepienia... ratunku w wierze... w prostej wierze. Środowisko więc, grupa jakowaś skroś agnostyczna i przez to jakaś mimo

swą dystynkcję i cienkość animaliczna... i przez to znów jakaś bardzo współczucia godna. Może to i świątynia Sztuki, ale bez Boga, szara i surowa, bezlitosna jak ściany krematorjum. Nawet babka rodu, *Ahnfrau*, nie zna przez cały czas tego jednego pojęcia: Bóg!

I stąd ta ich cała bezcelowa egzystencja i stąd ta przygnębiająca nieufność i niewiara w człowieka (który miał być stworzony na obraz i podobieństwo...) i stąd to skoncentrowane *taedium vitae*.

Nawet u Strindberga, nawet u Czechowa, nawet... u Pirandellego jest Bóg, może między wierszami, może tylko za sceną, może w świadomości tych marjonetek istnieje, rządzi, ingeruje. Tu go niema, tu nikt o Nim nigdy nie wspomina. I stąd bierze się beznadziejność i fatalistyczność tej kobiecej grupy z jakby Rosmersholmskiego dworku. Tym agnostycyzmem i tą ślepotą ducha można sobie wytłumaczyć także chyba to wieloletnie otumanienie głównej bohaterki, która nie wierząc w wiarę a wierząc tylko w człowieka, antropozofję swoją wyhodowała do takiego absurdalnego stanu, że nie dostrzegła jak jej bóstwo i bożyszcze domowe przez lat kilkanaście ohydnie ją zdradza. Wśród tej grupy Polek, kobiet polskich, kobiet w Polsce nie pada ani razu słowo Bóg, ani słowa: wiara, religja, dogmat!

Jakże inaczej w ostatniej z tego roku (1931) sztuce agnostyka, satyryka, „anarchisty" moralnego a exprotestanta G. B. Shawa w akcie który zresztą opuszczony był w interpretacji scenicznej Teatru Polskiego. W tym prologu jedna z postaci „starzec", wyraźnie sygnifikujący autora w przystępie jakiejś rozpaczy i całkowitego zdruzgotania tak mówi (do Anglików?):

„Oto jestem, nowy Eklezjasta! Lecz nie mam żadnej

Biblji, nie mam żadnej wiary! Wojna wytrąciła mi z rąk i jedno i drugie. Wojna ta była piekielną cieplarnią, w której dojrzewaliśmy z szybkością i rozpędem roślin w czas późnej wiosny, po długiej i ciężkiej zimie! I jakiż skutek tego? Oto taki. że wyrośliśmy z naszej religji i z naszego systemu politycznego, przerośliśmy siły i moce naszych umysłów i charakterów. Fatalne, zabójcze, małe słówko „nie“ wtrącono z cudowną zręcznością do wszystkich naszych wiar i wyznań! w pohańbionych świątyniach, w których klęczeliśmy, szepcąc „Wierzę“, stoimy sztywni i hardzi, wołając: „Powstać z klęczek! Prosta postawa jest oznaką człowieczeństwa! Niechaj stworzenia niższe klęczą i pełzają, my kolan nie zegniemy, bo nie wierzymy“. Ale co dalej? Czy słowo „nie“ wystarczy? Dla niedorostka — tak! Dla człowieka dorosłego — nigdy! Czyliż jesteśmy mniej opętani wiarą, kiedy jej przeczymy, niż gdy ją potwierdzamy? Nie! Jako głosiciel muszę coś potwierdzać, muszę mieć afirmacje! Bez nich młodzież nie da mi posłuchu, bo nawet młodzież nuży się przeczeniem. Duch przeczenia zapada się i ginie w obliczu żołnierzy, ludzi czynu, bojowników, stojących mocno na gruncie starych bezkompromisowych prawd i twierdzeń, które dają im stanowisko, określają obowiązki i zapewniają ich czynom następstwa, tak że bojowy duch człowieczy zrywa się w nich i zadaje ciosy śmiertelne z karnością głuchą i ślepą“.

Ale nie koniec na tem!

W drugim ustępie monologu czytamy:

„Wiedza, do której przymocowałem wiarę moją, zbankrutowała; opowieści jej były większem szaleństwem niż wszystkie cuda kleru; jej okrucieństwa okrutniejsze niż wszystkie tortury Inkwizycji; szerzyła ona oświece-

nie, które było jak szerząca się zaraza raka; jej rady i dorady, które miały sprowadzić miłościwe lato ludzkości, doprowadziły do samobójstwa Europy. Wierzyłem w nią tak jak żaden fanatyk religijny nie wierzy nigdy w swoje zabobony: z troski o nią pomagałem w niszczeniu wiary miljonów wiernych w świątyniach tysiącznych wyznań. A teraz spójrzcie na mnie, wcielenie szczytowej t r a g e d j i a t e i s t y, który stracił wiarę swoją, wiarę w ateizm, na którego ołtarzu zginęło więcej męczenników niż na ołtarzach wszystkich innych wyznań razem!"

Tragedja ateisty, starego ateisty a w niej wywody myślowe, jakże podobne do wywodów młodego niemieckiego konwertyta poety Franciszka Werfela, który z odczytem pod tytułem: „*Können wir ohne Gottesglauben leben?*" objechał szereg miast niemieckich, potępiając w nim wszystkie nowoczesne namiastki *(ersatze)* wiary jak wiarę w „Madonnę Turbinę", jak statolatrję (wiara w państwo), jak wiarę w jeden naród i jedną rasę i jak wiarę w samego człowieka (antropoteizm).

U Shawa jest tragedja ateisty u Nałkowskiej tragedja ateistek. Że jednak dzieło w tendencjach finalnych wzniosłe, z atmosferą moralną czystą i uszlachetniającą, przeto należy je włączyć do tych, które nietylko z Chrystjanizmem nie kolidują, ale dają odpowiedź niejako na Werfela pytanie: „czy możemy żyć bez wiary w Boga?" Możemy ale jakże beznadziejnie! jak tragicznie! jak bez celu! jak bez słońca!

SPIS RZECZY.

